KAZIMIERZ TETMAJER



Anioł Śmierci

S. Norblin

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

ANIOŁ ŚMIERCI

ROMANS

TOM I

WYDAWNICTWO „BIBLJOTEKI GROSZOWEJ" S-ki z o. odp.
Warszawa, ul. Moniuszki Nr. 11

Printed in Poland

BIBLJOTEKA GROSZOWA
WYDAWNICTWO TYGODNIOWE
REDAKTOR H. ZAJĄCZKOWSKI
WYDAWCA BIBLJOTEKA GROSZOWA
S. z. o. o.
WARSZAWA, ul. MONIUSZKI 11.

WARUNKI PRENUMERATY:

Łącznie z dodatkami, przesyłką pocztową:

kwartalnie (za 13 książek)	*Zł. 9*	*gr. 95.*
miesięcznie	*„ 3*	*„ 35,*
a w oprawach	*„ 13*	*„ 95.*

Prenumeratę przyjmuje Administracja Bibljoteki Groszowej.

Nowoprzybyli prenumeratorzy otrzymują bezpłatnie wszystkie dodatki dla młodzieży, które dotąd wyszły.

Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc., ul. Warszawska 59a.

ROZDZIAŁ I

A na Żarnowcem na błoniu,
A na Żarnowcem na błoniu,
Jechał Jasieńko na koniu,
Jechał Jasieńko na koniu...

— Nie, to jest, jak Boga kocham, prześliczna kobieta — rzekł Tężel, przestawszy nucić i cofając się parę kroków wtył od ściany, na której wisiał portret młodej panny w ciemnej sukni. — Jak Boga kocham, prześliczna kobieta — powtórzył i jeszcze się krok cofnął. — I co to za genjalna bestja z tego Romka, żeby taki portret namalować! Tycjanby się nie powstydził, ale żeby znów Tycjanowi kazał kto rzeźbić, jak Romek!... Nie, jak Boga kocham, to jest ultrarenesansowy łeb...

Podszedł, nucąc drugą strofkę, do okna i odwróciwszy się odeń ku portretowi, rzekł całkiem poważnie:

— Słuchaj, ty nie wiesz, co to Romek jest, a jeżeli wiesz, to niezupełnie. Ładna jesteś, boś ładna, ale myślisz, żeby kto o tobie za czterdzieści albo za pięćdziesiąt lat wiedział? Piesby wiedział. A jak będziesz żoną Romka, za sto, za dwieście, za tysiąc lat będą wiedzieli, że panna Marja Tyżwiecka była żoną Romana Rdzawicza. To jest ultrarenesansowy łeb, mówię ci. A swoją drogą... Eh, aleś ty nawet na portrecie tego wiedzieć nie powinna. Tężel jest Tężel — i kwita!...

Gwiżdżąc trzecią strofkę, począł wielkiemi krokami chodzić po pracowni, portret zaś wodził za nim uporczywie oczami. Tężel to czuł i znowu odwrócił się ku niemu.

— Jak żywa, jak żywa — szeptał — co to za genjalny łeb! I co za śliczna kobieta!...

I jakby raz pierwszy tę twarz widział, jął się wpatrywać w przepyszne, ogromne, ciemnoblond włosy, lokami spadłe ku ramionam, w ściągłą, szczupłą twarz o matowym rumieńcu, z wielkiemi, podłużnemi, ciemnoszafirowemi o złocistym blasku oczyma; o nosie prostym, cienkim i delikatnym, z płaszczyznami, jak u greckich posągów; ustach małych, wąskich, dziwnie regularnych, z górną wargą cokolwiek wzniesioną i brodzie dosyć krótkiej, klasycznie okrągłej. Głowa ta, na prześlicznej szyi, z odmalowanym poniżej, cokolwiek odsłoniętym biustem, miała dziwny wyraz melancholji i swawoli, zuchwalstwa i smutku, dzieciństwa i powagi, sentymentalizmu i zmysłowości, a miała w sobie nieujęty jakiś wdzięk, nieodparty czar.

— Czy ona jest piękna, czy bardziej czarująca? — mruczał Tężel. — Ale, że ta bestja Romek nie wraca! Ja, żebym miał taką narzeczoną, toby mnie korkociągiem od niej nie wyciągnął, a ten już dwa tygodnie, kaduk wie, gdzie siedzi. Zachciało mu się wystawy w Wiedniu. A te ślicznoty czekają, czekają, stokrótkom listki rwą: — „Przyjedzie... nie przyjedzie...“ — a jego niema. A te ślicznoty... — tu Tężlowi bardzo mocno głos zadrżał. Żachnął się: — Tfu, do djaska!

Tężel, pomimo woli, spojrzał w lustro, zobaczył swoją kwadratową, grubo ciosaną twarz o wystających kościach policzkowych, małych oczkach, perkatym nosie, szczeciniastych, płowych włosach,

i również szczeciniastych, płowych wąsach i swoje zwaliste ramiona, i odwróciwszy się z niesmakiem, poszedł ku oknu, obok którego stał stolik. Na stoliku leżał list w białej kwadratowej kopercie.

— To od niej — mruknął. — Psiakrew, są przecież szczęśliwi ludzie na świecie. Ale koperta nie jest taka, jak zawsze...

— Tężel! Jesteś tam, staro małpo! — ozwał się w tej chwili we drzwiach dźwięczny, wesoły, męski głos o niskim tonie i stanął w nich młody, około dwudziestu sześciu lat mężczyzna.

— Romek! — zawołał Tężel, podbiegając ku wchodzącemu z otwartemi ramionami.

— Jak się masz, Jędrek? — rzekł Rdżawicz — tylko mnie nie zgnieć, niedźwiedziu.

— Zdróweś, Romek?

— Zdrówem. Jak się masz? Każ mi rzeczy znieść i zapłać dryndę. A cóż Marysieńka?

I Rdzawicz, zrzucając zamaszyście podróżną torebkę z ramienia, poszedł ku przeciwległej drzwiom ścianie, pod którą na trójnożnym, wysokim stoliku stało, sklejone z pokostowanych kartonów, umocowanych na deseczkach, wielkie pudło. Rdzawicz podniósł je ostrożnie. Ochraniało ono modelowane w glinie popiersie młodej kobiety.

— Tężel, podobne to, co? Gdzieżeś ty? Aha!... Moje, moje śliczne, moje ty złote, serdeczne. Tężel, wróciłeś? Podobne to?

— Ba!

— Cóż „ba!“ — gadaj: podobne?

— Cóż się pytasz, kiedy sam wiesz, że podobne.

— Bo wiesz, djablo trudno jest robić portret z portretu. I jeszcze z malowanego rzeźbić...

— Ale ty jej nie rzeźbisz z tego tam — odezwał się Tężel cichym i jakimś wzruszonym, a usi-

łującym wzruszenie pokryć, głosem — ty jej nie rzeźbisz z tego tam, coś namalował, tylko ze swego serca, bo ty ją masz w sercu...

Rdzawicz popatrzył nań wilgotnemi oczami.

— Tężel, jak ty czasem ładnie mówisz — rzekł. — I jakżebym ją mógł inaczej robić? Podmalowałem portret w trzech dniach, a i to Bóg wie jak, bo przecież malarzem nie jestem, ani Buonarottim, co wszystko umiał. Nie mógłbym jej też rzeźbić, żebym jej w sercu nie miał. Mam tam każdy jej rys, każdą linijkę, każdy szczegół twarzy. Ale się też Rysia ucieszy! Jak już będę mniej więcej gotów ze szkicem, dopiero ją poproszę, żeby mi dopozowała doreszty, a potem w marmur! Czy to nie będzie piękny prezent ślubny? Co? Tężel, ty stara małpo?!

Rdzawicz, porwawszy Tężla za ramiona, obrócił nim kilka razy po pracowni, zawadzając o krzesła, potem siadł, odetchnął i począł mówić:

— Masz wirginja. Tężel, powiadam ci, co za wystawa! Jakie Niemcy! Co za Szwedy! Co za Hiszpany! Malarze mi się daleko więcej podobali, niż rzeźbiarze. Powiadam ci...

— Ale, ale — przerwał Tężel — jest tu list.

— Od kogo? Co?

— A od kogóżby? Od panny Marji.

— Maryś złota! Irys moja! Dajże! Gdzie! Aha, tam...

I spostrzegłszy list, zerwał się i podbiegł ku stolikowi.

— Ale, coż to, jakaś inna koperta. Zawsze są podłużne, bladoróżowe albo heljotrop — mówił, rozcinając pilnikiem kopertę.

— I ja to sam zauważyłem.

— Teraz cicho siedź.

— Ba — — ale w tej chwili Tężel porwał się

z krzesła i prawie krzyknął: Romek! Jezus, Marja! co ci jest?

Rdzawicz stał się purpurowy, żyły nabrzmiały mu na czole, rozchyliły się usta i poczęły drżeć, a kark napęczniał od napływu krwi.

— Romek, co ci jest? — wołał Tężel.

Ten zaś zbladł, a raczej zsiniał, położył list na stole, chrapnęło mu coś i jękło w gardle, zachwiał się i cofnął.

= Tężel osłupiał. Patrzył na Rdzawicza i widział, że temu pierś podnosi się coraz szybciej i ciężej, jak u kogoś, co ma gwałtowny, astmatyczny atak, i że oczy stają mu się coraz bardziej nieruchome, coraz szersze i jakby błędne, ciało zaś całe drży i jakby pręży się w sobie. Nie mógł nic pojąć. Zrozumiał, że Rdzawiczowi stało się coś strasznego, ale nie mógł zrozumieć co? Nakoniec Rdzawicz rzekł:

— Czytaj...

Tężel wziął ze stolika list i począł czytać. List brzmiał:

„Wiem, że sprawię Panu wielką przykrość, może nawet boleść. Wiem, że uczucie Pana do mnie nie jest tak silne, głębokie i trwałe, jak Ci się zdaje i jak sam w to może wierzysz, ale nie wątpię, że nie jestem Ci obojętną. Pisanie tego listu i dla mnie samej jest bardzo przykrem. Pan wiedziałeś, że ja Pana nigdy istotnie nie kochałam, ja się łudziłam, brałam chwilowe wrażenie za prawdę, łudziliśmy się oboje. Dawno już walczyłam ze sobą, te dwa tygodnie pańskiej nieobecności zdecydowały mnie. Ja Ciebie nie kocham i zwracam Ci słowo. Przecież nie chcesz mi Pan wiązać świata. Listy i wszystko odeśle moja ciotka, jak

Pan wróci. Ja jutro wyjeżdżam. A jeśli nie możesz beze mnie żyć, to się otrujmy.

D. 27 kwietnia 1894 r.

Marja Tyżwiecka."

Tężel, przeczytawszy ten list, opuścił ręce i zdrętwiał. Ścisnęło go coś za gardło i chwyciło coś za włosy. A potem musiała mu przelecieć przez głowę jakaś myśl, która wydała mu się wstrętną, gdyż nagle, jakby płaza zobaczył, żachnął się, splunął i mruknął: — Tfy! Tężel!...

Rdzawicz zaś usunął się na kanapę twarzą wdół i leżał oddychając, jakby braknące powietrze chwytał ustami.

— Romek — ozwał się Tężel oszołomionym głosem.

Rdzawicz nie odpowiedział; leżał nieruchomy i chwytał powietrze.

Długa chwila zbiegła, nim odjął twarz i podniósł się nieco; Tężel wzdrygnął się—tak wyglądał.

— Co to jest? — szepnął. — Co się stało?

Tężel nie wiedział co odpowiedzieć. Rdzawicz zas wydobył portfel z bocznej kieszeni ubrania, wyjął zeń list w podłużnej bladoróżowej kopercie i podał go Tężlowi, mówiąc:

— Czytaj.

Tężel począł czytać.

„Jedyny mój, najdroższy! Mój! Ty! Ti!

Okropnie cieszy, że Rom zrobił taką Dianę! Rom jest caca. Rom jest śliczny. Niech cieszy, że cieszy. Przyjdź zaraz. Rysi jest tęskno bez swojego pana.

Całuję lewe ocko.

Mój ty! Taką mi sprawiłeś rozkosz. Mój genjuszu! Czy to może być, żebyś mnie Ty kochał? Za co mnie Ty kochasz? Jak Ty mnie możesz kochać?

Czy to może być, żeby mnie tyle szczęścia spotykało? Czy ja jestem warta tego? Czy ja ci potrafię dać szczęście? Wszystko, byleś Ty był szczęśliwy. Ja przestaję istnieć dla siebie. Jedyny mój, skarby moje, wszystko moje, życie moje! Chciałabym dla Ciebie ponieść jakąś wielką ofiarę, chciałabym cierpieć, umrzeć. Czuj dla mnie, co chcesz, ja Ciebie kocham! Mój Ty! Mój Ty! Mój!

Całe miasto mówi o Twojej Dianie. Nawet ciocia Porzelska jest wzruszona. Ja śmieję się i płaczę ze szczęścia. Całuję prawe oczko.

Nie myśl wcale, że dlatego Cię tak kocham, że tak mówią o Tobie. Kocham, bo kocham. Wszak tylko taka miłość jest coś warta? Ty sam tak mówisz, prawda?

Nie lękaj się. Będziemy szczęśliwi. Kobieta, kiedy kocha, świat zwali a uszczęśliwi. A ja kocham.

Czuję się teraz lepszą, szlachetniejszą, mądrzejszą. Miłość takiego, jak Ty, człowieka podnosi. Taka jestem dumna, że Cię kocham. Mój orle! Patrzę zgóry na wszystkie inne panny. Ty mnie wybrałeś. Ty — mnie. Jedyny mój!

Nie byłeś już trzy dni—prawda, wyjeżdżałeś, pocoś wyjeżdżał, Ty—niedobry?! Ti — przyjdź zaraz! Czekam cię. Twoje bobo czeka i prosi. Czy cieszy, że zobaczy? Niech cieszy, bo cieszy. Kocha?

Byłam podczas Twojej nieobecności w teatrze. Nie chciałam iść, ale mnie gwałtem zabrali. Z początku strasznie mi było smutno, że Ciebie niema, ale potem byłam kontenta, bo obok siedziała jakaś śliczna panna i byłbyś się z pewnością zakochał. Jesteś taki wrażliwy...

Całuję oba oci. Ti!

Kocha, kocha, kocha, kocha, kocha —

Twoja narzeczona

P. S. Ma kota.“ *Rysia.*

Tężel położył list na stole.

— Z tem się nie rozstawałem — szepnął Rdzawicz, biorąc list i chowając go do portfelu. — I ta sama kobieta!... Jak można mnie tak odrzucać! Jak można! Jak można! Jak można! Marjo! Rysiu!..

Pochwycił go płacz, który przeszedł w spazmy.

Tężel był w rozpaczy. Obejmował Rdzawicza rękoma, całował, tulił i czuł, że mu grube łzy ciekną po twarzy, zarazem czuł, że nie wie naprawdę, co się stało, że mu się wszystko miesza w jakiś pogmatwany, potworny kłąb.

Nadszedł wieczór. Rdzawicz uspokoił się i zdawało się, że zasnął. Tężel zapalił lampę i spojrzał nań. Leżał nawznak na kanapie ze zbielałemi, rozchylonemi ustami, blady, jak trup, i jak trup, sztywny. Obrzmiałe, zaczerwienione powieki spoczywały na oczach bezwładnie.

...Śpi czy nie śpi? — myślał Tężel.

Zapalił papierosa i stuknął popielniczką. Rdzawicz nie ruszył się.

— Śpi — szepnął i odłożywszy papierosa, oparł przy stole czoło na rękach i począł patrzeć na leżącego.

— Śpi, chwała Bogu — szepnął znowu. — Biedny chłopak...

Nagle uczuł, że go coś ciągnie w przeciwną stronę i odwrócił głowę — to portret panny Tyżwieckiej patrzył nań swemi wielkiemi, ciemnoszafirowemi, o złocistem blasku, oczyma.

— Coś ty uczyniła?! — szepnął — coś ty uczyniła?!..

I porwał go na tę kobietę wściekły, szalony gniew; miał ochotę rzucić się na jej portret i podrzeć go, poszarpać na sztuki. Portret zaś patrzył nań uporczywie. Tężel utkwił oczy w martwych,

a patrzących oczach—i spuścił swoje. Głowa opadła mu na piersi i czoło pofałdowało się w brózdy.

Po chwili powstał, podszedł ku portretowi, zdjął go ze ściany i odwrócił ku niej. Poczem usiadł znowu przy stole i włożywszy ręce w kieszenie, głowę zwiesił.

...A więc Marja zerwała z Romanem... Nie, nie, nawet i teraz przed samym sobą tego nie wyzna... A zresztą i cóż?... Cóż on?... Cóż on, Tężel?... Taki Tężel... Jeżeli było podle, że to czuł... Wszakże nie chciał czuć, tłumił się, ile mu sił starczyło... Z tej strony jest czysty... Podle było, że wogóle potrzebował nie chcieć czuć i tłumić się, ale go tak brało... Jeżeli i było podle, że to czuł pierwej, to teraz byłoby jeszcze podlej... stokroć podlej... A zresztą, cóż on, taki Tężel?... On i Rdzawicz, ten genjalny człowiek i on, rzemieślnik prosty, kamieniarz nie rzeźbiarz, kowal...

I co ona uczyniła, co ona uczyniła!... Rdzawicz może zdrowiem przepłacić. Tężel wzdrygnął się, albowiem przypomniał sobie, że w rodzinie Rdzawiczów panowała pewna skłonność do melancholji.

Naprawdę, on mało wie o stosunku Rdzawicza do Marji. Cały prawie czas narzeczeństwa Rdzawicza przesiedział w Kulczy, rzeźbiąc figury apostołów do tamtejszego kościoła. Rdzawicz pisywał tylko kartki i to dość rzadko... Tężel raz jeden ją tylko widział bliżej w teatrze. Rdzawicz chciał go przedstawić, ale on nie chciał, wstydził się. Widział z krzeseł, że rozmawiają o nim w loży, że Marja patrzy nań i uśmiecha się, ale Rdzawicz musiał o nim mówić dobrze, bo uśmiechał się życzliwie. Tężel czuł, że się rumieni, był zły i było mu zarazem jakoś dziwnie, coś mu rozpierało piersi. Raz jeden spotkały się ich oczy i wtedy—wtedy Tężel uczuł coś takiego, czego nigdy

przedtem nie czuł i o czem wyobrażenia nie miał... I przeląkł się sam siebie, przeląkł się Rdzawicza, przeląkł się jej... Nazajutrz po przedstawieniu Rdzawicz przyniósł mu tuberozę z bukietu od Marji, posłaną „przyjacielowi swego narzeczonego". Tężel wziął tuberozę i nie wiedział, co z nią zrobić. Cóż prostszego, jak schować kwiat od narzeczonej swego przyjaciela... Ale... Czy on schowałby ten kwiat tylko, jako kwiat od narzeczonej swego przyjaciela... Tak?... Nie!... Jest to podle, podle, stokroć podle, że on nad czemś podobnem się zastanawia, że mu to może wogóle myśl mącić... Chciał więc kwiat wyrzucić—ale nie mógł... Całą noc nie spał, rano zaś spalił kwiat, a popiół wsypał do papieru, zawinął i schował do pugilaresu. Potem wyjął go i schował do szuflady między listy z domu, ze wsi. Wreszcie koło południa poszedł nad Wisłę i wsypał popiół w wodę. Bo od narzeczonej swego przyjaciela można schować kwiat, ale on nie mógł tak uczynić, nie powinien był... I że mógł nie móc!... Jak to podle!... To wszystko tak niedawno było, parę tygodni temu. I pomyśleć, że się coś takiego stało...

Rdzawicz odetchnął; Tężel spojrzał na niego—spał jeszcze.

...Mój Boże, mój Boże—myślał Tężel—co to będzie? Delikatny jest i nerwowy. Jak on to przetrzyma... Żeby to choć inny człowiek... ale to szalony, dziki temperament, heljogabalowskie rozuzdanie zmysłów, impet fantazji i pęd, a organizm stosunkowo wątły... Jak on to przetrzyma?... Gdyby nie przetrzymał... Jezus, Marja!...

Tężlowi aż zawirowało na to przypuszczenie w głowie.

— Jezus, Marja!...

Ośm lat przeżyli prawie nierozłącznie,

Tężel miał wówczas dwadzieścia dwa lata i ponieważ późno mógł się wziąć do roboty, kopjował dopiero w akademji sztuk pięknych antyki. Robił właśnie głowę Junony i był bardzo kontent z roboty. Zdawało mu się, że robi doskonale i że kopja jest ogromnie podobna.

Jednego dnia w październiku przychodzi do sali szkolnej i zastaje przed swoją robotą może ośmnastoletniego szkraba. Dość wysoki, cienki, smukły, blady, o czarnych, świecących włosach, mocno falistych, nos orli z rozdętemi nozdrzami, usta dość grube, oczy dziwne, jakby stalowe, duże, świetliste, głęboko osadzone. W całej postawie coś zuchwałego i niezmiernie swobodnego, coś poprostu lotnego, ale szkrab.

Tężel patrzy na niego, a on na Tężlową glinę. Trwa tak chwilę, aż się Tężel, pewny swego, pyta:

— Cóż, panie, podobne?

— Nie, panie, niepodobne — odpowiada szkrab.

Tężla aż zaświerzbiało w garści: — A szkrab! A smarkacz! — Ale przedewszystkiem tak się zmieszał, że języka zapomniał w gębie.

— Tak pan sądzi? — bąknął.

— A tak — odpowiada chłopak.

— A bo to moja robota...

— A to przepraszam pana bardzo, nie wiedziałem.

— Ano, wiem, że pan nie wiedział. Ale się panu nie wydaje podobne?

— Przepraszam, ale nie.

— Hm, ja myślałem, że to dobre. Może pan i ma rację.

— Widzi pan, tu jest największy feler — mówi szkrab i nie pytając czy wolno, przejeżdża wielkim palcem po policzku Junony. Tężel zgłupiał — co to?

Było to *coup de maitre*—dotknięcie mistrza. W tej chwili Tężel spostrzegł, że tu istotnie właśnie najwięcej chybił.

— Ma rację — mruknął — podobno to do Junony, jak kot do malwy. A kto pan jest?

— Ja jestem Roman Rdzawicz. Zapisałem się tu na rzeźbę. Będziemy kolegowali.

— Ja się nazywam Jędrzej Tężel. Panie, czyś pan się już gdzie uczył?

— Bardzo mało i prywatnie, bo musiałem kończyć gimnazjum. Ojciec nie chciał inaczej. Straciłem dużo czasu.

...Ten stracił dużo czasu... — pomyślał Tężel.

Nazajutrz Rdzawicz wziął się do pracy obok Tężla i trzech innych kolegów. Wszystko mu się paliło w rękach; zdawało się, że oczami rzeźbi, tylko spojrzy. Profesor Bronn się dziwił i powtarzał:

— Panie Łdzawicz! panie Łdzawicz! pan ma głuby talent, tylko ta natuła niesfołna, oj ta natuła! Panie Łdzawicz! panie Łdzawicz!

Koledzy byli naturalnie źli, a Tężel niemiał z podziwu. Nie zbliżał się do niego, tak, jak będąc dzieckiem, w Kostrzynie, we dworze, kiedy go panicze zawołali, bał się do ręki wziąć zabawki, aby nie zgnieść. Wydawał się sobie przy tym smukłym, cienkim, ośmnastoletnim chłopaku, takim grubym, ciężkim chłopem, takim chamem! Obchodził Rdzawicza, jakby to był przedmiot szklany. Wszyscy sobie w szkole mówili „wy", ale z Rdzawiczem był Tężel zawsze na „pan".

...Ja tak rzeźbię, jak pies gra na drumli — myślał — ale ten...

I coraz większa opanowywała go względem Rdzawicza nieśmiałość.

Zeszło może ze dwa miesiące, a stosunek mię-

dzy nimi ani na krok nie postąpił, mimo, że pracowali dzień w dzień obok siebie. Tężel był nieśmiały, Rdzawicz wogóle trzymał się dosyć daleko od kolegów.

...On tu na nas patrzy, jak kawka na pasternak, ale ma do tego prawo — myślał Tężel.

Aż jednego dnia Rdzawicz zbliżył się ku niemu i rzekł:

— Panie Tężel, ja mam do pana jedną wielką prośbę.

— Czemże mogę służyć? — spytał Tężel i czuł, że się czerwieni jak przed panną.

— Widzi pan, ojciec mi przysłał trochę pieniędzy i sprowadziłem sobie mały kawałeczek marmuru, bo chcę coś rzeźbić, ale nie mogę sam otłuc. Czyby mi pan nie pomógł? Marmur nie jest duży, może półtorej stopy.

— Owszem, z całą chęcią. Kiedy mam przyjść?

— Kiedy pan zechce. Ale możeby najlepiej było dziś zacząć po południu. Ma pan czas?

— Dobrze. Mam. A cóż pan chce rzeźbić, jeżeli mogę wiedzieć?

— Anioła życia.

— Anioła życia? Cóż to ma być?

— Widzi pan, chcę zrobić coś takiego, co się rwie wgórę, *vers le ciel.* Chcę zrobić coś — tu przestał mówić, wziął kawałek węgla ze stołu i począł rysować na ścianie. Pod ręką jego z niesłychaną szybkością rósł kształt skrzydlatej postaci *en face.* Skrzydła były rozpiete i wzniesione wysoko, postać jakby razem szła i zrywała się do lotu. W kilku linjach nadał twarzy anioła wyraz jakiejś młodzieńczej mocy, bujności, zachwytu i czegoś promiennego. To było rzeczywiście — Życie...

Tężel osłupiał.

— Widzi pan — mówił Rdzawicz, kładąc węgiel na stole — chcę zrobić coś takiego, co za sobą porywa świat, ludzi i niesie gdzieś w przestrzeń, wdal, naprzód! Coś, co bucha zdrowiem, tryska świeżością; gdy się śmieje—to gaje drżą, gdy zawoła ku sobie—to się skały pochylą. Chcę zrobić coś takiego, w czemby się dało uczuć zieleń łąki, słoneczność, błękit wiosenny, coś takiego, żeby to czyniło wrażenie, że się z tem strumienie wgórę rwą i że za tem oceany wgórę polecą. Coś, rozumiesz pan, coś takiego, żeby się zdawało, że to z oczu sypie kwiaty i błyskawice, te, co w niebo biją... Coś... rozumie pan?

— Rozumiem.

— I pomoże mi pan obtłuc?

— Pomogę.

— No, to niech pan przyjdzie do mnie. Oto jest mój adres.

— Dobrze. Przyjdę zaraz po południu.

— Dowidzenia.

— Dowidzenia.

I rozpoczęli robotę. Tężel pomógł Rdzawiczowi obtłuc marmur, ten zaś wziął się do modelowania w glinie swego Anioła życia. Ale rzecz okazała się daleko trudniejsza, niż Rdzawicz przypuszczał.

— Nie idzie — mruknął raz Tężel, stając przed glinianą masą na postumencie.

— A nie idzie — odparł smutnie Rdzawicz.

— Wie pan co, możeby to odłożyć na później, aż się pan więcej nauczy. Za wcześnie się pan zabrał do kompozycji.

— Mnie się też zdaje że ja mało umiem.

— Przecie my dopiero figury z antyków zaczynamy robić, a pan chce komponować.

— A bo Michał Anioł, przecież wie pan, zro-

bił, mając szesnaście lat, taki posąg, że wszyscy myśleli, że to antyk.

— No, tak, ale widzi pan...

— O, panie, *aut Caesar, aut nihil* — podchwycił żywo Rdzawicz.

I wziął się na nowo do lepienia, ale „nie szło". A Tężel nucił:

„Dadzom mi jom, dadzom,
Piknie odprowadzom,
Ale trzeba pocekać..."

Zaprzyjaźnili się tymczasem ogromnie. Z „pana" zeszli na „wy, z „wy" na „ty". Rdzawicz imponował Tężlowi swoją inteligencją, swojem wykształceniem, talentem, sferą, z której pochodził, stosunkami, ogładą towarzyską, podbijał go swoją wrażliwością, nerwowością i finezją, czarował wyobraźnią. Natomiast gruba, rubaszna, ale zupełnie nadzwyczajna uczciwość, prawdziwie kamienny i zdrowy chłopski rozum Tężla przywiązywały do niego Rdzawicza.

— My wyglądamy z sobą, jak kameleon z wyjcem, bo jest taki, prawda? — powiedział raz Tężel.

— A jest. Wyjec rudy.

Przyjaźń spotęgował jeszcze kilkoletni wspólny pobyt w Monachjum, wśród różnych warunków, wreszcie i to, że po śmierci ojca, Rdzawicz ujrzał się równie biednym, jak Tężel, nawet biedniejszym, gdyż na Tężla wypadło w Kostrzynie jakieś półtrzecia morga roli, Rdzawicz zaś nie odziedziczył nic zgoła. Tężel nadto miał rodziców, braci, siostry i dużo bliskiej rodziny. Rdzawicz zaś, którego matka na kilka lat przed ojcem umarła, z bliskich—nikogo. Z dalszą rodziną, z wyjątkiem cioteczno ciotecznego brata, Przerwica, poety, w małych zostawał stosunkach. Tężel czuł się

teraz nietylko przyjacielem, ale i jakby starszym bratem i opiekunem młodszego o cztery lata od siebie chłopca.

Przybrana ta opieka nie była zresztą łatwa. Rdzawicz, którego babka była Hiszpanką, wywiezioną z ojczyzny do Polski podczas wojen napoleońskich, odziedziczył po niej romańską żądzę używania życia i właściwą romańskim ludom zmysłowość i lubieżność. Przy dosyć wątłym jego organizmie, puszczenie wodzy temperamentowi było ryzykowne i tego Tężel się dla przyjaciela lękał; tymczasem Rdzawicz hamulca nie znał. Ogarnął go poprostu szał. Szedł naoślep, tracił się sam w sobie, walił w przepaść. Tężel z rozpaczą począł spostrzegać, że wyobraźnia w nim niszczeje, ambicja zamiera, a zarazem niszczeją w nim i zamierają wszystkie szlachetniejsze instynkty. Żądza użycia, grubego, brutalnego użycia zaczęła się w nim stawać najsilniejszym popędem, zabijała w nim wszystkie inne. Zdawało się, że żyje tylko dlatego, aby szukać i znajdować, i że głównym motorem w nim jest żądza, a wszystko inne, całą resztę życia uważa tylko za środki, umożliwiające sycenie tej żądzy.

— Sztuka? Sława?—mówił do Tężla — wszystko to jest bajeczne głupstwo. Jeżeli chcę być sławnym, to tylko dlatego, że kobiety są jak ćmy, które pomiędzy dziesięciu świecami wybiorą tę, co się pali i świeci najjaśniej. Dlatego chcę być sławnym.

— Ale takie życie cię niszczy — mruczał Tężel — a każdy ma przecie obowiązek względem siebie.

— Ja znam tylko jeden: szukać w tem przyjemności, w czem się ją znajduje, szukać jej za jaką bądź cenę, byle znaleźć. Powiedz mi, jaki może

być inny cel życia, jeśli nie użycie? Wszystko inne jest głupstwo! Robić to, co się chce. Tobie robi przyjemność rzeźbić dla samego rzeźbienia. Rzeźb! Gdyby ci robiło przyjemność całemi dniami skrobać marchew lub przesypywać piasek z garnka do garnka — skrob i przesypuj! A jeszcze ta twoja sława! Cóż jest sława? Dbanie o opinję innych. Czego ja mam o nią dbać? Co mnie inni obchodzą? Ja ich nie obchodzę, dlaczego oni mają mnie obchodzić?

— Ale kiedy ty ich obchodzisz — perswadował Tężel.

— Ciekawym czemu?

— Bo masz talent.

— A tak, to znaczy: chcemy mieć lalkę do zabawy. *Pfui, Teufel!* Zresztą, daj mi pokój! Mnie i tak prędko djabli wezmą.

— Sam tego chcesz.

— Przecież tak długo żyć nie można...

— Widzisz...

— Nic nie widzę. Cośbym tylko chciał przedtem zrobić...

— Ale cobyś ty mógł był już do tego czasu zrobić, gdybyś był chciał!

— No, to nie zrobiłem... i cóż?

— Nie żal ci? Przecie się marnujesz... Czembyś ty już mógł być!

— Nie bój się, jeszcze będę. Nie bój się! ja to wiem, że będę wielkim rzeźbiarzem...

— Jak tak mówisz...

— Zresztą, mogę niczem nie być i niech to wszystko piorun trzaśnie!

Tężel był w rozpaczy. Rok za rokiem płynął, a Rdzawicz, uganiając się za kobietami, nie pracował prawie wcale i istniał jeszcze, jako rzeźbiarz, tylko dzięki swemu nadzwyczajnemu ta-

lentowi. Anioł życia i wszystkie inne projektowane niegdyś kompozycje poszły w kąt, robił małe figurki na sprzedaż, byle żyć. Podejmował się robót do sklepów, rzeźbił Flory, amorów i Bismarków, od czasu do czasu tylko posyłając coś na wystawę. Krytycy nie mogli mu odmówić talentu, ale spodziewali się po nim daleko więcej. Tężel wiedział co Rdzawicz naprawdę mógłby dać i wciskał pięści we włosy.

Wreszcie zdenerwowanego, zniszczonego, prawie zagrożonego rozwojem rodzinnej choroby mózgowej, przywiózł Rdzawica, po pięciu latach pobytu zagranicą, do kraju.

Rok tu już byli. Rdzawicz uhamował się trochę, głównie wskutek odmiennych warunków życia; począł więcej pracować i wystawił gipsową Dianę półnaturalnej wielkości, która mu zdobyła wielkie pochwały. Tężel, spokojny prawie, wyjechał do Kulczy rzeźbić apostołów do tamtejszego kościoła. Po kilku tygodniach otrzymał od Rdzawicza list, że ten wyjeżdża do Kłęża w lubelskie rzeźbić portret niejakiej pani Strzeliskiej, bogatej staruszki. Potem, w parę dni później, kartkę:—„*Vieux singe!* Jest tu panna Marja Tyżwiecka, *en trois quarts*—cud, w profilu—świat się kończy, *en face*—anioł!“—Donosił również, że jest tu wnuczka pani Strzeliskiej, Jadwiga, bardzo oryginalna, bardzo inteligentna i bardzo dziwna panna, o tak zuchwałych i rozhukanych pojęciach, że się czasem zdaje, iż ma źle w głowie. Dodał dyskretnie, że robi takie wrażenie chwilami, jakby nie była „od tego“... ale co mu tam ona wobec Marji! O Marji dał tylko ten szczegół Tężlowi, że jest od dziecka sierotą, że ma majątek i że się nią opiekuje pan Strzeliski, ale właściwie nie opiekuje się nią nikt, gdyż pan Strzeliski jest

„tak bierny, jak laska“ i tylko doskonale administruje swoim i Marji majątkiem, jak przynajmniej zapewnia jego córka, która o nim mówi, że „ojciec jest bardzo dobry, ale możnaby nim usta płukać“.

W kilka tygodni później doniósł Rdzawicz w lakonicznych słowach, że panna Tyżwiecka jest jego narzeczoną, że on zmienia zupełnie tryb życia i zabierze się na nowo do Anioła życia, ponieważ chce być sławnym teraz. Tężel, przeczytawszy, ledwo się nie rozpłakał z radości. I oto ledwo kilka tygodni minęło, a on sam przed sobą czuje się podłym. Rdzawicz zaś leży blady, jak trup, z opadłemi, sinemi powiekami, może w przeddzień szaleństwa. I to wszystko uczyniła ta jedna kobieta, o cudownych ciemnoszafirowych oczach o złocistym blasku, której portret przed chwilą odwrócił do ściany, aby się móc czuć mniej podłym i mniej słabym...

Rdzawicz spał już z godzinę; zrobił się wieczór. Do pracowni wpadło przez wielką szybę księżycowe światło. Tężel począł patrzeć na Anioła życia.

Po ośmiu latach przerwy i ogromnej stracie czasu, powrócił Rdzawicz do swego dawnego tematu. I w pomyśle nie zmienił nic; wziął tylko większą formę, prawie naturalnej wielkości. Rzecz była na ukończeniu, a rysy Anioła, choć męskie, przypominały żywo rysy Marji. Rzeźba przedstawiała się wspaniale.

...Istotnie, to jest arcydzieło — myślał Tężel. —Jak Boga kocham, arcydzieło jest! Tak mi z moim talentem do Rdzawicza, jak psu do farbiarstwa. No, niech tam... stało się, co się stało... Jak to wystawi, sypną się wieńce, sypną się dzieńgi, otumani go to, przeboleje. Już wiem, że się za-

raz weźmie do nowej rzeczy... To dziwnie, jakiem na niego patrzył, to mi się serce ściskało i zdawało mi się, że już wszystko djabli biorą, a jak na tę jego robotę patrzę, prawie że mi wesoło. Co to jest sztuka! Ba, ale taka sztuka! Że ten anioł jest taki pełen życia, to i we mnie życie wstępuje. Bo naprawdę z nim się coś rwie wgórę, jak Rdzawicz mówi. Co to jest za wyraz! Co za ruch! Te skrzydła prawie szumią... Naprawdę w tym ruchu jest coś, jakby się rzeka pierwszy raz ze źródła miała puścić. Ten anioł...

W tej chwili usłyszał Tężel szelest za sobą; obrócił się. Rdzawicz miał oczy otwarte i poruszył się. Spojrzeli na siebie. W Tężlu ścisnęło się znowu serce i znowu nie wiedział, co począć—odezwać się czy nie?

— Spałeś?—rzekł wreszcie.

— Spałem—odrzekł Rdzawicz dość głośno.—Spałem. Jeszcze nie mogę... jeszcze mi się...

I znowu skręcił głowę twarzą ku ziemi.

Tężel zaś patrzył nań i czuł, że mu się oczy łzawią. Nakoniec Rdzawicz ozwał się przerywanym, zdławionym głosem:

— Cóż teraz będzie?...

Tężel nie wiedział, co mu odpowiedzieć.

— Cóż teraz będzie?—powtórzył Rdzawicz, a w głosie jego było tyle bólu i tyle żałości, że Tężel uczuł, iż mu kurcz gardło ściska. Cóż miał odpowiedzieć?

Rdzawicz patrzył przed siebie. Wydawało się, jakby w nim coś zamarło. Nagle porwał się z sofy, usiadł i krzyknął gwałtownie:

— Nie można tak!... nie można tak!... Nie można się tak dać zarzynać. Pójdę do niej! Zaraz, w tej chwili! Każdego innego mogła odepchnąć, ale nie mnie—ona! Która godzina?... To nie może być...,

To był chwilowy szał, kaprys jakiś straszny... Pójdę do niej...

— Ależ jej już tu niema—przerwał mu Tężel. —List przed trzema dniami pisany, a pisze, że nazajutrz wyjeżdża.

— Pokaż!

Tężel podał mu list.

— Prawda... Ale nie, nie, ręczę ci, że ona tu jest. To jest szalony kaprys. Ręczę ci, że ona tu jest... Pójdę do niej! Mniejsza o to, że późno, nieraz później przychodziłem. Zresztą, co mi tam! Co mi tam wszystko!...

Zerwał się, przebrał z gorączkowym pośpiechem z podróżnego ubrania i zarzucił paltot.

— Iść z tobą?—spytał Tężel.

— Chodź!

Przez całą drogę nie mówili do siebie ani słowa. Rdzawicz, w którym widocznie chwilowa gorączka opadła, gryzł gałkę od laski. Tężel jechał pochylony, włożywszy dłonie między kolana.

Przed bramą siedział stróż. Znał on Rdzawicza, któremu nieraz bramę otwierał, i ukłonił się.

— Czy to panna Tyżwiecka wyjechała?—spytał Rdzawicz.

— Wyjechała, proszę wielmożnego pana.

— Wiecie na pewno?—pytał dalej, usiłując opanować łamiący się głos.

— Samem rzeczy do doróżki podawał.

— Kiedy wyjechała?

— Przedwczoraj rano.

— Czy sama pojechała?

— Pani panienkę odwiozła ale wczoraj już wróciła.

— Nie wiecie dokąd?

— Nie wiem też, proszę łaski pana.

— Poczekajcie... zaraz...

Wyjął bilet z portfelu i począł szybko pisać: „Do Wielmożnej Pani Julji Porzelskiej. Raczy Pani wybaczyć, że ośmielam się pisać do niej tak późno i w tej formie; przed chwilą jednak przyjechałem, a że stróż mówi mi, iż moja narzeczona wyjechała, radbym się dowiedzieć jej adresu, o który uprzejmie proszę. Nie przychodzę sam z tą prośbą, ze względu na późną godzinę.“

— Zanieście to na górę. Będzie odpowiedź.

Tężel stał, oparty na lasce pod bramą. Rdzawicz odszedł trochę trotuarem. Po chwili stróż wrócił.

— Jest odpowiedź?

— Jest, proszę łaski pana.

— Dobrze, macie na piwo.

Drżącą ręką rozdarł kopertę pod latarnią i począł czytać półgłosem:

„Szanowny Panie! Siostrzenica moja, wyjeżdżając, nie upoważniła mnie do udzielenia Panu jej adresu, oświadczyła mi jednak, że zwraca Panu słowo i że oznajmia Panu o tem w liście; dziwię się więc, że Szanowny Pan nazywa jeszcze moją kuzynkę swoją narzeczoną. Listy swoje, pozostawione przez Marynię u mnie, odbierze Pan po odesłaniu jej listów na moje ręce.

Z poważaniem

Julja Porzelska.“

Rdzawicz jęknął, zataczając się.

— Romek, Romek — szeptał Tężel błagalnie, chwytając go za rękę — Romek, cóż ty chcesz uczynić?! Opamiętaj się!

— Teraz już widzę, że to nie żart, że to prawda — rzekł Rdzawicz.

Szli przed siebie bez myśli — z ulicy w ulicę, z placu na plac, bez jednego słowa. Tężel rzucał od czasu do czasu okiem na Rdzawicza, ten jednak

szedł zupełnie automatycznie, z oczyma spuszczonemi wdół, widocznie nic nie widząc i tylko instyktownie wymijając ludzi.

...Zapamiętał się — myślał Tężel. Oprócz uczucia ogromnej litości, jakie miał dla Rdzawicza, przychodziło mu jeszcze ciągle na myśl, że Rdzawicz nic nie jadł po powrocie i że musiał być głodny. Powoli zaczęło go więcej dręczyć to, że Rdzawicz musi być głodny, niż to, co się stało. Ośmielił się i odezwał:

— Nic nie jadłeś od przyjazdu. Chodź gdzie.

— Dobrze. Idźmy.

— Gdzie chcesz?

— Gdzie bądź. Wszystko mi jedno.

Siedzieli już kilka minut w gabinecie restauracyjnym, ale Tężel nie śmiał ani mówić do Rdzawicza, ani nań spojrzeć. Lękał się. Kazał przynieść jedzenie i podać wino.

— Jakie chcesz, Romek? — spytał cicho.

— Wszystko mi jedno. Albo każ przynieść butelkę szampana.

— Dobrze.

Tężel spuścił oczy w talerz i słyszał, że Rdzawicz uderza szybko podeszwą w podłogę i palcami w stół. Odważył się i spojrzał nań ukradkiem.

Blady był, ale na twarzy miał dziwne, ceglaste rumieńce; wargi miał spieczone i jakby do wewnątrz cofnięte, skutkiem czego od kątów ust ku brodzie uczyniły się dwie nienaturalne brózdy; brwi się ściągały gwałtownie nad oczami, to podnosiły na moment wgórę i znowu ściągały. Patrzył przed siebie w jeden punkt, ale tak, jakby nigdzie nie widział nic.

Przyniesiono kolację. Tężel prawie jej nie tknął. Rdzawicz jadł dużo, niezmiernie prędko, jakby

nie zdając sobie zresztą z tego sprawy, co robił; pił również dużo i wkrótce butelka była próżna.

— Każ dać drugą — rzekł.

— Ale...

— Co „ale“? Chce mi się pić.

— Nie to, tylko...

— Nie masz pieniędzy?

— A nie...

— Ile masz?

— Mam wszystkiego siedem rubli i jakieś kopiejki. A ty?

— Ja mam tylko cztery ruble. Dopiero pojutrze będę miał pieniądze z Towarzystwa.

— A tu nas nawet nie znają.

Rdzawicz począł się śmiać nerwowo, a potem krzyknął:

— Garson!

Wszedł służący.

— Słuchaj, zapomnieliśmy pieniądze. Ten łańcuszek jest wart trzydzieści pięć rubli. Przynieś tu parę butelek szampana na ten łańcuszek. Przyniesiesz?

— Przyniosę, jaśnie panie.

Gdy szampana przyniesiono, Rdzawicz nalał sobie i Tężlowi kieliszek i zawołał:

— Słuchaj, Tężel, pij za nasze zdrowie!

— Za czyje?

— Za moje i Maryni... Pij!

Tężel nie chciał go drażnić; wypili.

— A teraz dalej. Pijmy za zdrowie jej przyszłego męża.

— Romek...

— Pij! Pij, kiedy ci mówię!

— A teraz, Tężel, pijmy za zdrowie jej dzieci. Wiwat jej dzieci!

— A teraz, Tężel, za zdrowie jej familji! Niech

żyje ciotka Porzelska i wszystkie babki, wuje, stryje! *Evviva!*

— Romek...

— Teraz, Tężel, niech żyje jej przyszły kochanek! Niech żyje ten, z którym się... Wypiłeś?

— Nie!

— To pij! Pij!

— Romek...

Rdzawicz w tej chwili grzmotnął o stół kieliszkiem, potem trzema pełnemi jeszcze butelkami o podłogę i padł na stół twarzą na skrzyżowane ramiona, wybuchając szalonym płaczem. Z krzesła przegiął się, jakby w konwulsjach, i runął na ziemię bez przytomności. Tężel poskoczył ku niemu. Rdzawicz padł nawznak, piana poczęła mu wybiegać na usta. Tężel przeląkł się strasznie. Pobiegł ku drzwiom, aby zawołać o pomoc, w tej chwili spotkał się z przechodzącym mimo Przerwicem.

— Pan Bóg pana przysłał!—zawołał.—On tam jest w gabinecie, chory.

— Chory? Cóż mu jest? — spytał Przerwic, tem więcej, że i Tężel wyglądał, jak po tyfusie.

— Zasłabł nagle. Chcę posłać po dorożkę, odwieźć go do domu.

— Ale cóż się stało?

— Albo ja wiem... Coś mu się nagle stało...

Przerwic przeraził się, wszedłszy do gabinetu. Rdzawicz leżał nawznak z rozwartemi ustami i pianą na ustach, zupełnie bezprzytomny.

Przy pomocy służby, zniósł Tężel Rdzawicza do dorożki, poczem wsiadł do niej wraz z Przerwicem.

— Lora będzie trochę niespokojna — mówił Przerwic, wsiadając — ale trudno. Nie mogę was tak puścić.

Ostre nocne powietrze poczęło Rdzawiczowi

wracać przytomność. Poruszył się, otworzył oczy i czując koło siebie kogoś trzeciego w dorożce, spytał:

— Tężel, kto tu jest?

— Twój kuzyn, pan Przerwic.

— A to dobrze. Jerzy, wiesz co się stało?

— Domyślam się.

Zamilkli, Rdzawicz, wysiadłszy z dorożki, szedł naprzód i zatrzymał się w pracowni.

Usiadł na sofie, zwiesił głowę i rzekł jakby do siebie:

— Jak ja będę dalej żył?... jak ja będę mógł żyć?...

Przerwic położył mu rękę na ramieniu, Tężel wsadził obie garści we włosy, zasłonił twarz i siedział z opartemi łokciami na stole.

— Jak ja będę dalej żył?... jak ja będę mógł żyć?... — powtórzył Rdzawicz przejmująco smutnym, zdławionym głosem.

— Co ja teraz zrobię?... — mówił. — Co ja teraz zrobię?... Dopiero teraz zaczynam czuć, co się stało... Pierwej wszystko mąciło mi się, jakby mi kto ukropu w mózg nalał... Teraz zaczynam widzieć jasno... Co ja teraz zrobię?...

— Romek, bój się Boga! — jęknął Tężel.

— Tak ją stracić, tak ją stracić — mówił Rdzawicz głosem cichym, spokojnym i zupełnie złamanym. — Tak ją stracić... Tak kochałem tę dziewczynę... Takiem mi wszystkiem była... była mi życiem całem, światem całym... Cóż ja prócz niej mam? Tak ją stracić...

Zwiesił głowę i oparł ją na rękach. Tężeł nie odrywał twarzy. Przerwic toczył machinalnie tam i napowrót rączką od pióra po stole.

— Wy nie wiecie, jaka ona była — mówił dalej Rdzawicz — jaka była dobra, jaka słodka, jaka

miła, jaka piękna... I tak ją stracić, na zawsze, na wieki, na całą wieczność stracić... Jerzy, czy ty myślisz, że ona nie wróci do mnie?

— Któż wie — odparł Przerwic. — Wszakże między mną a Lorą było półtora roku zerwania, a jednak dziś jesteśmy swoi.

— Tak, ale Marja nie wróci do mnie... nie wróci... Ty wiesz, że ona nie wróci... To już przepadło na zawsze... na całą wieczność przepadło...

Tężel ściskał palce we włosach.

— Pocóżem ja ją poznał?—mówił dalej Rdzawicz. — Miałem potem bardzo wiele ciężkich przejść, bardzo wiele zmartwień, upokorzeń, zgryzot, ale myślałem sobie: to wszystko nic! sto razy więcej jeszcze zniosę, byle tylko ona była moją. Choćbym miał zginąć, to zginę, bo to będzie dla niej... Ale i teraz nie żałuję... jeżeli zginę, to przez nią, przez moją Marję...

— Nie zginiesz — przerwał mu Przerwic—i mnie się tak zdawało z początku. Myślałem, że oszaleję, nadziei przecież żadnej nie miałem, gryzł mnie ból i żal, a przeciem przetrwał.

— Ale ja nie przetrwam. Ty jesteś silniejszym ode mnie. We mnie już jest śmierć.

— Romek, bój się Boga! — jęknął znowu Tężel.

Rdzawicz położył się na kanapie nawznak i założył rękę pod głowę. Oczy miał obrócone na sufit, ale patrzył, jakby wewnątrz siebie. I począł mówić:

— Cztery miesiące byliśmy narzeczonymi... Marja była już w Klężu, gdy przyjechałem. Gdym ją zobaczył stało mi się, jakby mi słońce w piersi weszło. Stało mi się nieraz tak jasno i płomień mię przeleciał od stóp do głów... A potem nagle pociemniało mi w oczach i dreszcz mię przebiegł. Marja spostrzegła to. Odrazu było między nami

jakoś dziwnie, od pierwszej chwili coś zawiązało się... Od pierwszej chwili... a teraz, widzicie... Czy można w to uwierzyć... Jakże tak można było...

Głosu mu brakło i urwał, ale po chwili, jakby mówić musiał, znów zaczął:

— Panna Strzeliska robiła mi takie awanse, że nas to zmuszało trzymać się zrazu zdaleka. Zresztą, ja w tym domu z moją biedą i z moim bez sławy jeszcze artyzmem, czułem się bardzo nieśmiały i bałem się, aby mnie na pierwszym kroku nie uderzono w czoło. Cóż ja byłem przy tych ludziach, którzy mieli pałace, lokajów, powozy i karety?!...

Ale raz zdarzyło się tak: siedzieliśmy we troje w salonie nadole. Była zimowa noc. Na polu było od księżyca niebiesko i srebrzyście, wielka przestrzeń pustych pól i zboku las. Widziałem przez okno lisa, który wyszedł z lasu i stanął na chwilę. Jadwiga przyniosła stare wino, wypiliśmy trochę. To wino i ta noc, ta wielka pustka śniegowa rozmarzyły mię. Marja siedziała obok mnie na kozetce, panna Strzeliska na fotelu. Mówiłem. Czułem się jakoś dziwnie nastrojony i czułem, że mówię nie tak, jak zawsze. Mówiłem im o mojem dzieciństwie, o mojej przeszłości, o moich robotach dawnych i projektach na przyszłość. Mówiłem wszystko—ile przeszedłem bied, ile klęsk. Opowiadałem im nakoniec o tem, jak raz w Monachjum, wysiadając z tramwaju, oderwałem sobie podeszwę, a nie miałem za co wziąć dorożki i pojechać do domu. Musiałem dojść z kłapiącą pod nogą podeszwą. Wtenczas stała się dziwna rzecz. Jadwiga Strzeliska zerwała się z fotelu i wybiegła z pokoju; my zostaliśmy sami. Spojrzałem na Marję; była zaczerwieniona i miała jakieś dziwne światła w oczach. Patrzyła przed siebie. Pochy-

lilem ku jej ramieniu głowę — nie cofnęła się. Wówczas stało mi się coś takiego, jakby mnie obejmowała słodka śmierć... Głowa opadła mi na jej ramię, wziąłem jej ręce, podniosłem je do ust i pocałowałem końce palców jej obu rąk, stulone w moich rękach. Potem, sam nie wiem, jak się to stało, objąłem ją lewem ramieniem i przyciągnąłem do piersi. Nie broniła się, tylko oddychała mocno i prędko. Pocałowałem ją w czoło i w kąt ust... W tej chwili weszła Strzeliska z zaczerwienionemi oczyma. Spojrzała na nas, zbladła, zawahała się trochę, a potem wzięła moją rękę i Marji, złączyła z sobą i trzymała je tak chwilę.

Jakoś wstaliśmy i przeszliśmy do sąsiedniego pokoju, w którym nie było lampy, tylko tyle światła, ile dawała lampa z salonu i księżyc. Marja usiadła na wielkim fotelu pani Strzeliskiej, ja obok niej na taborecie, Jadwiga na poduszkach podróżnych na ziemi. Nie mówiliśmy nic. Objąłem Marji ramiona ręką, jakby już była moją. Drugą rękę trzymałem na poręczy fotelu. Nagle uczułem, że Jadwiga przyciska mi usta do wielkiego palca, a potem powiedziała mi cicho:—„Pan taki rozumny, a szuka pan daleko, nie widząc, co pan ma blisko siebie".—Udałem, że nic nie czułem, a nie wiem, co naprawdę myślała.

— Szczególna panna — rzekł Przerwic.

— Przesiedzieliśmy tak do wpół do czwartej rano. Czułem, że już jestem na wieki Marji oddany i że ona jest jakby moją... To była dziwna noc...

Potem byliśmy już jakby narzeczeni, choć oprócz nas trojga, nikt o tem nic nie wiedział. Jadwiga opiekowała się nami. Zeszło tak kilka tygodni, jak sen. Ale ostatecznie nic zupełnie wypowiedzianego między nami nie było. Ja bałem się poprostu. Wydawało mi się czemś tak niesły-

chanem, żebym ja się miał chcieć żenić i jeszcze z taką panną, jak Marja, młodą, śliczną, majętną.

I, byłoby może wszystko tak przeszło, jak wizja senna, bo i Marja czyniła mi czasem takie wrażenie, jakby się lękała i żałowała. Jej się także to wszystko musiało wydawać czemś tak niespodzianem, odurzającem — i wiem, że tak było. Ale raz zaziębiłem się. Zdawało mi się, że będę miał tyfus. Myślałem, że może umrę, a choć żal mi było życia, teraz zwłaszcza, i choć śmierć jest dla mnie czemś okropnem, myślałem, że możebym się zgodził tu umrzeć, przy niej. Podczas choroby umieszczono mnie w gościnnym domku w ogrodzie, żeby było ciszej i spokojniej, i na wypadek choroby zaraźliwej, bezpieczniej. Chory byłem tydzień.

Jadwiga przychodziła i siadywała przy mnie całemi godzinami. Marja przysyłała mi tylko kwiaty i pisywała do mnie. Tak słodko pisywała... Ona ma w sobie tyle jakiegoś dziecinnego czaru... Nie wiem, co mi właściwie było, jakaś gorączka. Gdy przyszedłem pierwszy raz znów do pałacu, blady i mizerny, zostaliśmy po kolacji sami w jadalnym pokoju. Marja popatrzyła na mnie smutno, a potem uśmiechnęła się i powiedziała, że jej się śniło, iż wyszła z pałacu i spotkała ludzi, którzy nieśli trumnę przez ogród w stronę domku, w którym ja byłem chory. Spytała się ich, dokąd idą i dla kogo ta trumna? Ci ludzie odpowiedzieli, że ja jestem bardzo chory i że dla mnie ją niosą. Wtedy poszła za nimi i weszła do mego pokoju. Zobaczyła, że ja leżę nawznak, z pochyloną wtył głową z zamkniętemi oczyma, blady, prawie zielony. Koło łóżka był jej wuj, babka, Jadwiga i dużo nieznanych jej ludzi. Wszyscy popatrzyli na nią. Podeszła ku łóżku i pochyliła się nade mną.

Ja wtedy oczy otworzyłem i poruszyłem się, jakbym się ożywiał pod wpływem jej oddechu... Tak to doskonale pamiętam, powtarzam wam zupełnie dosłownie to, co mówiła. Wziąłem ją za ręce i powiedziałem jej: może tak naprawdę będę umierał i może mnie pani naprawdę ożywi — ale równocześnie zrobiło mi się dziwnie smutno i jakiś mróz mnie przeszedł. W tej chwili weszła do pokoju Jadwiga, spojrzała na nas, patrzyła długo i powiedziała nam: — „Kochacie się! to się pobierzcie!“ — i wyszła.

Ścisnąłem silniej ręce Marji i spytałem się jej: — Czy chcesz, żebym cię wziął? — A ona jakoś opadła ciałem ku mnie i odszepnęła: — „Weź mię...“

Rdzawicz umilkł, głos mu się zerwał w gardle, poczęło go dławić łkanie. Przerwic siedział ze spuszczoną głową. Tężel zaciskał oczy pięściami. Potem Rdzawicz, jakby musiał mówić, znów począł opowiadać:

— To były nasze zaręczyny. Pierścionków nie zamienialiśmy. Na razie postanowiliśmy zachować tajemnicę. Ale było nam to za trudno. Jadwiga opowiedziała ojcu i babce. Oboje zdziwili się bardzo i jakby przelękli, ale nic nie mieli przeciwko temu. Radzili tylko, żeby poczekać, aż sam dojdę do jakichś stałych dochodów, żeby nie mówiono, że się dla majątku żenię. Marja ma przeszło czterdzieści tysięcy rubli posagu; dla mnie to jest dużo. Ja sam nie chciałem inaczej. Z początku zdawało nam się wszystko takie łatwe, takie słoneczne. A we mnie istotnie coś się przerodziło czy odrodziło. Znajomi, gdy przyjechałem do Warszawy, dziwili się, co się ze mną stało. Ja sam czułem, że mi jakieś inne serce w piersiach bije, że jestem jakiś lepszy, jasny, szlachetniejszy jakiś i pogodniejszy dla świata... Mie-

wałem takie cudowne chwile. Pamiętam raz w teatrze taka była śliczna... taka śliczna... Siedziałem za nią. Śmiała się na głos i otwierała usteczka i świeciła ząbkami. Cała była różowa i uśmiechnięta, taka jasna, taka złota, taka moja!... Wszyscy na nas patrzyli. Widziała to i pochylała się wtył ku mnie, tak, że mnie prawie muskała loczkami po czole. Kokietowała mną ludzi i śmieliśmy sią z tego oboje. Taka była moja własna... A drugi raz, także w teatrze, ja siedziałem w krzesłach, bo w loży nie było miejsca. Była jakaś niezdrowa, bledziutka. Oparła główkę o filar i przymknęła oczy. Była taka cudna... Tak mi się rwało do niej serce... Ja nie wiem dlaczego, może to jest źle, może nawet w tym razie podle, muszę jednak to mówić.

Otóż raz, jeszcze dawno, jeszcze w Klężu, była między nami scena. Byłem świeżo po chorobie, szalenie rozdrażniony, nie kupili mi rzeźby na wystawie, portret pani Strzeliskiej mi nie szedł, coś złego mię opętało. Marja zrobiła mi tego dnia ogromną przykrość, gdyż swoim kuzynom Leszczyckim, którzy przyjechali do Klęża, a o niczem nie wiedzieli, nie przedstawiła mię, jako swego narzeczonego, skutkiem czego nie uczynił tego i pan Strzeliski; babka była słaba i nie wyszła z pokoju. Miałem wielki żal do Marji, choć tłumaczyła się, że to jeszcze nieoficjalne, więc, że dlatego, że zresztą może napisać do Leszczyckich, jeżeli mi na tem zależy. Ale ja byłem zły i nie chciałem z nią mówić. Poszedłem do siebie. Wieczorem już ktoś puka i wchodzi Marja, czego nigdy nie bywało, blada i zmieszana, i zaczyna mi znów tłumaczyć. Ja nie chcę o niczem słyszeć i mówię jej, że nie zależy mi na takich rzeczach, gdybym mógł być przez jej rodzinę chętnie wi-

dzianym, ale przecież wie, że tak być nie może. Byłem tak rozdrażniony, żem się uniósł. Wtenczas zrobiłem ogromne barbarzyństwo, rzecz, której sobie do końca życia, cokolwiek będzie, nie wybaczę. Marja uklękła przede mną, złożyła ręce, spojrzała na mnie tak dziwnie i rzewnie i powiedziała tak jakoś prosząco: —„Mały!“ — bo ona mnie tak czasem nazywała, a ja jej na to odpowiedziałem: „Niech pani wstanie, bo to na mnie żadnego wrażenia nie robi...“

— I cóż? zemdlała czy trzasnęła ci drzwiami pod nosem i wyszła? — spytał Przerwic.

— Nie, wstała i wypiła szklankę wody.

— Tak!? — rzekł Przerwic bardzo zdziwionym głosem.

Rdzawicz mówił dalej:

— Wyszła... myślałem, że sobie w łeb palnę, że wszystko już skończone. Rzuciłem się na łóżko i zacząłem tarzać po niem, myślałem, że konwulsyj dostanę albo, że mi się coś z mózgu skruszy i spali. Do krwi sobie palce pogryzłem. Ale w pół godziny później dostałem od niej karteczkę, na której było napisane: —„Jeżeli się nie gniewa — to przyjdzie...“ Za chwilę całowałem ją po rękach i nogach i byłbym jej duszę dał... A teraz cóż jest przede mną?...Mam takie uczucie, jakby przede mną stała śmierć...

Tężel wzdrygnął się na kreśle, Przerwic zaś rzekł:

— Musisz wyjechać.

— Wyjechać? — odparł Rdzawicz. — Poco? i dokąd? Cóż to pomoże?

— Zobaczysz, jak wyjedziesz.

— Kiedy ja nie chcę żyć.

Przerwic ujął Rdzawicza za obie ręce i mówił:

— Mój drogi, mój drogi, życie bywa straszne,

śmiertelnie ciężkie, ja to wiem tak dobrze, jak ty, ale znosi się więcej, niż się myśli, że się zniesie, to także wiem. Teraz nie chcesz żyć — rozumiem cię, ale nie będziesz chciał umrzeć, bądź pewny. Nie masz pieniędzy — dam ci je i wyjedziesz.

Rdzawicz wzruszył ramionami, Przerwic zaś mówił dalej:

— Wszystko obmyśliłem! ty nie masz pieniędzy, pan Tężel nie ma ich także, ja mógłbym ci dać teraz najwyżej dwieście, trzysta rubli, a to jest nic! Pożyczę dla ciebie dwa tysiące od Stosławskiego. On nawet nie będzie wiedział, komu je daje; pożyczę tak, jakbym je brał dla siebie. Oddasz mu, kiedy będziesz miał albo poprostu odrzeźbisz. Mówił mi nawet, że chętnieby u ciebie co zamówił. Pieniądze będziesz miał jutro i pojedziesz.

W tej chwili Przerwic cofnął się wtył, albowiem Rdzawicz porwał się nagle z kanapy, chwycił za krzesło i rzucił niem z ogromnym rozmachem... Anioł życia, ugodzony w pierś, runął z łoskotem na podłogę i rozbił się w kawałki...

— Coś ty uczynił, Romek! — krzyknął, podnosząc ręce, Tężel.

— Co widzisz!... — odparł Rdzawicz.

ROZDZIAŁ II

Tężel odebrał następującą kartkę:

„Palermo, 3 sierpnia 1894 r.

List twój mnie doszedł. Domyślam się, że adres musiał Przerwicowi ktoś z Polaków stąd posłać. Nie pytasz mnie o nic. Widzisz, żyję. Zatem nie kochałem jej, bo gdybym kochał, nie żyłbym. Ludzie, którzy naprawdę kochają, nie żyją po śmierci tych, których kochali. A przecież Marja dla mnie umarła.

Żyję, jestem, będę żył. Przerwic miał rację: nie chciałem żyć, a nie chcę umrzeć. Więc żyję, żyć będę. Słońce na mnie świeci tak, jak i na wszystkich innych—dlaczego nie mam żyć? Ciepło mi jest i widno. Jeśli chcesz, to pisuj.

Twój

Roman Rdzawicz.“

„Palermo, 18 sierpnia 1894 r.

Drugą twoją kartkę odebrałem. Żyję. Przerwic miał rację.“

„Neapol, 27 sierpnia 1894 r.

Mój drogi! Nie kochałem jej. Gdybym był kochał—nie żyłbym. Ona musiała mieć słuszność — musieliśmy się łudzić. Ale, jeżeli nie kochałem, dlaczego mi tak jest?

Mam ciągle uczucie, że mam przed sobą przepaść. Wydaje mi się, jakbym miał poza sobą jakiś

las, jakiś bór straszny, ciemny, nieprzejrzany, w który się patrzeć boję, aby mu się oczy w nim obłąkały.

Co ja przeszedłem?

Wyleciałem od was, jak warjat. Nie wiem nawet, gdziem był. Jechałem i jechałem. Byle dalej... byle dalej... I poco? Nie zostawia się myśli po budkach dróżniczych.

Nie mogę więcej pisać."

„Sorento, 8 września 1894 r.

Dziwnie tu jest cicho. Nie mogłem już wytrzymać w Neapolu.

W tej chwili siedzę przed otwartem oknem i patrzę. Niebo jest bardzo ciemne, a na niem pełno gwiazd. Góry mi się majaczą. Cicho jest i powietrze pachnie.

Pusto zupełnie. Wszyscy śpią. Chodziłem długo koło hotelu.

O tej porze gdzieś w ogrodzie kłężyckim, czy gdziekolwiek indziej, mogłem był tak samo chodzić z nią, z Marją... moją Marją...

Nazywam ją moją, choć już wiem, że nią nie jest i nigdy nie będzie. Długo, długo nie mogłem w to uwierzyć, nie mogłem się do tego przyzwyczaić. Pomyśl, przez tyle miesięcy ja mogłem o niej mówić—moja... Ja dopiero teraz wiem, co to jest stracić kobietę, czuć ją swoją, należną do siebie... i stracić... Wiesz—myśl, co chcesz, mimo, że Marja odtrąciła mnie w taki sposób, że człowiek naprawdę dumny byłby tego nigdy nie uczynił—ja pisałem do niej.

Napisałem jej, że mnie ma u nóg swoich, że jestem gotów na wszystko dla niej, że jeśli jej rodzinie wadzi mój artyzm, przysięgam, że więcej dłuta do ręki nie wezmę; że jeśli chodzi o to, że

nie mam majątku, do fabryki pójdę za robotnika, a zrobię majątek... Czego ja nie napisałem! List zwróciła mi jej ciotka, odpisując, że Marja jest chora, i ona, nie znając mego pisma, otwarła list, za co przeprasza i prosi, upoważniona do tego przez Marję, abym więcej nie pisywał, gdyż listy nie będą wcale otwierane. Od siebie zaś dziękuje mi naprzód za zastosowanie się do tego życzenia.

Myślałem, że oszaleję!

Czy ty możesz odczuć, co ja odczułem! Marja, moja najdroższa, moja jedyna na świecie Marja, ta kobieta, która mi mało tysiąc razy powiedziała: —„Jestem twoją!“—jest chora i ja nie mogę nawet wiedzieć, co jej jest?! Z dnia na dzień utracić prawo do wiedzenia o tem, że ktoś—kto był moją własnością i którego własnością ja się czułem—robi, co się z nim dzieje? Pierwszy lepszy obcy człowiek, pierwszy lepszy z tych jej salonowych adoratorów mógł się dowiedzieć o jej zdrowiu, a ja, ja, co jej ręce i nogi całowałem, ja, cobym za nią krew serdeczną dał i świat dał cały, ja nie mogę nawet spytać, jak jej jest!... I pomyśleć, że pierwszy lepszy obcy człowiek, o którym ona nigdy nie myśli i nigdy myśleć nie będzie, może z nią rozmawiać, a ja—nie!... a ja—nie!... Piekło jest we mnie i śmierć, gdy o tem myślę; zdaje mi się, że mi się załamuje mózg i że mi coś w nim pęka i wdół opada.

I ta obca, zimna, twarda ręka, która się między nas wsunęła! Z dnia na dzień, z godziny na godzinę, już ma prawo ktoś wchodzić między nas, już krewni bliżsi jej są na nowo, niż ja, ja, com był jej narzeczonym i miał być jej mężem... I oto ona, ona sama daje to prawo!...

Teraz jest u was jeszcze ciepło. Ona tam konno, jeśli jest już zdrowa, jeździ na wsi lub w War-

szawie, na wyścigach w loży siedzi. Widzę ją i ten tłum, co ją otacza. Cóż ci ludzie mają za prawo do niej wobec mnie... wobec mnie, któremu ona dobrowolnie przysięgła, że mnie nie opuści nigdy... aż do śmierci, jak ja jej przysiągłem?! I mnie, mnie teraz, gdybym tam był, nie byłoby wolno zbliżyć się do niej! Gdybym się ukłonił, możeby się nie odkłoniła — mnie, który mogłem jej ręce brać i na szyi sobie zaplatać i który mogłem jej główkę na piersi sobie opierać i czuć ją moją, moją, moją, całą moją, całą tylko do mnie należną... Widzę ją, jak się uśmiecha, jak rozmawia, jak czaruje ludzi... Czy ona myśli jeszcze kiedy o mnie? Nie, nie może nie myśleć!... Takiej przeszłości, takich chwil się nie zapomina... Księżyc wychodzi nad góry i jest tak cicho, tak cicho... Gdybym tu z nią był! Chodzilibyśmy po tem wybrzeżu, ona mi na ramieniu oparta, wpółbym ją objął i za rękę trzymał. Chodzilibyśmy i nie mówili nic. Sercaby nam biły tylko i mówiły z sobą. Wszakże tak mogło być...

Czuję ją tu, przy sobie... Włosy mi jej pachną. Widzę jej oczy, te cudne ciemnoszafirowe oczy o blasku złocistym. Słyszę jej głos... I pomyśleć, że nigdy, nigdy ona nie będzie moją, nigdy... nigdy... nigdy...

I żyć?!...“

„Capri, 19 września 1894 r.

Czy ty pamiętasz ten sonet Przerwica:

„Wszystko więc przeszło, wszystko przeminęło
I nigdy, nigdy, nigdy nie powstanie,
Wszystko w grobowe runęło otchłanie
Na wieki wieków, na wieczność runęło...

Milczące, ciche, straszne śmierci dzieło...
Niczemże szczęście? Niczemże kochanie?
Niczem ból? Niczem! W głuchym oceanie
Ileż okrętów bez śladu zginęło!

Trzy siostry były, trzy siostry, jak Psyche
Przeczyste, jasne, trwożliwe i ciche:
Wiara, Nadzieja, Miłość — ich imiona.

Z tych dwie umarły, a trzecia nad niemi
W niemej boleści, z rękoma zwisłemi
Miłość stanęła, jak słup odrętwiona..."

Wiesz, kiedy ten sonet był napisany? Chodząc nad morzem, długo go sobie powtarzałem wczoraj w myśli i półgłosem.

To jednak są ogromne dane być poetą. Przerwic wydał swój cykl „Umarłej" i temi sonetami ożywił swoją umarłą. A cóż ja mogę zrobić? Jakże jej wypowiem mój ból, mój żal, moją rozpacz i moją miłość, i moją śmierć bez niej—kamieniem?.."

„*Rzym, 30 września.*

Uciekłem z Capri. Błąkałem się tu po Watykanie i Kapitolu. Jezus, Marja, co za marmury! Ale patrzę na nie jak błędny.

Wszedłem tu kiedyś do jakiegoś kościoła; nie wiem, jak się nazywa. Był zmrok. Tylko przed Chrystusem na krzyżu w bocznej nawie paliła się lampa. Doznałem dziwnego uczucia — coś mi poprostu zmieniło serce w łzę. Wydało mi się, że ten kościół ciosowy w niebo gdzieś rośnie i że to jakby moja dusza go stawia i wznosi, wznosi coraz wyżej, w otchłań wysokości. Miałem wrażenie, że się ściany walą nade mną gdzieś z pod nieba, z pod firmamentu wdół.

Stałem tam naprzeciw Chrystusa na krzyżu i myślałem, że mi serce pęknie, że w tym kościele trupem padnę.

Ludzie śpiewali jakąś pieśń nabożną. Był to niewielki chór przed jednym z ołtarzy. Chór ten szedł w strop kościoła w falującą tam woń kadzidła, w dym i ciemność. Było w tym śpiewie

tyle prośby, tyle wiary i tyle nadziei... Ja tylko jeden, osobno, naboku, o jakiś zimny, marmurowy filar oparty, bez żadnej wiary, bez żadnej nadziei, nie miałem o co prosić... To jedno, o cobym prosił, tego żaden Bóg nie spełni. Wszystko na ziemi i niebie zasłoniła mi jedna kobieta. Aż wkońcu, kiedy poczęto śpiewać jakąś pieśń, podobną do naszego „Święty Boże, Święty mocny, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny" i wszyscy uklękli, ukląkłem i ja, a raczej upadłem na kolana, nie z pokory, nie z czci, ale żem już ciężaru bólu utrzymać na sobie nie mógł, że mi się zdawało, że jeżeli się pod nim nie ugnę, to on mię złamie i zgniecie. Głowa pochylała mi się coraz bardziej, bardziej, aż na jakiś próg kamienny upadłem czołem—a ten kościół olbrzymi ciosowy walił się nade mną z pod nieba, ze swoim mrokiem, głuszą, dymem kadzideł, śpiewem i Chrystusem, rozpiętym na krzyżu, który milczał nade mną, jak noc..."

„Rzym, 5 października.

Nie wytrwam, w łeb sobie strzelę. Co ja cierpię, jak ja się męczę, nie może nikt sobie wyobrazić. Myślałem, że zwarjuję dzisiejszej nocy— i czemużem nie zwarjował?!...

Wszedłem wczoraj do sklepu po cygara. Czułem się wogóle bardzo zmęczony i dosyć spokojny. Nieszczęście chciało, żem spojrzał na ścianę. Wisiało tam ogłoszenie jakiejś kawy, którą w filiżance podawała dziewczyna. Różowa była; miała ciemnoszafirowe oczy i blond włosy, pełne piersi i pełne biodra w przegięciu, z głową nieco wtył odwróconą. Wzdrygnąłem się, jakby mię ktoś w serce pchnął — ta malowana dziewczyna z anonsu tak mi ruchem przypomniała

wszystko... Ileż razy Marja, tak stanąwszy w chodzie, przechylała wtył główkę ku mnie, gdym do niej się ozwał i odwracała się nieco! Stała tak i słuchała, oprawna w swoje przepyszne biodra. Lubiła mnie tak słuchać, a gdym mówić przestawał, powtarzała:—„Mów jeszcze...“

Czy ty wiesz, co to jest mieć swoją kobietę? Jak się jej jest ot wprost wdzięcznym za to, że jest, że się urodziła. Wszędzie, zawsze robisz jej przy sobie miejsce, nie możesz siebie bez niej pomyśleć. Rano widzisz obok jej różową twarzyczkę, z półotwartemi usteczkami, z zamkniętemi oczętami, z czemś dziecinnem i kociem, i anielskiem w sennym wyrazie. Wzięłoby się ją w ręce, na obu policzkach położyło dłonie, podniosło trochę główkę i przygniotło lekko twarz, żeby się usta wysunęły nieco, jakby się kielich kwiatu ku tobie rozchylał... W takiej chwili kobieta musi się stawać czemś upragnionem do śmierci, a zarazem takiem świętem, taką łaską, zesłaną ci z nieba, takiem bogactwem nadziemskiem, takim darem Bożym niezmiernym... Oto jej potem nóżki w ręce bierzesz i całujesz i duszębyś swoją w te nóżki wtopił przez usta i oddałbyś tym nóżkom, tym dwom małym białoróżowym stopkom i tym paluszkom drobnym życie swoje, wszystko, coś miał i mieć możesz...

I ja to wszystko, wszystko mieć mogłem, byłem tak bliski tego... Ach, mój drogi! kula w łeb—czy to nie najlepszy koniec tej męki?...

Przerwałem list. Jest teraz wieczór. Cicho się robi. O takiej porze raz chodziliśmy po ogrodzie. Oparła mi głowę na ramieniu i nic nie mówiła. A potem powiedziała mi to, co nieraz potem powtórzyła:—„Lękam się tylko o twoje szczęście; byleś ty był szczęśliwy—będę szczęśliwa!“ Ja tego

dnia rano pytałem jej się, czy się nie boi życia ze mną, czy nie lęka się, że może zrozumieć, iż mogłaby być szczęśliwą z kimś innym.“

„Wenecja, 25 października.

Jak ja tęsknę, jak ja straszliwie tęsknę! Całemi dniami pływam w gondoli i zdaje mi się, że życie ucieka ze mnie za każdym jej ruchem. Gondoljerzy zauważyli, że mi coś jest... wożą mnie, nie mówiąc do mnie nic, nic nie objaśniając. Cicho w nocy płynę nieraz po tem cmentarnem mieście, w tej głuchej pustyni murów, a wewnątrz mi coś wyje, coś tarza się z bólu. Godzina za godziną mija, płyniemy tak, milczący, zdaje mi się, że on trupa mego wiezie, ten gondoljer, że ciało moje umarło, a dusza odejść nie może od ziemi i kona z rozpaczy i nie może umrzeć, ani wrócić do ciała, aby żyć...

Nie zwiedzam nic, nie obchodzi mię nic. Błąkam się po mieście całemi dniami. Pojadę stąd, ale jeszcze nie wiem dokąd. Gdybym nie był podłym tchórzem, wiedziałbym dokąd iść... A jednak jedna dziewczyna przepowiedziała mi, że nie umrę normalną śmiercią. Umarła sama i nie przekonała się. Dziwna jest melancholja w jej pamięci dla mnie przez tę jej wróżbę i przez tę śmierć, nim się wróżba spełniła. Prawda, jaką wszystko, co umrze, ma w sobie spokojną melancholję, jaki cichy smutek jest w rzeczach umarłych? Ciekawym, czy Tobie przychodzą kiedy podobne myśli? Ja nieraz, zamknąwszy oczy, czytam moje własne klepsydry:

R o m a n R d z a w i c z
artysta rzeźbiarz,
urodzony w 1868 roku—um...“

„Wenecja, 26 października.

Byłem dziś na Lido. Jedzie się małym statkiem, zwanym vaporetto, z Riva degli Schiavoni, koło dwudziestu minut może. Na Lido masz pierwsze konie w Wenecji, pola orne i jakieś plantacje. Poszedłem nad morze, nad brzeg i położyłem się na piasku. Za sobą miałem zielony wał, trawą porosły, za nim aleję drzewną; przed sobą morze i na niem daleko okręty. Morze szumiało, szło i szło pod brzeg. Zapatrzyłem się w to niebo włoskie, zasłuchałem w ten szum i doznałem dziwnego wrażenia, jakiegom nigdy przedtem nie doznawał. Piszę ci o niem dlatego właśnie. Oto wydało mu się, że może wszystko to, com przeżył, to jest sen, jakieś fantastyczne marzenie. Naprzód zaczęło mi się wydawać, że snem jest to, com przeszedł z Marją; potem powoli wszystko, całe moje życie. Kto wie—myślałem—czy ja byłem kiedykołwiek gdzie indziej, czy ja nie jestem tutejszy, czy ja nie mieszkam tu zawsze? takiem się wtopił, wsiąkł w to morze i niebo, żem się o to prawie mógł pytać. Wszystko zatem jest nieprawdą, wstanę, otrząsnę się z tego, co mi się tu, na tym piasku, marzyło, jak ze snu, i zacznę żyć po dawnemu, tem życiem, któregom na chwilę zapomniał, a które mi się znów po fantasmagorjach wyobraźni wraca. Ale potem już i to wrażenie straciłem; poczęło mi się wydawać, że ja może jestem wprost jakąś częścią tego pejzażu, może drzewem czy kamieniem, któremu się śniło, że się urodził w Topieli, stracił ojca i matkę, wziął trzy konkursy, był w Monachjum, łajdaczył się, nakoniec był narzeczonym... Dziwna myśl, prawda?

Byłem narzeczonym... Nie jestem już nim. Nie mam już narzeczonej. Jak ja sobie przypomnę, że

ona mówiła mi:—„Mój narzeczony"—i o mnie mówiła:—„Mój narzeczony;" że budziła się z tą myślą i zasypiała z nią, bo tak było, wiem, że tak było, cokolwiek jest dzisiaj... Jak sobie to pomyślę — ach, Tężel, Tężel, nie mam już sił...

Jej musi mnie braknąć, nie może być inaczej. Musi i jej być pusto; tyle czasu mogła myśleć o kimś, tak, jak się myśli o swoim narzeczonym. Przecież byłem nim z jej wolą, może więcej przez nią, niż przez siebie. Musiała się przyzwyczaić do tej myśli, jak ja jej szukam. Prawda, zapominam, że ja ją kocham, a ona mnie nie...

Wiesz Ty, co to jest tęsknota? Kiedym tam, nad morzem, leżał, a już przestał marzyć jak dziecko i oprzytomniał—myślałem, że mi piersi pękną. Cóż jest, cóż się stało? Czemu jestem tu w jakiemś zupełnie obcem mi miejscu, nad morzem? U nas niema morza, niema tych rzeźb srebrzystych, ani tych kwiatów—dleczegóż ja tu jestem? poco? Czemu nie jestem w kraju razem z wami wszystkimi, razem z Marją? Czemu jestem tu sam jeden pośród obcych, gdzie nikogo nie znam, gdzie nikt mnie nie zna? Dlaczego nie wiem, co Marja w tej chwili robi, gdzie jest? Dlaczego rzuciłem swoją pracownię, moją robotę? Dlaczego włóczę się po tym cudzym świecie, bez potrzeby? Co to jest? co się stało?

Tężel, ja się muszę skarżyć. Patrz na mnie, jak na dziecko, jednak będę się skarżył. Nadto mię boli. Mój ból jest jak sztylet sztuczny, który się rozszerza w ranie. Ci ludzie, którzy koło mnie chodzą, patrzą na mnie obojętnie; dlaczego ci przeklęci ludzie nie wiedzą, co we mnie jest! Powinni mi się rozstępować, powinni przy mnie mówić cicho, powinni mieć wszędzie i zawsze wzgląd dla mnie dlatego, że jestem nieszczęśliwy. A oni

nie wiedzą nic, nic! Łażą, wrzeszczą, śmieją się, jakby w człowieku, który koło nich przechodzi, nie konało coś, jakbym nie niósł w sobie pomiędzy nich śmierci...“

„27-go.

Od rana samego jestem dziś jak z krzyża zdjęty. Łzy, wbrew woli mojej, rzucają mi się z oczu z taką siłą, jakby się nagle krater wulkanu otworzył i długo tłumioną lawę wyrzucał. Nie chcę żyć, nie mogę...

Coś dziwnego dzieje się we mnie. Ja już nie wiem prawie, kogo kochałem i kogom stracił — czuję tylko taką ogromną, szaloną potrzebę kochania. Ręce mi się wyciągają same, przy mojej piersi musi być coś, co się da owinąć ramionami, przycisnąć, spoić ze mną. Nagromadził się we mnie olbrzymi materjał miłości, nagle pozostałem z tą rozszalałą kochaniem duszą i rozszalałemi kochaniem zmysłami sam — nie mam kogo kochać, nie mam komu mówić: kocham, kocha; nie mam czyich rąk do ust przyciskać, nie mam w czyje oczy patrzeć, czyjego głosu słuchać, czyjego oddechu chwytać i wciągać, w czyje usta się choć w myśli wgryzać. Zostałem tak, jak rozpędzony koń, któremu się nagle z pod nóg ziemia urwała i zawisł w locie nad otchłanią. Musi lecieć, a niema gdzie.

Z olbrzymiego mego uczucia ja nic nie wydaje: żal i tęsknota nie są kochaniem. Ja potrzebuję tarzać się w miłości, wklęsnąć w nią, wryć się w nią i przepaść w niej. Chcę kochać, chcę mówić o tem, chcę wylewać z siebie ten rozhukany ocean uczucia, inaczej pierś mi rozsądzi!

Była kiedy jaka Marja? Nie wiem i nie dbam o to. Wiem, żem się rozkochał, że każda we mnie kostka, każdy nerw, każda kropelka krwi jest ko-

chaniem, że muszę ten nagromadzony olbrzymi materjał wydać z siebie, gdyż inaczej zabije mię, jak wrząca woda rozrywa zalutowane naczynie.

„Wyciągają mi się ręce ku wszystkiemu, ku kobietom, które widzę z okna, ku niebu, ku drzewom w niedalekim mi ogrodzie, ku słońcu, ku blaskowi, ku morzu. Chciałbym objąć, objąć, objąć, cisnąć ku sobie, stapiać się z czemś innem w jedno. Czuję poprostu ból w ramionach od daremnego pragnienia objęcia, jakiś dziwny ból na piersiach, na których niema nic, coby się w nie wgnieść chciało... Nie mogę już dłużej pisać, krew mi głowę rozsadza.

Biegałem przez kilka godzin, jak szalony, po mieście. Musiałem się wstrzymywać, aby się nie rzucić ku pierwszej lepszej kobiecie, nie paść jej do nóg i nie krzyczeć jej: kocham cię! kocham cię!

Porwałem wieczorem do gondoli jakąś Włoszkę, nie wiem nawet dobrze, jak wyglądała. Całowałem ją po końcach palców, po nogach, po bucikach, myślałem, że ją spalę oddechem, zduszę, że się z nią zmieszam w jakąś jedną płonącą masę, jak dwa metale stopione w ogniu. Szeptałem jej:—amo! amo!—jakby ta spotkana dziewczyna była moją kochanką lub młodą żoną. Z początku uśmiechała się, a potem i ona poczęła ulegać i drżeć.

A teraz ogarnia mię taki żal, głęboki, wielki, taki żal i siebie, i Marji. Wszakże to moje uczucie, ta moja potrzeba kochania powinna była być naszą wspólną własnością. Ja nie powinien ją potrzebować kochać, ona powinna czuć we mnie tę potrzebę. Czy ona może pojąć, co ona traci, ile traci?! A ja czyż nie powinien był jej stóp tak całować, jej mówić:—kocham cię!—u jej nóg leżeć i zamieniać się cały w jedno wielkie, jak świat, pragnienie kochania...“

„*Nicea, 8 listopada 1894 r.*

Jestem tu od tygodnia. Złoto się tu toczy przez kobiety, a kobiety toczą się przez złoto. Wydaje mi się czasem, że dukaty przybierają okrągłe kształty kobiet, a kobiety—złotą barwę dukatów. Gram — dotąd wygrywam, ale bardzo niewiele.

Topię się w morzu i w wirze szalonego życia, jakie się tu prowadzi. Ha! Niech to wszystko piorun trzaśnie! Mamże konać przed śmiercią dlatego, że mnie jedna panna porzuciła? Dość już tej męki! Wypaliło się we mnie wszystko, zamieniło w popiół i proch. Pisałem ci listy. Listy moje nie były nawet odbiciem tego, co się działo we mnie. Dusza mi się zamieniła w jałowy step, w step po pożarze. Nie odżyję już, wiem o tem, ale już i nie mam na to sił, aby cierpieć. Albo sobie w łeb palnąć, albo ***żyć***!

Tak jest—żyć! Przed godziną może rozstałem się z przepyszną Włoszką, Emmą Lokatelli, potem grałem. Wygrałem dwieście franków. Jutro jadę z Emmą do Menty. Ma wspaniałe, krucze włosy i ciało, jak marmur praksytelesowski. *Vogue la galère!*

Nie będę już tem, czem być miałem, ale chcę żyć, pokim się jeszcze w błoto nie zamienił. Cóż są ludzie? Chodzące trupy. Walka ze śmiercią, ze zniszczeniem organizmu za każdem poruszeniem szczęk, za każdym oddechem — oto życie. W każdym włosie masz zaród trupi, każdym krokiem niweczysz w sobie siłę żywotną. Wszystko jest tylko chwilowym i daremnym oporem przeciw śmierci. Umieramy ciągle, od chwili poczęcia poczynamy umierać, śmierć jest tylko ostatnim momentem całożyciowego konania. Ach! Zapomnieć o tem, przekląć tę nędzną obmierzłą dolę — — i żyć!

Cóż mi z tego przyszło, żem jednej kobiecie pod stopy rzucił talent mój, imię moje, pragnienia moje i marzenia moje, siły moje, duszę moją, życie moje, mózg i krew?! Cóż mi z tego przyszło? Zabawiła się mną i rzuciła mnie, jak śmieć!

A może, może i mnie naprawdę się zdawało, że ją kocham? Moze ona miała słuszność, pisząc, żeśmy się łudzili? Może i lepiej się stało, że nie będziemy swoi, że zerwała ze mną? A zresztą, czemże jest kobieta? Czy to nie jest taki sam żywy trup, jak my? Czuje się śmierć w tem rozkosznem ciele, każda kosteczka, którą czujesz w tej miękkiej formie, to szkielet. Te oczy, które ci swojem spojrzeniem zamieniają życie w raj lub piekło, patrzą na ciebie z oczodołów trupiej czaszki!

Ach! Gdyby kobiety mogły mieć wewnątrz, tam, pod skórą i tłuszczem, marmur!

Tymczasem jednak trzeba ich używać takiemi, jak są. Używać! Tażać się w nich! Byle więcej! Byle więcej! I dla jednej polskiej, chciwej wrażeń i rozgłosu, a wewnątrz zimnej i pustej, kokietki mam sobie wiązać życie?!... Bo czemże ja byłem dla niej? Parą rękawiczek, które zsunęła z rąk, gdy jej się sprzykrzyły. Może mój następca nie będzie taki głupi, jak ja, którym jej zaraz cały do nóg grzmotnął, jak most — — idź i depcz — i przejdź, i odejdź!...“

„Nicea, 17 listopada.

Spotkałem dziś pierwszy raz od wyjazdu znajome twarze. Pamiętasz Ty te dwie panny, cośmy je widywali, będąc jednej zimy w Krakowie, blondyny, starsza—wyższa ze zwalistemi plecami, jak służąca, i z długim nosem, młodsza—ordynarnie czerwona z nosem perkatym. Chodziły z niską niemłodą Francuzką w jasnogranatowych żakie-

cikach do figury. Zawsześmy się im dziwili, że mają, jakeś Ty mówił, takie „płaskomyślne enfazy“. Siedziały w „Café de la Régence“ z matką i jakimś młodym człowiekiem i rozmawiały po polsku, ale jakem usiadł przy stoliku, zaczęły zaraz mówić po francusku, zapominając, że już gdzie, jak gdzie, ale we Francji to nie jest żadna „dystynkcja“. Starsza poszła zamąż za tego młodego człowieka, który był z niemi. Przypatrywałem się im i żal mi go było, bo żona dawała mu każdem słowem, każdym ruchem, każdem spojrzeniem poznać, że robi mu ogromną łaskę, że się pozwala kochać. Jeżeli mu ona urządza taką samą „królewnę“, jak są w cztery oczy, to mu winszuję. Czasby już był, żeby ktoś już raz tym polskim „królewnom“, „królewiątkom“ i „ołtarzom“ porządnie kurtę skroił i na właściwem miejscu je posadził i żeby im ludzie przestali podbijać bębenka. Cóż to za nadzwyczajny przymiot rybi, że ma rybią krew, skoro jest rybą? Kiedy patrzyłem na ten chłód, na tę etykietalność tej kobiety wobec męża przypomniało mi to żywo Marję, która swoim chłodem i sztywnością wobec ludzi do rozpaczy mnie czasem doprowadzała. Bo ja w mojej artystycznej naiwności, jakkolwiek nie lubię, kiedy kto buduar do salonu wnosi, nie widziałem znów powodu, żebyśmy, narzeczeni, mieli być ze sobą tak, jak przeciętni znajomi ludzie. Ale, kiedyśmy zostawali sami, Marja zmieniała się w mgnieniu oka w najpieszczotliwsze, najswobodniejsze i najswawolniejsze dziecko. Ona się sama upajała dźwiękiem zdrobniałych, pieszczotliwych słów, frazesami uczucia. Ja to doskonale widziałem, tylko, że byłem pewny, że pod tem wszystkiem jest grunt i prawda... Przeskok bywał tak nagły, że wprost uwierzyć mi trudno nieraz było, że to ta sama kobieta, która o sobie mówi „bobo“,

a do mnie—„ti“, wyrazy wymawia, jak dziecko i tuli się do mnie, jak dziecko—była przed chwilą tą chłodną, salonową, słynną z piękności i dystynkcji panną Marją Tyżwiecką; że ta sama kobieta, która mi przy ludziach etykietalnie podaje rękę—opiera mi głowę na piersiach... mogła klęknąć przede mną... A jej listy?! te szalone swoją pieszczotliwością i uniesieniami listy... Któż z jej znajomych, pośród których ma opinję bardzo nieprzystępnej, uwierzyłby, że ona takie listy pisać może, że ona tak mogła czuć... Ja nieraz musiałem sam sobie powtarzać, że to jest panna Marja Tyżwiecka, ta sama, w której się pół Warszawy kocha, która króluje na wszystkich balach i za której jeden uśmiech ludzieby karku nadstawiali, a nie jakieś moje, znalezione gdzieś w puszczy, dziewczątko, które żywego człowieka, prócz mnie, nie widziało i które się łasi koło mnie, jak kot, i w oczy mi patrzy, czy mi się podoba ta królowa balów! Dziś rozumiem to bardzo dobrze—łasiła się nie koło mnie, tylko koło samej siebie. Nie byłem dla niej niczem innem, tylko czemś, przez co mogła się z własną swoją pieszczotą i pieszczotliwością pieścić. Zdaję sobie zupełnie sprawę, że kiedy mówiła: —„Kocham!“—to dlatego, żeby to słowo powiedzieć, a nie dlatego, żeby je powiedzieć mnie. Pojmuję, że kiedy słuchała z jakimś upajająco słodkim uśmiechem, kiedym ja do niej mówił, to dlatego, że to były słowa zakochanego człowieka, ale nie dlatego, że były moje. Kiedym jej ręce całował, garnęła się nie do mnie, ale do mężczyzny, który kocha. Uklękła nie przede mną, ale przed własną wyobraźnią, przed samą sobą. Dlatego nie zemdlała i nie zerwała ze mną po tem, com jej powiedział. Ja jej nie obraziłem, ja nie byłem sobą, byłem tylko sprzętem, który uosabiał jej wyo-

braźnię. Ona nie pisywała do mnie — pisywała do siebie, dla siebie. Przez cały czas naszego stosunku, do pierwszej chwili byłem reprezentantem siebie samego, reprezentantem człowieka, który kocha i którego się kocha, ale nie nim samym. Ona tylko jedno ze mną zrobiła — zerwała ze mną. Ocknęła się nagle, zobaczyła, że idea zakochanego i kochanego mężczyzny zbliża się do tego, że będę jakimś szczególnym danym przypadkiem, bo ślub byłby położył koniec tej grze imaginacji — i cofnęła się. Nie miała dla mnie żadnego uczucia i dlatego mogła się cofnąć, tak, bez żadnego na mnie względu. Cień, idea rozwiały się, a cóż ja ją obchodziłem? Teraz to wszystko widzę, pojmuję, rozumiem, wszystko mi jasne. A kiedy o tem myślę, jasne mi jest również, że przyjdzie teraz jakiś inny człowiek i powie Marji:—„Kocham!"—Czy Ty wiesz, co to jest powiedzieć kobiecie—kocham? To jest tak, jak kiedy słońce przenika światłem kwiat. Więc przyjdzie ktoś inny — a ja — ja żyć będę!... Wiem to. Będę patrzył na Marję, kochaną przez innego, będę patrzył na to, jak w nią wnika ta lotna część jestestwa człowieka, która zeń wyrywa się i przesnuwa w kochaną kobietę. Ach! gdyby mi teraz jakaś istota, która była tylko czułością, rozumem i dobrocią i z którąby mnie nic nie łączyło, tylko mój ból—owinęła głowę ramieniem, abym mógł nie patrzeć, nie widzieć, nie wyobrażać sobie, nie pamiętać. Nie pamiętać!... Niema piekielniejszej męki nad pamięć. Ja w jednym i tym samym momencie pamiętam wszystko—każdy ruch, każde słowo, każde spojrzenie Marji. Pamiętam każdy uścisk jej ręki i każdy wydaje mi się niedość użytym, niedość miękkim i głębokim, niedość wyzyskanym. Widzę, jak ja cenić nie umiałem bytności przy niej, jak nie wyzyskałem tych chwil.

Wydawało mi się wtedy takie naturalne i takie proste, że jestem z nią. Nieraz, będąc przy niej, nie zastanawiałem się nad tem, nie używałem uświadamianiem sobie tego, wpatrywaniem się w to, że jestem przy niej. Straciłem nietylko ją, ale nie umiałem użyć przy niej, zmarnowałem czas, który mi był przy niej przeznaczony, a ten czas nie wróci już nigdy!... już nigdy... Jakbym ja teraz był innym wobec niej! Ale to już przepadło na wieki!"

„Nicea, 24 listopada 1894 r.

Odegrałem, com przegrał, i wygrałem dotychczas trzy tysiące franków.

Wstałem dziś rano, może była szósta godzina, i wyszedłem na brzeg. Było dziwnie pięknie. Morze było jakieś młode, świeże, srebrnobiałe, srebrnoszafirowe, białoszafirowe i modre, błękitnoróżowe i barwy ciemnego granatu, jak u Boeklina bywa, i złotoszmaragdowe, i jasnozielone, i złote, a wszędzie świetliste, błyszczące, dziwnie spokojne. Słońce wyszło już wielkie na niebo, na niezmierny, świetlisty, jak morze, lazur i taki, jak ono, spokojny. Przestrzeń jakaś bezdenna, niesłychanie wielka atmosfery, widnokrąg bez granic. Góry różowiły się i złociły, złoto szło i róż po roślinach i domach — — i wszędzie ten niezmierny spokój i to boskie piękno.

Barwy na morzu mieniły się szybko; jedne gasły, drugie wybiegały na nie. Wszystko się ciągle mieniło i przeistaczało, a działo na takiej przestrzeni, że nie wiem, com stracił, patrząc ku Włochom, a nie wiem co, patrząc ku Francji. A wyobraź sobie, co się działo o tej chwili pod Napoleonem, pod Aleksandrją, na bretońskiem wybrzeżu, w norweskich fiordach i gdzieś na biegunach, i nad Lucerneńskiem jeziorem, i w dębo-

wych lasach w Kłężu — — wszędzie, wszędzie.. Przyszło mi wtenczas na myśl, że chyba muszą być jakieś istoty eteryczne, nieskończenie od nas subtelniejsze i wrażliwsze, które wszystko to widzą nieskończenie lepiej i bystrzej, bo przecież oczy nasze muszą tysięcy barw nie dostrzegać, i które widzieć mogą naraz wszystko, cały świat, niebo, morze, ziemię, które żyją barwami. Wyobrażałem sobie, chodząc tam, nad morzem, że takie eteryczne, powietrzne duchy, takie elfy leżą oto na tych skałach, podparte na rękach, z stopami, założonemi jedna na drugą, i patrzą. Na świecie się stanowczo za wiele dzieje na ludzi—musi się to dla kogoś dziać.

Czy zastanawiałeś się kiedy nad tem, gdzie się, naprzykład, podziewa barwa, która znikła, wrażenie jej we wszechświecie? Bo przecież nic nie ginie. Czy zastanawiałeś się kiedy, gdzie się podziewa spojrzenie ludzkie? Bo. dobrze, ten, na kogo Ty patrzysz, odbija się w twojem oku, ale zarazem przecież Ty w spojrzeniu swojem wydajesz coś z siebie. Co się mogło stać z tych spojrzeń, które mi dawała Marja?...

Otóż kiedy chodziłem nad morzem w tej wielkiej ciszy, w tym niezmiernym spokoju, ogarnięty tą ogromną sferą powietrza i światła, w tej olbrzymiej przestrzeni widnokręgu, zacząłem myśleć nad sobą i wszystko zaczęło mi się wydawać takie małe i nikłe. Mój kochany, cóż to jest to, co człowiek czuje, wobec tego, co się dzieje — czy my się nie zanadto zasklepiamy w sobie, w naszych uczuciach, na koszt naszych odczuć zewnętrznych? Są przecie ludzie, dla których nie istnieje wcale świat, to, co ich otacza, tylko to, co się w nich staje. Tymczasem naokoło jest taki ogrom, w który się wprost wtopić można.

Mój drogi, moja miłość do Marji może mnie zabić, a jednak to jest takie małe wobec tego, co ja mogę pojąć i o czem mogę myśleć. Naokoło mnie jest ten olbrzymi, potężny ruch wszechświata, odwieczna i wieczysta przemiana materji, krążenie światła i ciepła, kolosalne życie istnienia. Bory rosną, walą się, gniją, nowe wyrastają ze spróchniałych pniów, wśród powodzi wrzosów i paproci... Gwiazdy grzmią gdzieś w przestrzeni i huczą wirujące mgławice nierozwikłanych światów... A tu, wśród nas, co za ruch ludów, warstw społecznych, co za huragan myśli i co za zawieja czynów!... Wobec tego, czemże jest miłość? Czy nie trzeba powiedzieć: *hic obiit Gustavus, natus est Conradus?* Czy ty pamiętasz wiersze Mickiewicza:

„Wznoszę się, lecę...
Tam nadole
Patrz, patrz — przyszłe wypadki i następne lata,
Jak drobne ptaki, gdy orła postrzegą,
Mnie—orła na niebie —
Patrz, jak do ziemi przypadają, biegą,
Jak się stado w piasek grzebie...
Za niemi, hej! za niemi, oczy me sokole!
Oczy—błyskawice!
Za niemi, szpony moje! Dostrzegę je, schwycę!".

Mój drogi! musiał czuć człowiek, który mógł to pomyśleć, któremu mogło to przyjść na myśl! Rozumiesz Ty to: za niemi, hej, za niemi, oczy me sokole — za czem? za czem? Oto za wirem świata, za chmurą zdarzeń, za całem jestestwem! Co był za duch, któremu się wszystko, świat i wieki kłębiły pod nogami, który się czuł ponad bytem, jak niegdyś duch Boży ponad wodami. Cóż my? — cóż my, karły?! Zdaje mi się, że mi się coś dźwiga w piersiach i ramionach, że mi coś zaczyna szumieć nad głową! Na Boga! Wgórę!

Jest przecież duch! Gdyby przez tę ziemię przejść, jak wicher płomienny — zapalać, świecić i ogniami błyskać... Gdyby iść, jak głos jakiejś olbrzymiej trąby, od której oceany drżą i rzeki wstecz się piętrzą... Gdyby się otrząść ze wszystkiego, co wiąże i ku dołowi ściąga, gdyby się wzbić i lecieć — lecieć w bezmiar, jak orzeł, oszalały lotem.. Ha! co za przestrzeń! co za przestwór olbrzymi!... Dalej!... dalej!... W nieskończoność, w wieczność... Tak żyć!...

I mój drogi, bywają piękne śmierci. Głowa Irlandczyka, Roberta Emmeta, nieuwiędłe ma laury, odcięta... Gdyby tak umrzeć... I cóż wobec tego jest moje uczucie dla Marji, cóż jest moje nieszczęście? Tam, zwysoka, z tej wyżyny idealnych sił, idealnych uczuć i myśli, i czynów zaledwie widzę Marję, ledwo ją dostrzegam. Czemże jest miłość kobiety wobec ogromu objęcia ludzkiego ducha? Czy nie pójdziemy tam wzwyż? Widzisz ten bezmiar i blask, słyszysz ten szum? Czy to morze się spiętrza i na fali niesie mię gdzieś precz, precz, w nieznaną dal i w zawrotną wyżynę?

„*Wiedeń, 30 listopada.*

Przegrałem wszystko. Wracam. Stoję wobec tego słowa, jak wobec otchłani. Jak ja tam wrócę? Jak ja będę tam mógł być teraz? Jak ja teraz będę mógł istnieć tam, gdziem żył, jako narzeczony Marji? Jak będę mógł chodzić po tych samych ulicach, wchodzić do tych samych domów, widywać tych samych ludzi! Nie będę mógł przecież wyrwać z pamięci tego czasu i uczuć, i myśleć, i żyć, jak przedtem nim poznałem Marję.. Nie zastanawiałem się nad tem, że ja będę musiał wrócić. Zdawało mi się jakby, że będę już tak zawsze z moim bólem, z moją tęsknotą, z moją

męką, gdzieś w świecie, daleko od niej, od was, od kraju; że tak będę wiecznie się błąkał, bez innej myśli, bez innego zajęcia, tylko z myślą o niej. Muszę wrócić—muszę na nowo pracować, jak dawniej stykać się z ludźmi, przystosowywać się do nich i ich przystosowywać do siebie. Byłem teraz jakby na ogromnej, wysokiej wieży, na którą nikt się do mnie dostać nie mógł. Nigdy nie żyłem tak wyłącznie dla siebie, tak dumnie. Wystawiłem sobie ogromny gmach z cierpienia, do którego nikt nie miał wstępu i teraz muszę wyjść z niego i zejść nadół, do ludzi, między ludzi. Com przecierpiał, nikt nie wypowie, a jednak mi jakby żal, że z tej wieży, z tego gmachu, z cierpienia mojego budowanych, muszę wyjść. Już tu mam przedsmak Warszawy, tu, gdzie, chodząc przed półrokiem, prawiem kamienie na trotuarach dla Marji wybierał, myśląc, że tu ją kiedyś oprowadzać będę. Ty nie wiesz, co to jest za rozkosz, kiedy umiłowana kobieta spojrzy ci w oczy, jak dziecko, i powie: — „Nie wiem, powiedz mi...“

Jak ja tam wrócę, tak odrzucony, tak odepchnięty, jak sprzęt? Ile spojrzeń, ironji i szyderstwa będę musiał znieść! A ci, co zazdrościli Marji, którzy chcieliby być na mojem miejscu! Cała nędzna nikczemności niskość i nierozum dusz ludzkich rzucą się teraz na mnie, a jakąż ja mam broń? Nie mogę niczem odeprzeć ludzkiego szyderstwa. Rywale!... Jak łosie o samicę! Szczęśliwa miłość przysłania świat jakąś mgłą srebrnobłekitną i wszystko upięknia , ale nieszczęśliwa pokazuje świat w całej jego obmierzłej prawdzie.

W pierwszych chwilach po zerwaniu zdawało mi się, że nie powinienem kłaść na siebie tych samych ubrań, które nosiłem, będąc jej narzeczonym, ani brać do ręki tych samych sprzętów. Zda-

wało mi się, że szedłem, szedłem, szedłem, że całe życie moje dotychczas było właściwie nieświadomem, ale tylko dążeniem do tego jedynie celu—połączenia się z Marją, z tą kobietą. Zdawało mi się, że wszystko, co się stało dobrego i złego, wszystkie moje przykrości i satysfakcje życiowe, wszystkie choroby i wypadki, całe życie moje, słowem, było tylko konsekwentnem kroczeniem do jednego celu—Marji. Kiedy sięgałem myślą w moją przeszłość, wszystko wydawało mi się tak logicznie wywiązujące się jedno z drugiego, aby mię do tego punktu doprowadzić. Moje małżeństwo z Marją, które mię z początku prawie przerażało, wydało mi się ostatecznie prostym rezultatem mego życia. Nagle wszystko się rwie, wszystko zawala w przepaść — i ja miałem, jak pierwej, jak dotąd, żyć, pić, spać, ubierać się, ubierać się w te same suknie, w te same buty! Pamiętam, że kiedy wyjeżdżałem, miałem jeszcze pół mydła, którego używałem przedtem, jako narzeczony. Gzmotnąłem niem o ziemię, aż się rozprysło. I byłbym tak ze wszystkiem najchętniej uczynił — i z sobą samym. Jednak, kiedy sobie przypomnę i kiedy wyraźnie sobie to przedstawiam, że Marja odeszła ode mnie tak bezwzględnie, tak egoistycznie, tak bez najmniejszej uwagi na to, co się ze mną stanie, jak ja to przyjmę! jak to zniosę!... Bo przecież ona nie mogła wiedzieć, że ja ją tak mało kocham, że nie skoczę z okna lub nie oszaleję... Odejść tak lekko, tak bez żadnego spojrzenia, bez zapytania się:—„Co ty zrobisz z sobą?“—Poprostu tak kopnąć w czoło, tak splunąć na czyjąś miłość, na czyjeś serce...

Czuję, że wpadłem w wir, w jakiś odmęt, że się coś koło mnie zatacza, że się coś kotłuje koło mnie; wydaje mi się, jakby słońce raz wpadło

w czeluść wodną, to znowu wydobywało się z niej na powierzchnię, mam wrażenie, że powódź wali się z hukiem, że walą się ku mnie mętne, brudne, spienione wody, a ja w środku rzeki na palu stoję. Jestem bez sił, bez myśli, bez woli—żywy trup. Jedno tylko wspomnienie uporczywie krąży mi po głowie — zapomniałem o tem prawie zupełnie. Oto raz, kiedy nie byliśmy jeszcze narzeczonymi, a dopiero się coś między nami nawiązywać poczęło, jednego wieczora Marja była dziwnie rozdrażniona i przykra. Grała długo na fortepianie, pamiętam, preludję Chopina, a ja siedziałem bardzo zgnębiony w kącie. Nagle ucięła grę, wstała gwałtownie i powiedziała mi:—„Źle, że na pańską drogę weszłam, ja przynoszę ludziom nieszczęście" — —i wyszła z pokoju. Potem zapomniałem o tem, byłem taki szczęśliwy — a ona przeczuwała, co będzie... Bo oto przeszła koło mnie, jak anioł śmierci..."

„Kraków, 10 grudnia.

List twój przyszedł tu ze mną. Influenca mi przeszła i jadę dalej. Delikatność Twoją, żeś nigdy ani słowem nie potrącił o moją tragedję, umiem ocenić. Nie byłbym inaczej mógł do Ciebie pisywać, a to było mi ogromną nieraz ulgą. Wracam — —wracam ten sam, a zupełnie inny. W życiu mojem coś pękło, coś się przerwało i nie naprawi już nigdy. Wiem, będę żył, jak dawniej, będę mówił, myślał i czuł, jak dawniej, a jednak życie moje jest przecięte na dwie połowy, raz na zawsze. Choroba otrzeźwiła mię ogromnie, mam takie uczucie, jakby mi kamień rozpalony z głowy wypadł, patrzę na siebie zupełnie jasno. Dotąd miałem zmartwienia i przykrości, jak wszyscy ludzie; pozostawiały po sobie smutną, bolesną czasem pamięć, ale prócz tej pamięci—nic; a teraz jest coś

w duszy mojej, na dnie, co w niej do końca życia tkwić będzie, we wszystkiem się odezwie, na wszystkiem zaważy. Rana moja może się zasklepić, ale nie jest uleczalną—wiem o tem. Los chciał w połowie życia złamać mi je i wybrał do tego kobietę, wybrał ją—Marję. Tak było przeznaczone.

Tylko, kiedy patrzę w moją duszę, przypominają mi się te żórawie, które raz jeszcze u nas w Topieli widziałem. Poszedłem na kaczki z naszym starym strzelcem, Bartkiem. Było to o świcie. Na skraju moczarów zobaczyliśmy trzy żórawie, które się zaraz porwały wgórę, dwa bardzo szybko, trzeci jakby z trudem i w locie został za niemi. Spytałem Bartka, dlaczego ten jeden żóraw ciężej się wgórę wzbił i wolniej leci, a on mi wytłumaczył, że czasem ktoś ptaka postrzeli, kula przebije skrzydło i rana się potem zagoi, ale już taki ptak nigdy nie będzie tak latał, jak przedtem. Pamiętam, że powiedział:—„Ten żóraw, paniczu, już przez morze przelecieć nie zdole. Wpadnie."

Miałem wtedy trzynaście lat i nigdy o tych żórawiach nie myślałem, a teraz widzę je tak wyraźnie i te moczary, różowiejące o świcie, i posępną, martwą wodę starego koryta rzeki w sitowiach i szuwarach. Widzisz, moja dusza jest tak, jak ten żóraw—na zawsze już pozostanie w niej cios. Życie moje—to morze. Przelecieć je z tem przestrzelonem skrzydłem, z tą ranną duszą, nie potrafię, nie zdolę, jak mówił Bartek — — spadnę i zginę.

Wiem to i czuję, i patrzę temu wprost w oczy spokojnie. Nic losu mego nie odwróci, nic przeznaczenia nie cofnie.

Może im prędzej zginę w tem morzu, tem lepiej — bo ja tak bardzo, tak bardzo kochałem tę dziewczynę...

Nikt nigdy tak jej kochać nie będzie, nigdy ona ogromu tej miłości nie pojmie.

Mówię ci—spokojnie i w oczy patrzę memu losowi——nie skarżę się, nie miotam, nie przeklinam——spokojny jestem, tylko mi jest smutno nieskończenie, bezdennie smutno.

Tak ją kochałem!...

Nie zejdę jednak w bezimienny tłum, który codzień ze świata w otchłań zstępuje. Rodzi się we mnie jakiś nowy świat wyobraźni, jakaś nowa potęga twórcza. Przed oczyma memi stają posągi, o jakich się wam nie śniło jeszcze. Drży marmur przede mną, kiedy nań patrzę. Zdaje mi się, że mógłbym w olbrzymie bloki marmuru nogą uderzyć, a z tych gór kamiennych wyskakiwałyby wykute kształty, jak Minerwa z głowy Jowisza. Czuję, jak rosnę. Mogę zginąć przedwcześnie, ale już nie zejdę w bezimienny tłum. Ręka moja ma zamach olbrzyma. Będziemy kuli kolosy. W waszą sztukę rzucę nowy prąd, porwę was za sobą, jak wicher obłoki. Wszystko, wszystko runęło mi w życiu, zostało mi tylko to jedno poczucie! to jedno najdumniejsze ze wszystkich słów: ja!

U nóg moich zaś jest grób, w który włożyłem moje serce. Nieraz mam uczucie, że mi coś umarło, że umarła mi jakaś najdroższa osoba. Prawie zdaje mi się czasem, że powinienem iść gdzieś na jakiś cmentarz, klęknąć nad jakimś grobem, modlić się za jakąś umarłą istotę——a to jest moje własne serce, umarłe pod nogami memi. Tyle nadziei moich leży w grobie——tyle, ach, tyle!... Tak kochałem tę dziewczynę, tak bardzo ją kochałem, tak źle mi żyć bez niej. Nigdy, nigdy, siedząc u jej kolan, nie wezmę jej rączek w dłonie, nie pochylę jej ku sobie i nie będę mógł jej mówić:—moja... Nigdy nie usłyszę jej głosu... Mo-

gę ją spotykać, mogę ją widywać, mogę mieszkać naprzeciw niej, ale nigdy już ona nie odezwie się do mnie, nigdy nie rozchyli warg, aby do mnie mówić. Nigdy jej nie usłyszeć... Ah! jak mi tęskno do jej głosu, do jej słów, do dźwięku powietrza na jej ząbkach... Jak mi tęskno... Oto jest tak dla mnie, jakby umarła—nigdy już nie przemówi do mnie... Nigdy, nigdy, nigdy!..“

ROZDZIAŁ III

W przedpokoju we drzwiach stał Rdzawicz.

— Czemuż nie wchodzisz? — spytał Przerwic, wyciągając doń rękę.

— Nie, nie... Przyszedłem tylko do ciebie, abyś mię jako wymówił od tego obiadu u Stosławskiego. Widział mnie na ulicy, więc nie mogę udać chorego, a nie chcę iść.

— Wiesz, Bisza, to Rdzawicz, poznaję go po głosie—rzekła pani Laura do siostry, nadsłuchując z sąsiedniego pokoju.—Musi mieć interes do Jerzego, ale nie chce tu wejść, skoro tam rozmawiają. Muszę go zobaczyć.

— Witam pana — rzekła, wchodząc do przedpokoju. — Czemu pan nie wchodzi?

— Niech pani wybaczy—odparł Rdzawicz, całując ją w rękę.—Nie bywam absolutnie nigdzie.

— No, ale my jesteśmy tak bliscy krewni. Zrobiłby mi pan wielką przykrość. Tam jest tylko moja siostra.

— Z temi cudnemi włosami i z taką pełną iskier twarzą?

— Tak.

Rozmowa potoczyła się o rzeczach obojętnych; obie panie jakby lękały się Rdzawicza czemkolwiek urazić. Po chwili Rdzawicz spytał:

— Wymówiszże mię od tego obiadu?

— Nie! koniecznie wypada ci iść. Stosławski

wie już, że ci oddał przysługę, wyglądałoby to tak, jakbyś go chciał teraz unikać. Musisz iść.

— Cóż panu Stosławski za przysługę oddał? — zapytała z naiwną ciekawością pani Laura.

Przerwic zmarszczył się, ale Rdzawicz rzekł prosto:

— Pożyczył mi pieniędzy przez Jerzego, proszę pani. No więc, kiedy tak trzeba, to pójdę.

Pani Bisza miała jeszcze sprawunki w mieście i wyszła, zabierając z sobą szwagra do pomocy. Rdzawicz miał go czekać.

Pani Laura czuła się zaambarasowaną; nie wiedziała poprostu o czem mówić z Rdzawiczem. Spokojny był zupełnie, ale zbyt była kobietą, aby nie dostrzec, że ten spokój jest pozorny i nienaturalny.

Rdzawicz milczał i obracał kapelusz w ręku, po chwili zaś zapytał:

— Czy pani Bisza ma dużo dzieci?

— Przecież pan wie, dwoje — dziewczynkę i chłopca — odparła pani Laura.

Rdzawicz widocznie chciał o czemś mówić, nie mógł się jednak zdecydować, wreszcie ozwał się:

— Chciałem panią zapytać...—urwał i spojrzał na Laurę, jakby chcąc poznać czy już wie o co mu chodzi. Ale pani Laura nie dorozumiewała się, dokończył więc:—Chciałem panią zapytać— —czy pani wie co— —Nawet dziwię się sam sobie, że się o to pytam...—głos mu się załamał w gardle.

Pani Laura zaś spoważniała odrazu, kiwnęła lekko głową na znak, że rozumie i odparła:

— Bardzo mało. Mamy niewielu wspólnych znajomych. Była w Warszawie, bom ją spotkała kilka razy na ulicy i w teatrze. Może nawet jest tu teraz.

Rdzawicz drgnął.

— I nic pani nie wie?—spytał znowu po chwili.

— Prawie nic. Wiem, że bywa dosyć.

— Nie wątpię, ale — — i spojrzał bystro na panią Laurę, która odczuła to spojrzenie.

— Nic nie słyszałam — odparła. — Dużo pan teraz widział świata? — podjęła, aby odwrócić rozmowę.

Rdzawicz pomyślał chwilę, uśmiechnął się smutno i rzekł:

— Pani jest bardzo dobra, taki pani ma ciepły głos i takie oczy, jak majowe rano — to mówiąc, pocałował Przerwicową w rękę.

— Chciałabym być dobrą—odrzekła, wzruszona trochę, pani Laura.

— Jerzy musi być teraz bardzo szczęśliwy. Ma swój dom, swoje meble, swój punkt oparcia — — i swoją kochaną kobietę. Ja teraz dopiero pojąłem, że może być rozkosz, ot w takiej prostej filiżance, jak ta w jadalnym pokoju, którą stąd widać, dlatego, że się ją posiada wspólnie z kochaną kobietą. Rozumiem, jak może być drogiem każde zapalenie w piecu dlatego, że to nam obojgu będzie ciepło. Takie białe dwie ręce, które nalewają herbatę wieczorem, mogą być zupełnie czemś anielskiem. I wśród tłumu, wśród ludzi, to uczucie — moja kobieta...

Umilkł i przygryzł wargi.

— Niech pan nie wątpi — rzekła pani Laura— na każdego przyjdzie jego godzina.

— O tak, pani, na mnie już przyszła jedna, oby jak najprędzej przyszła druga.

— Co pan myśli?

— Że jestem podłym tchórzem, nic więcej. I głupcem. Lękam się tego, czego nie uniknę.

— Panie Romanie — —

— Nie mówmy o tem. Nie chcę się pani wy-

dać ani, naturalnie, śmiesznym, ani niesmacznie kokietującym mojem nieszczęściem. Mówmy o czem innem. Jerzy dużo pisze?

— Dużo. A pan pracuje nad czem?

— Niedawno przyjechałem, dopiero teraz zacząłem. Być może, że będę rzeźbił grupę—Fauna i Nimfę w sitowiu.

— To raczej pomysł malarski, zdaje mi się.

— A bo ja taki sam jestem malarz w rzeźbie—rzekł Rdzawicz z uśmiechem. — Nawet mam jeden obraz i chcę go niedługo wystawić. Nigdy jeszcze nie wystawiałem obrazu.

— Że pan maluje, to wiem oddawna, ale żeby tak, aby aż wystawić? — rzekła pani Laura.

— Ja maluję tak dawno, jak i rzeźbię i nie wiem właściwie, dlaczego nie jestem specjalnie malarzem. Wszędzie w akademjach uczyłem się tego i tego, i mówili mi, że mógłbym być tak dobrze jednym, jak drugim. Ja mam to, że ja ogromnie prędko robię; robię przeciętnie dwa razy prędzej, niż ogół moich kolegów. Dlatego miałem czas, aby się obu sztuk nauczyć.

— I co przedstawia pański obraz? — spytała pani Laura, myśląc wyciągnąć z Rdzawicza *à propos* tego obrazu, co się da, aby potem powtórzyć to przed mężem, jako swoje spostrzeżenie, pani Laura bowiem nie znała się nic a nic na malarstwie i bywała stąd celem jadowitych pocisków ze strony męża.

— Ten obraz ma tytuł „Wampir“—odrzekł Rdzawicz.—Trudno go opowiedzieć, ale jeśli pani łaskawa, to niech państwo z Jerzym przyjdą do mojej pracowni.

W tej chwili wszedł do pokoju Przerwic i kładąc rękę na ramieniu żony, rzekł:

— Bisza tu jeszcze wróci, a my chodźmy.

Pani Laura wzięła ręce mężowskie w swoje, popatrzyła nań, pokręciła główką i rzekła:

— Czy ja ci właściwie powinnam pozwalać bywać u Stosławskiego wobec tej jego Misi? Przecież to, bądź co bądź, jest skandal. Żyją od sześciu lat bez ślubu, jak małżeństwo pod jednym dachem. Z wielu stron mi już robiono uwagi, żeś ty tam nie powinien bywać.

— Moja droga — odparł żywo Przerwic — jeżeli więcej cenisz opinję pierwszych lepszych filistrów, niż moją... Dobrzeby było, żeby każda żona bogatego męża miała takie serce, jak ona. W żadne naprawdę złe towarzystwo nie szedłem, choćby dlatego, żeby tobie nie ubliżyć.

— No, bo żeby ona się przynajmniej nie pokazywała, ta Misia. Niechże sobie żyją z sobą, kiedy mają ochotę, ale pocóż ta afiszerja?

— Owszem—odparł Przerwic — daleko lepiej, że mają wprost odwagę swego czynu.

— A to dlaczegóż Stosławski nie weźmie ślubu z Misią?

— Onby może i wziął, ale ona nie chce. Powiada, że może mu się kiedy sprzykrzyć, że może zechce się ożenić z jaką panną ze swego towarzystwa, bo jak wiesz, Misia jest córką modystki i tyle wie o swoich rodzicach, więc ona nie chce mu stanąć na zawadzie. Powiada, że zarazby odeszła i wstąpiła na nauczycielkę do zakładu dla upadłych dziewcząt. Ona masę umie, nauczyła się robót kobiecych, ładnie gra i śpiewa, i mówi dobrze po francusku, a trochę po niemiecku i angielsku. Uczy się ciągle, no, a ma na to.

— Ależ to zupełny ideał ta Misia! — zawołała pani Laura.—Mówisz o niej z takim zapałem! — i spojrzała na męża z pełną niby pokory minką, stulając ramionka.—No, więc idźcie. Ja wiem, że

ci nie powinnam pozwolić, ale jestem taka słaba dla ciebie. Ja ci ufam i rozumiem, że są różne sytuacje w życiu i że nie trzeba sądzić szablonem, ale ludzie mię męczą o to. Do widzenia z panem! a proszę o nas pamiętać, panie Romanie. Paa, Ziuci, paa!...

Mówiąc to, dygnęła nisko i zrobiła właściwą sobie oryginalną minkę, przy której ściągała jakoś wdół nos, stulała usta i opierała okrągły podbródek o kołnierzyk, cofając urodę.

Stosławski był *bête noire* całego tak zwanego towarzystwa. Bogaty, a w perspektywie—spadkobierca olbrzymiej fortuny po stryju, przystojny, inteligentny, sympatyczny i męski; od sześciu lat żył na wiarę z dziewczyną, wziętą z małego magazynu mód. Wszystkie mamy, mające córki na wydaniu, i wszystkie córki, chcące bogato wyjść zamąż, zamieniały się w żmije, lemury i bazyliszki, ilekroć wspomniał kto nazwisko Stosławskiego. Na dobitkę, owa „bezwstydnica", „ta Misia", „pani Stosławska" była jedną z najpiękniejszych kobiet w mieście.

Stosławski zrazu wyjechał z Misią na dwa lata zagranicę, a kiedy wrócił, dziewczyna ruszała się, jak paryżanka, i ubierała się, jak miss z londyńskiej arystokracji. Po powrocie otworzył dom i zaczął zapraszać na obiady, z których słynął był już przedtem. Z początku odciągano się, wahano, kto przyszedł na obiad, robił z tego wielki sekret. Stosławski się uśmiechał i zapraszał dalej. Obiady były wyśmienite, cygara i wina w najlepszym gatunku, poczęto się mniej liczyć ze skrupułami. Partja mam i córek podnosiła wprawdzie kilkakrotnie wrzawę, że Stosławski demoralizuje młodzież, że ją wciąga w towarzystwo upadłych kobiet, ale wobec znakomitej kuchni,

znakomitego wina i znakomitych cygar, których można było brać do kieszeni, ile kto chciał, wrzawa ta nie zdała się na nic. Po przełamaniu pierwszych lodów Stosławski postarał się kategorycznie o pozbycie tych gości, którzy przychodzili wyłącznie dla jego kuchni, wina i cygar, i na sobotnich tych obiadach poczęli się spotykać ludzie, którzy przychodzili tu dla swobodnej wymiany zdań o tem, co się na świecie robiło i pisało. Wówczas zaczął bywać i Przerwic, który nie byłby bywał, gdyby się żona była uparła, ale żona nie upierała się, ponieważ on miał ochotę bywać. Różnili się wprawdzie w „opinjach" i kłócili o nie często, ale naprawdę wszystko było dobre, co jedno albo drugie zrobiło.

Przerwic z Rdzawiczem przyszli w samą porę, miano już bowiem siadać do stołu. Osób było kilkanaście z różnych sfer, sami mężczyźni; jedyną kobietą w towarzystwie była Misia. Rdzawicz, oprócz Tężla, również na obiad zaproszonego, nie znał tam nikogo; przy stole usiadł między nim i Przerwicem. Naprzeciwko było jedno miejsce próżne.

— Drewski się spóźnia — ozwał się gruby basowy głos z końca stołu.

Rdzawicz obejrzał się ku mówiącemu; był to mężczyzna dobrze szpakowaty, ogromny, z wysokiem, wypukłem czołem, potężnym orlim nosem, krzaczastemi brwiami i wąsami, jak rozczapierzone wiechy; oczy wyłupiaste, okrągłe, siwego koloru, broda krótka i krótka szyja, wyraz twarzy bardzo nadęty i nieinteligentny, ale poczciwy — doskonały typ średnio-szlachecki, tak doskonały, że wykluczał wprost pytanie — czy ta twarz jest brzydka czy piękna. Szlachcic ten miał białą kamizelkę w niebieskie kropki i w ja-

snym krawacie w kraty olbrzymią szpilkę z ametystu w grubej złotej oprawie.

— Kto to jest ten szlagon?—spytał Przerwica Rdzawicz.

— Kapitan Hieronim Józef Tadeusz Napoleon— czworga imion — z Wielkich Konarzewic, Konar-Konarzewski, herbu Prus Pierwszy. Przecież ci to musiał powiedzieć przy prezentacji.

— Nie zdążył, bo go w tej chwili Misia zawołała.

— Jakem mu na to wszystko powiedział — Jędrzej Tężel, to się tak na mnie spojrzał, jak arbuz na kapustę — rzekł Tężel.

To jest daleki krewny Stosławskiego, trochę jego rezydent, a trochę niby dyrektor szpitala wiejskiego i przytułku dla ubogich, który Misia urządziła w Poleszowie na Ukrainie. Nadzwyczajna figura. Służył w wojsku, był porucznikiem w dragonach u Garibaldiego, ale się go tytułuje kapitanem, on się zresztą i o pułkownika nie gniewa. Czekaj, jak się poderżnie. Gada wtenczas klasycznie głupie apostrofy wierszem.

— A! jest pan Drewski — ozwała się uprzejmie Misia — witam pana! Czekamy z zupą.

Nowoprzybyły skłonił się i usiadł; znał wszystkich, oprócz Rdzawicza, naprzeciw którego wyznaczono mu miejsce.

— Pan wie, jak się nazywam, bo pan słyszał — ozwał się, wyciągając do Rdzawicza rękę.

— Rdzawicz.

— A, to pan jest autorem Diany? Panie, to jest ostatnia kobieta, do której się paliłem.

— Żałuję pana, że ostatnia — rzekł Rdzawicz z uśmiechem.

— Bi, panie! — i Drewski machnął abnegacyjnie ręką.

Rdzawicz popatrzył nań. Drewski mógł mieć łat dwadzieścia pięć lub sześć, skóra i kości, prawie łysy blondyn, z zapadłemi, wyblakłemi oczami nieokreślonej barwy, czoło kanciaste, nos długi, cienki, z rozstawionemi nozdrzami, spadzisty ku wargom, cienkim i szeroko wzdłuż rozciętym, .broda długa i śpiczasta. Ręka, którą położył na stole, biorąc chleb, była wąska, z palcami niezwykle wydłużonemi, o wystających stawach, o skórze jakby wypłowiałej, zresztą, podobną miał Drewski i na twarzy.

Rdzawicz nie widział nigdy u jednego człowieka zgromadzenia w wyrazie takiej sumy wyzywającego cynizmu, lekceważącej wzgardliwości i jakiejś smutnej, niesłychanie egoistycznej apatji; zarazem poznać było można, że organizm Drewskiego zużyty jest do ostatnich granic.

— Kto to jest? — spytał pocichu Tężla.

— Słyszę, panie, że się pan pyta — ozwał się Drewski. — Ja jestem, panie, taki doktór, który żadnego egzaminu nie ma. Ale jak się wezmę, to jeszcze złożę, pojadę gdzieś na wieś i będę sobie żył, jak bydlę.

— Być może, że tak najlepiej — powiedział Rdzawicz.

— Nie być może, panie, tylko z pewnością. Co się tam gada, to się gada, a ostatecznie człowiek jest takie same bydlę, jak każde zwierzę, tylko trochę inne.

— I w tem, panie, tkwi główna przyczyna tragedji ludzkiej, a jest tak organizm skonstruowany, że się to skonstruować nie da. Ale niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. Inteligencja ludzka stworzyła jedną wielką rzecz.

— Jakąż?

— Możność wyjścia z gry, swobodę ruchu, sa-

mowładztwo. Patrz pan, ja mam zawsze przy sobie od wypadku to—jedno dla siebie, drugie dla amatora...—tu wyciągnął z kieszeni od kamizelki zwinięte po aptekarsku dwa proszki.

— Panie, pana musi dziwić, że ja tak z panem gadam, jakbym pana dziesięć lat znał. Ale to taki mój zwyczaj.

— Panie, mnie nigdy nic nie dziwi, to taki mój zwyczaj — odparł Rdzawicz.

Drewski popatrzył nań uważnie, potem pociągnął trochę wina z kieliszka, zmarszczył brwi i umilkł.

— Drewskiemu dziś coś jest, widocznie jest bardzo rozdrażniony — szepnął do Przerwica siedzący obok Stosławski.

— Panie Przerwic — ozwał się po chwili Drewski — pan jest poeta, jak się panu zdaje, czy tam co jest?

— Gdzie — tam?

— No tam, z tamtej strony.

— Tam? Albo ja wiem! — —

— Bo to jest okropnie przyjemnie pomyśleć, że jak się tu fajt, to tam—kamień w wodę, bez śladu, ani się źdźbło w polu nie ruszy.

— Kiedy się ruszy, panie Drewski — rzekł Rdzawicz.

— Ruszy się? — spytał się bezmyślnie Drewski.

— Przecie w chwili, kiedy się umrze — odparł Rdzawicz — śmierć ludzka znajdzie odezwę na himalajskich szczytach tak dobrze, jak na dnie Atlantyku i wszędzie. My przecież jesteśmy tak nieoddzielną cząstką wszechcałości, że nic, co się w tej wszechcałości dzieje, nie może nie dać się nam uczuć i odwrotnie my ciągle oddziaływamy wzajemnie na nią; powiew skrzydeł motylich nad Amazonką wpłynie na kwestję socjalną, a wojna

peloponeska do dziś dnia nie przestała oddziaływać na bruk w Amsterdamie. Pan powiada, że człowiek ginie, jak kamień w wodzie, bez śladu — — ale kamień tak nie ginie. Tworzą się kręgi, jedne cząstki wody poruszają drugie, dojdą do brzegów, wstrząsną je i tak dalej w nieskończoność. Ruch potem staje się dla nas zupełnie niewidomym, ale jest, bo niema żadnego powodu, żeby musiał ustać. Jest jedno *perpetuum mobile* — ruch materjalny. Po naszej śmierci nietylko źdźbło w polu drgnie, ale nawet zorza borealna.

— Pan Rdzawicz ma zupełną rację — ozwał się siedzący nieopodal trzydziestokilkoletni mężczyzna, w okularach na jasnych niebieskich oczach, z ładną ciemnoblond brodą. Rdzawicz znał go już trochę dawniej. Był to Jan Kowal, syn małego mieszczanina z prowincji, botanik, człowiek, cieszący się wielką europejską sławą w uczonym świecie, ale o którym publiczność prawie nic nie wiedziała i który, kiedy wymieniano „nasze gwiazdy", a wśród nich pierwszego lepszego artystę lub autora pierwszej lepszej elukubracji „naukowej" — nigdy do tych „gwiazd" liczony nie był. O „posadzie stabilizowanej" ten autor kilku świetnych, pisanych po polsku i angielsku, a tłumaczonych na inne języki, studjów botanicznych nie myślał, wróg wszelkiego karjerowiczostwa, wszelkich towarzystw wzajemnej adoracji i adoracji zaściankowych powag i myślećby nawet nie mógł. W całej rozciągłości tego słowa człowiek cywilizowany, znał tylko jeden dogmat — prawdę; jeden tylko środek karjery — pracę, i z tą, wziętą po Chałubińskim, dewizą — „prawdą a pracą" szedł w świat, zdobywając sobie coraz szersze imię w Anglji, Francji i Niemczech. Ustalenia się tam, przy jakimś naukowym publicznym czy prywat-

nym zakładzie, nie szukał, Stosławski bowiem utworzył znaczne stypendjum przyrodnicze, z warunkiem ogłoszenia prac w języku polskim i jednym ze znanych europejskich, i to ofiarował Kowalowi, pragnąc zarazem założyć w Warszawie prywatne muzeum botaniczne na wzór muzeum Dzieduszyckich we Lwowie. Obecnie powrócił był Kowal przed paru tygodniami z Brazylji z bogatemi materjałami, nad któremi chciał pracować w kraju, aby potem znów wziąć udział w naukowej wyprawie angielskiej w głąb Afryki. — „Ten mi się najlepiej udał“ — mówił o nim nieraz Stosławski, który mnóstwo młodym dopomógł, rywalizując w tem z suterenową dobroczynnością Misi. Dla Kowala, zresztą, oprócz szczerej przyjaźni, miał nadzwyczajny respekt, jako dla „wielkiej głowy i prawdziwej sławy“.

Drewski popatrzył na Kowala i strzepnąwszy ze stołu okruszyny chleba, ozwał się:

— Naturalnie, że pan Rdzawicz ma rację i gdyby się wogóle powinno czego wstydzić, tobym się wstydził, że mi to, taka prosta i pospolita rzecz, nie przyszła na myśl. Myślałem przecie nieraz o śmierci, bo ostatecznie jest to taki sam dobry do myślenia temat, jak każdy inny.

— Możebyście go zmienili—odezwał się Przerwic. — Robicie taki cmentarz przy obiedzie, aż niemiło. Przywiózł pan podobno, panie Kowal, bajeczne kwiaty z Brazylji.

— Przepraszam bardzo, państwo wybaczą — rzekł nagle Drewski, powstając od stołu. — Muszę pójść na chwilę do Europejskiego hotelu dowiedzieć się, czy moja matka przyjechała. Dostałem rano wiadomość. Zaraz wrócę.

— A gdzież jest pańska matka?—spytała Misia.

— U państwa Szwalbów, u tych, co to ona

Wyraj-Trzemeska z domu, od dwóch miesięcy za bonę do dzieci na wsi.

Drewski powiedział to zupełnie spokojnie, ale wszyscy uczuli się za niego zaambarasowani. Ukłonił się lekko i wyszedł.

— To dziwna figura — zauważył ktoś z obecnych.

— Ach, to jest bardzo nieszczęśliwy człowiek — rzekła Misia — zniszczony, chory, a przytem bez cienia woli, bez cienia energji, szukający tylko zapomnienia o sobie i o wszystkiem po jakichś ostatnich domach... Co ja się mu już napersswadowałam, żeby się wziął do czego; wszystko napróżno. Jeżeli już nie chce egzaminu złożyć, to Tadeusz mógłby mu przecie miejsce jakieś wyrobić; niby to się zgadzał, ale rzeczywiście — niby. On się maskuje, ale ja wiem, że go to gryzie, że matka musiała iść do służby. Ale nam nic nie powiedział, byłoby się przecież coś dla niej obmyśliło. On jest nieznośny z tem, że najmniej potrzebne swoje sprawy prywatne wywleka przed ludźmi, których pierwszy raz widzi, poprostu brawuruje swojemi kłopotami i przykrościami, a tego, co trzeba i komu można, nie powie.

— Znałem, znałem Drewskich — ozwał się kapitan Komarzewski. — Mieli wieś w Kutnowskiem. Ona była piękna kobieta. Ale tego młodego Drewskiego mało znam, może go trzeci raz widzę.

— Drewską odbierzemy od Schwalbów, prawda Misiu? — rzekł Stosławski.

— Naturalnie, mój drogi, zaraz. Tylko jak tu z nim o tem mówić, żeby go nie urazić...

— Pomyślmy o tem — rzekł Stosławski. — Ja tego Drewskiego lubię, bo to jest naprawdę dobry chłopiec, choć swoją drogą nie widziałem nigdy u nikogo takiego zaniku wszelkiego zmysłu mo-

ralnego, takiego braku jakiejkolwiek etyki. Przytem dziwna to jest głowa, bo on będzie państwu najsubtelniej analizował najzawilsze uczucia ludzkie, a takich słów, naprzykład, jak patrjotyzm, jak interes ogółu, takich najelementarniejszych uczuć, tak, jakby nie rozumiał. Przy tem wszystkiem on zawsze odłoży Huysmanasa, Catulle Mendésa czy Baudelaire'a dla bajek Andersena lub Hoffmana, a gęsiom w polu i brudnej dziewczynie za niemi będzie się przypatrywał całemi godzinami.

— To już jest dekadent dekadentissimus — zauważył ktoś z obecnych.

— Dziwna miskulancja — mówił dalej Stosławski. — Kiedyś zabrałem go do siebie na wieś. Złapał pod jedną pachę Maeterlincka, pod drugą „Sagesse" Verlaine'a i poszedł. Czekam z obiadem, niema... Idę go szukać i znajduję zatopionego w *„Les sept princesses"* pod karczmą, w której się odbywa chłopskie wesele i rżną oberka, aż uszy trzeszczą. Dowodził mi, że mu właśnie ten kontrast tego rzępolenia wydobywał mnóstwo efektów i że, naprzykład, „Pana Tadeusza" najlepiej się czytało przy balladach albo preludjach Chopina, dla takiego samego kontrastu ducha utworów. Zresztą, on się będzie wsłuchiwał w ligawkę w polu tak samo, jak w *Danse macabre.*

— No, a jakiż on jest syn? — spytał Kowal. — Jakże z matką?

— Ja myślę, że tak, jak we wszystkiem. O ile go znam, to on jest zdolnym do najwyższego poświęcenia w abnegacji i pewny jestem, że chodziłby w koszuli na mrozie, byle jego matce było ciepło w jego futrze, ale nagiąć się do czegokolwiek dla niej, robić coś, tego już nie po-

trafi. Będzie się szarpał wewnątrz, a ręki podnieść nie zechce.

— Albo nie może — rzekł Kowal.

W tej chwili drzwi się otwarły i do sali wszedł Drewski. Bledszy był, niż przedtem, i miał dziwny, błędny, sztuczny uśmiech na ustach.

— Cóżeś tak prędko wrócił?—zapytał Stosławski. — Przecież nie mogłeś dojść nawet na róg.

— Nie potrzebowałem — spotkałem mamę — odparł Drewski, usiłując powiedzieć to obojętnie, z odcieniem brawującego humoru.

— Gdzie?

— Na koźle — rzekł Drewski, tak samo jak pierwej.

— Jakto na koźle? — spytała Misia, zdziwiona.

A Drewski, siadając na dawnem miejscu, zapytał z dobrze udanym, ale wysilonym spokojem, z tym samym odcieniem brawującego humoru:

— Jak państwo myślą, czy kiedy się ma pięćdziesiąt siedem lat, to się człowiek bardzo zmęczy, przejechawszy siedem mil na koźle? Nota bene, jeżeli się nie jest z pochodzenia furmanem ani lokajem — dodał, odpowiadając na brutalnie pogardliwe spojrzenie młodego, bogatego dorobkiewicza, uszlachconego przed kilku latami wnuka lokaja, który się wkręcił, pod pozorem skuzynowania ze Stosławskim przez matkę, na jego obiady.

Nikt nic nie odpowiedział, a Drewski, powiódłszy spokojnie wzrokiem po obecnych, wypił jednym haustem duży kielich madery i rzekł:

— No, pić, to jeszcze mogę, ale co inne, to djabli dawno wzięli. — Nalał drugi kieliszek, wypił i zwrócił się do Rdzawicza:—Panie, pan myśli. Co pan myśli o cegle, która spadnie na głowę?

— Że gdyby ten, komu spadnie, wyszedł był

o sekundę pierwej z domu albo o sekundę później, toby mu była na głowę nie spadła, tylko obok — odparł Rdzawicz.

— A widzi pan, i ja to samo myślę. Ale dlaczegóż właśnie wtedy wyszedł, a nie wcześniej lub później?

— Żeby na to odpowiedzieć, trzebaby znać najpierwszą przyczynę wszystkiego.

— Trębacz z doboszem
Są sobie bracia i owszem

ozwał się poważnie z końca stołu kapitan Konarzewski.

— Widzi pan — — ale co tam o tem...—mówił dalej Drewski.—Niech się pan ze mną napije, ta madera jest doskonała. U nas także dobra bywała, jeszcze pamiętam. Wie pan co, jak wypiję parę kieliszków dobrego wina albo konjaku, to jeszcze jestem jaki taki, ale zresztą to mię, panie, tak miłość — słowo to wymówił z tak zwanym galgenhumorem — zjadła, że mi tylko kości i skóra, jak pan widzi, zostały. Ona to, owa „z pian srebrnych wyszła Wenus złotowłosa“, jak mówi gdzieś pan Przerwic, podcięła mi nogi. A teraz, to już ze mnie kpić zaczyna, jak żebym miał osiemdziesiąt lat, a mam dopiero dwadzieścia sześć... Widzi pan, moja matka przyjechała tu na koźle ze wsi od Trzemeskich, to jest siedem mil. Spotkałem powóz. Żebym był o pół minuty później albo wcześniej stąd wyszedł, nie byłbym spotkał. To było całkiem naturalne, że moja matka jechała na koźle. Pani Schwalbe i jej siostra, panna Madzia Wyraj Trzemeska, siedziały u góry, dwoje dzieci na przodzie, moja matka na koźle. Przecież to całkiem naturalne. Trudno, żeby na koźle siedziała panna Madzia albo które z dzieci; mogłoby spaść, bo są

małe. Tylko— —pani Schwalbe ma ze dwa miljony majątku, dlatego poszła za swego męża... i może nie byłoby jej zrujnowało, gdyby była najęła wózek od chłopa, jeżeli nie chciała używać innych swoich koni... To kosztowałoby dwa ruble albo trzy... Mama mi się nie wydawała nawet bardzo zmęczona— —nie, wcale nie— —

— Płot trzy lata,
Kot trzy płoty.
Człek trzy konie,
Koń trzy koty —

zanucił nagle kapitan Konarzewski, poczem zabębnił po stole swemi kolosalnemi palcami marsza, którego nazywał piemonckim. Drewski, jakby korzystając ze zwróconej na kapitana uwagi obecnych, wstał od stołu i przeszedł do sąsiedniego pokoju.

— Dlaczego on do mnie ma takie zaufanie?— myślał Rdzawicz. Jemu jest jeszcze gorzej na świecie, niż mnie... Ale może dlatego tak ze mną mówił, iż odczuł, że i mnie za życia djabli biorą...

— Z tego Drewskiego to już i pies nic nie wyliże — mruknął Tężel. — Tymczasem ktoś z obecnych zaczął opowiadać o ostatnim dramacie Hauptmanna, który widział w Berlinie, tak że dopiero po jakich dziesięciu minutach Misia zapytała Stosławskiego, gdzie się Drewski podział?

— Poszedł tam — odparł Stosławski, wskazując na sąsiedni pokój.

— Cóż on tam może robić? — i Misia wstała i poszła za Drewskim.

— Ten niedoszły doktór ze swojemi matkami tak zbyt tu nie był dziś potrzebny... *C'est degoutant* — — zauważył półgłosem, krzywiąc się, młody dorobkiewicz.

— Czy porter wydaje się panu gorszym? — rzekł żywo Przerwic i zwracając się do Rdzawicza szepnął: — Stosławski musi przyjmować tego durnia, bo to jakiś jego kuzyn, ale wiem, że go oboje z Misią znieść nie mogą.

Nagle gdzieś z dalszych pokoi dał się słyszeć przeraźliwy krzyk Misi; wszyscy zerwali się od stołu.

— Zostańcie, panowie! — krzyknął Stosławski i pobiegł naprzód. Po chwili pojawił się zpowrotem, blady i przestraczony, wołając: — Prędko wody! Misia zemdlała! Drewski się otruł...

Tężel chwycił karafkę z wodą i pobiegł za Stosławskim. W trzecim pokoju za salą jadalną, w gabinecie do palenia, Misia leżała nawznak na ziemi, bez przytomności, Drewski zaś siedział, sztywny i siny, na krześle przy stole z rękami w kieszeniach, z głową wtył przewieszoną, z pianą, wybiegłą na usta, martwy.

Misia, opryśnięta zimną wodą, przyszła wkrótce do siebie.

— Zobaczcie czy mu jeszcze serce nie bije?, — zawołała z fotelu, na którym ją Stosławski posadził. — Trzeba zaraz posłać po lekarza...

— Nie, serce już nie bije — rzekł Tężel, który położył rękę na piersiach Drewskiego.

— To jest okropne, okropne... Taka śmierć— mówiła przerażona Misia.

Tymczasem goście i służba stłoczyli się koło trupa. Rdzawicz poznał leżący na stole papierek, który mu pokazywał Drewski.

— Tu jest także coś napisanego—rzekł, wskazując palcem na kartkę, obok papierka, w którym była trucizna. — To do pana, panie Stosławski, adres jest u góry.

Stosławski wziął i zaczął czytać głośno, drżą-

cym z emocji głosem: „Przepraszam bardzo, że robię Wam trochę ambarasu, mógłbym się również dobrze otruć gdzie indziej, ale czuję się w tej chwili wyjątkowo dobrze do otrucia usposobionym i boję się, że mi to dobre usposobienie może minąć, a już mam dość. Bardzo dowcipnie ktoś powiedział, że życie w zasadzie jest dostatecznie podłe, aby się postanowić zabić, ale na to, żeby to zrobić, trzeba mieć powód. Otóż ja doszedłem wreszcie do tego, że mam powód. Powód jest we mnie. Bądź co bądź, jest mi cokolwiek zbyt niemiło, aby tak dalej było, jak teraz jest, ale byłoby mi równie niemiło, gdybym się miał zmuszać do starania o to, żeby było inaczej. Obieram drogę pośrednią—wypisuję się z interesu i nie narażam ani na jedno, ani na drugie. Wiesz, robicie tyle dobrego ludziom i masz tyle pieniędzy, wyznacz mojej matce dożywocia jakich trzydzieści rubli miesięcznie, choćby piętnaście, niech je suchy chleb, ale niech nie jeździ na koźle u pani z Wyraj-Trzemeskich Schwalbowej. Widzisz, o to cię proszę bez żadnej ceremonji. Swoją drogą, jestem wdzięczny temu kozłowi, bo żeby nie on, tobym jeszcze dalej może szłapał, a moja matka możeby jeszcze kiedy ztyłu na walizie za panią z Wyraj-Trzemeskich Schwalbową do Warszawy przyjechała. Jadę pewny, że będziecie o mojej matce pamiętali aż do jej wyjazdu, czyli tłumacząc się jaśniej, śmierci. Na te tysiąc dwieście rubli, którem ci winien, możesz krzyżyk położyć, inni zaś moi wierzyciele odpowiednie znaki, stosownie do wyznania. Pani Michalinie rączki całuję i dziękuję przedewszystkiem za pasek flanelowy, który mi przysłała, kiedy byłem chory, a nadto i jej polecam moją matkę. Pryskałbym stąd, jak na wesele, gdybym był pewny, że oprócz twoich pieniędzy,

ona jej jeszcze da trochę swego serca. Wszystkim znajomym życzę, aby potrafili sobie tak nic nie robić ze śmierci, jak ja, kiedy im się trafi okazja. Panu Rdzawiczowi powiedz, że mi się bardzo podobał i że jemu przedewszystkiem życzę. On ma za głęboko wsadzone oczy, aby miał źle,-to jest tak zwaną naturalną śmiercią skończyć. Cóż w niej jest nienaturalnego? Czy nie jestem taki sztywny, jakgdybym umarł na zapalenie płuc lub tyfus? Muszę mieć trochę piany na ustach. Zarazem proszę pana Rdzawicza, aby obserwował najbliższą zorzę borealną, czy się tam moja śmierć daje odczuć? Zajmijcie się moją matką, którą opiece mojej polecił mi ojciec przed swoją emigracją czyli — wyraźniej mówiąc—zmianą lokalu z Krakowskiego Przedmieścia do trumny.—„Matka powinna być przez ciebie na świeczniku" — powiedział. Była wysoko—na koźle. Każ mnie spalić, jeżeli będzie można, choć ostatecznie wszystko mi jedno. *Tout à vous Ignacy Drewski.*"

Zapanowało głuche milczenie. Po chwili Misia wstała z fotelu, zbliżyła się do ciała Drewskiego, uczyniła mu nad głową znak krzyża i kładąc rękę na czole, rzekła z ogromną tkliwością w głosie:

— Spij spokojnie, przysięgam ci, że twojej matce będę córką do śmierci...

Przerwic wziął ją za rękę, uścisnął serdecznie i powiedział:

— Pani jest tak dobra, jak moja żona.

Wówczas Misia przechyliła się nieco wtył, popatrzyła nań chwilę, a potem rzuciła mu ramiona na szyję i przyciskając głowę do piersi, wołała z płaczem:

— Jakto? Pan się nie wstydzi? Nie wstydzi się pan mnie zestawiać ze swoją żoną? Nie wstydzi się pan — — mnie?

Rdzawicz stał nad trupem Drewskiego i myślał przedewszystkiem to, że ów człowiek przed chwylą żył, a równocześnie czuł, że wszyscy myśla to samo; zarazem prawie bezwiednie zdawał sobie sprawę z tego, że ta wspólna myśl jest najpospolitsza, jaka w tej chwili do głowy przyjść mogła, i wprost najnaturalniejsza. Patrzył na Drewskiego i widział jego sztywny i dziwnie cichy spokój; długi nos wydłużył mu się jeszcze bardziej, blada twarz zupełnie zbielała, piana na ustach skrzepła. Siedział na krześle z głową wtył przegiętą i rękami w kieszeniach; nikt go nie śmiał tknąć. Wszyscy mówili cicho i w jakiemś wielkiem uszanowaniu i skupieniu w sobie. Służba, która przecież musiała go mieć za nic, ponieważ się licho ubierał i zapewne nie dawał żadnych *pour boire'ów*, poglądała na niego również z jakimś rodzajem szacunku... Jaki on jest teraz wielki pan —myślał Rdzawicz—jak on teraz *du haut de sa grandeur* może mierzyć sprawy świata. Już teraz jest on wyższy nad wszystko... Albo też raczej jest wobec wszystkiego niczem.

Stosławski kazał pójść do doktora i dać znać do policji. Zebrani goście, jeden po drugim, nie żegnając się, poczęli wychodzić. Stosławski nie pozwolił ciała ruszać, aby je policja tak znalazła, jak je zastano, i wyprawił służbę z pokoju. Został przy Drewskim tylko on, Misia, Przerwic z Tężlem, kapitan Konarzewski i Rdzawicz.

— Jak tu tej biednej matce dać znać?—szepnęła Misia.

— A jednak trzeba, bo się po mieście rozejdzie i jutro będzie w rannych pismach — rzekł Przerwic.

— Ale jak tu jej dać znać?... Nie mam odwagi... I potem, jakże jabym tam poszła?... W pojęciu

ludzi taka kobieta, jak ja, ma matce dawać znać, że się jej syn otruł, i to— —u nas... Ja to doskonale rozumiem... Co tu robić?...

— Ja pójdę do pani Drewskiej—ozwał się kapitan Konarzewski.—Od starego znajomego łatwiej to zniesie... Widziałem matki, których dzieci zarżnięte rzucano żywcem w ogień... — Pójdę do niej, będziemy razem płakali nad naszemi utraconemi dziećmi...

Stosławski mimowoli ze zdziwieniem spojrzał na kapitana, ten bowiem był nieżonaty i nigdy o żadnych utraconych dzieciach dotąd nie wspominał.

— Chodźmy stąd—rzekła Misia. — Zaczyna mi tu być straszno.

— Ja tu chwilę zostanę—rzekł Rdzawicz.

Tężel wziął go za rękę:

— Cóż chcesz robić!—szepnął.—Wyjdź?

— Nie, zostanę chwilę.

— Zdejmcie, panowie, maskę pośmiertną dla matki—rzekł Stosławski.—Zaraz każę przynieść gipsu.

A teraz chodźmy.

Rdzawicz pozostał sam z trupem Drewskiego. W pokoju było szaro, z trzeciej dopiero sali dochodziło światło lampy. Zdjął go nerwowy lęk; już posunął się ku drzwiom, aby pójść za innymi, ale jakby naumyślnie, wbrew swej woli, drzwi przymknął.

Ściemniało prawie zupełnie; ciało Drewskiego na krześle straciło wyraźny kształt i kontur i zamieniło się w jakąś ciemną bryłę. Rdzawicz nie śmiał się ruszyć od drzwi i trzymał klamkę. Ale, jakby znów umyślnie, wbrew swej woli, puścił ją i postąpił krok ku Drewskiemu. Uczuł zimny dreszcz i chciał uciec, równocześnie jednak rzekł

do siebie:—Czego ja się właściwie boję? Cóż to jest? Ludzkie ciało, tylko martwe. Czego się bać? —Zbliżył się ku otrutemu, i myśląc, że nie powinien się bać, położył mu rękę na czole. Było zimne i uczyniło mu wrażenie skostniałej skóry. Zatrzymał rękę i czuł, że między nim a tym nieżywym człowiekiem jest jakiś związek, jakaś bliskość. Przedewszystkiem zdawało mu się zbliżającem ich to, że dzieliło ich między sobą życie, to jest rzecz, która w tejże chwili mogła ich przestać dzielić i to najzupełniej i wyłącznie zależnie od woli Rdzawicza. Drewski miał drugi proszek trucizny przy sobie, więc, gdyby Rdzawicz chciał przestać żyć, mógłby to uczynić istotnie w tej samej chwili. Oprócz więc tej tkanki pajęczej, którą lada powiew może zerwać, a która nazywa się życiem, nic ich nie dzieli. Potem, dlaczego ten człowiek specjalnie zwracał się ku niemu w swoim liście? On więc był jedną z ostatnich myśli Drewskiego przed śmiercią... I Drewski jakby przepowiadał mu podobny koniec... I nie on pierwszy to przepowiadał... Rdzawicz uczuł, że po ciele jego przeszedł jakiś lekki wprawdzie, ale niepokojący dreszcz. Dlaczego właśnie naprzeciw niego było przy stole miejsce dla Drewskiego? Inaczej nie byliby mówili z sobą i Drewski nie byłby tego napisał, co napisał. I dlaczego właśnie Drewski dziś się zabił? Kto wie, może, gdyby się był nie spotkał z nim, nie mówił o śmierci, może byłby tego nie zrobił? Był podniecony. Także, gdyby był rozmawiał z kim innym, byłby z pewnością wyszedł trochę później lub trochę wcześniej od Stosławskiego i nie byłby spotkał matki na koźle u Schwalbowej, a to wrażenie było, bądź co bądź, bezpośrednią i ostateczną pobudką, że się otruł. Rdzawicz, czując, że stał się

nią mimowolnie, czuł się jednak do pewnego stopnia jedną z przyczyn śmierci Drewskiego.

Nagle wydało mu się, że się trup ruszył. Porwał go taki strach, że o mało nie krzyknął i nie skoczył ku drzwiom. Ale szybko pomyślał, że to prawdopodobnie jemu samemu musiała drgnąć ręka i że to wziął za poruszenie ciała. Teraz jednak nie mógł już dłużej trzymać ręki na czole Drewskiego; coś jakby mu ją z niego spychało. Zdjął i w tej chwili strach ogarnął go ponownie i począł ogarniać coraz potężniej. Miał takie uczucie, jakby dotąd łączyło go coś jeszcze z tym nieżywym człowiekiem, z jego niedawnem, jeszcze zupełnie świeżem życiem, teraz zaś nagle stał mu się Drzewski czemś zupełnie obcem i potwornem. Cofnął się raptownie ku drzwiom, a potem pobiegł ku nim z takim lękiem, jakby go jakaś okropna, zimna i śliska trupia ręka chciała uchwycić. Wpadł do drugiego pokoju i drzwi zatrzasnął. Tu świeciło się, a przy drzwiach stał Tężel.

— Co ty tu robisz? — spytał Rdzawicz, usiłując pokryć wrażenie strachu.

— Czekałem na ciebie. Chciałem już wejść. Byłem niespokojny.

— Nic — — chciałem się przekonać, jakich uczuć doznaje się przy umarłym. Mego ojca nie lękałem się wcale, choć byłem młodszy. Może dlatego, że był tak bardzo piękny po śmierci, tak piękny, jak za życia, i że leżał w kwiatach, z uśmiechem niewypowiedzianego spokoju. Teraz przeląkłem się, przyznaję... Czy ty wychodzisz?

— Mam zdjąć maskę. Pomożesz mi?

— Nie, nie, ja tam już nie chcę wejść więcej...

— A dokąd pójdziesz?

— Nie wiem, na miasto. Czy Przerwica niema?

— Czekają z Misią na wiadomość od kapitana lub na niego samego. Stosławski...

Tężel nie dokończył, albowiem w tej chwili usłyszeli jakiś obcy im kobiecy głos: — „Gdzie on?!“ — i ujrzeli niemłodą kobietę o siwych włosach, w ciemnej, ubogiej sukni, opartą na ramieniu Konarzewskiego. Za nią szła Misia, Stosławski, Przerwic i kamerdyner Stosławskiego.

— Matka — szepnął Tężel.

Kobieta ta przeszła koło Tężla i Rdzawicza, nie widząc ich wcale, choć jej oczy padły na nich i zatrzymały się nawet chwilę. Oczy te były jakby szklane, szeroko otwarte i nieruchome, jak cała jej twarz, która właściwie nie była teraz twarzą, tylko jednym wyrazem zapamiętania się w rozpaczy. Tężel otwarł drzwi — — do ciemnego pokoju padł blask lamp i oświetlił białą twarz Drewskiego i jego sztywne ciało na krześle, z przewieszoną wtył głową i rękami w kieszeniach. Pani Drewska krzyknęła przeraźliwie: — „Ignaś!..“ — i runąwszy przy krześle na kolana, objęła zwłoki syna rękami i przycisnęła do nich głowę i usta. Nie płakała, nie trzęsła się od szlochania, nie jęczała, tylko stężała przy trupie syna tak, jak on sam był stężały. Ból opanował jej ciało równie silnie, jak jego ciało opanowała śmierć.

Misia i Konarzewski uklękli przy pani Drewskiej. Tężel i Stosławski stali opodal bladzi, jak ściana, Przerwica nie było w pokoju. Rdzawicz zaś myślał: ...A jednak nie umiera... A jednak nie umiera...

...Nie umiera tak samo, jak on nie umarł po stracie Marji. Ale czy onby żył, gdyby tak klęczał przy jej trupie, czy mógłby żyć?... Na tę myśl ścisnęło się w nim coś, oddech mu się z bolesnego przerażenia zatrzymał. A przecież

Marja będzie kiedyś takim samym zimnym, sztywnym i strasznym trupem... I żal nad Drewską, który go zrazu zdejmował, pomieszał mu się z okrutną jakąś żałobą i litowaniem się nad Marją, nad którą także wisi śmierć, do której się z każdym dniem zbliża... Chciałby był biec, objąć jej głowę w ręce, tulić do persi i powtarzać jej: jakaś ty biedna!... Śmierć wydała mu się jakby jakąś istotą realną, przed którą chciałby zasłonić Marję sobą, swoją osobą, swojem życiem, z którą chciałby się był poprostu bić o Marję.

— Lekarz przyszedł i komisja — ozwał się półgłosem lokaj do Stosławskiego.

Rdzawicz oprzytomniał, spojrzał jeszcze raz na zdrętwiałą przy zwłokach syna panią Drewską i szybko wyszedł z pokoju, a potem na ulicę. Powietrze na razie odurzyło go; prawie czuł chwilowy zawrót głowy.

Było około ósmej wieczorem. Śnieg prószył wilgotnemi, dużemi bardzo, białemi płatami, które trotuary i ulice zasypały już grubą, miekką warstwą, tak, że obuwie w niej grzęzło. Światło latarni i dorożek z pod szyb, zawalonych lepkim śniegiem, miało matowy, niewyraźny blask. Nie było zupełnie słychać tupotu koni, ani tarcia się sanek, tylko dzwonki dźwięczały przygłuchym dźwiękiem. Ludzie z podniesionemi kołnierzami i pod parasolami stąpali bez szelestu. Było bardzo cicho i mglisto.

Rdzawicz szedł, nie myśląc o niczem. Przedewszystkiem czuł to, że jest na powietrzu, że jest zupełnie sam i zupełnie swobodny. Miał uczucie jakby jakiejś ulgi, a zarazem świadomość, bez wyraźnego rozróżniania szczegółów, że się poza nim coś się stało i coś strasznego. Nim zdążył na nowo począć ulegać wrażeniu śmierci Drew-

skiego, myśl jego odwróciła się w inną stronę. Oto Przerwicowa nie wiedziała wprawdzie bezwarunkowo czy Marja jest w Warszawie, ale przypuszczała, że jest i prawie na pewno. Być więc może, że mógłby ją spotkać... Na tę myśl ogarnęło go takie gorąco, że musiał chwycić powietrza ustami, nogi drżały pod nim, a serce poczęło mu bić gwałtownie szybko. Przez chwilę doznawał takiego uczucia osłabienia, jakby miał zemdleć. Rozszerzonemi oczyma począł patrzeć przed siebie, wytężając wzrok. Przed nim, o jakie piętnaście kroków, szły jakieś dwie panie, zasłonięte parasolami: jedna była z figury zupełnie podobna do Marji... Może to ona?!... Skrzyżowały się w nim równocześnie trzy namiętne chęci: uciec i nie dać się widzieć; dogonić i zwrócić na siebie uwagę; dogonić, patrzeć, ale samemu zostać niepostrzeżonym... Ale w tej chwili, na drugiej stronie ulicy, w przeciwną stronę idące ujrzał znów dwie panie, z których jedna mogła być także Marja... Pośpieszył kilka kroków naprzód, potem zatrzymał się, zbiegł z trotuaru na ulicę, zawahał się, zawrócił i chciał wstecz iść za tamtemi i znów się zatrzymał... Koło niego przejeżdżały karety — w każdej z nich mogła być Marja; każda z pań, zatulonych w futro, w przelatujących szybko saniach mogła nią być także... Nakoniec zdecydował się: pobiegł prawie za dwiema paniami, które pierwsze zobaczył. W miarę jak się zbliżał serce biło mu coraz mocniej i oblewało go coraz większe gorąco, prawie pot. Dobiegł ich — chciał uciec... Przysunął się... To mogła być ona, ona, Marja, ta Marja, która była jego narzeczoną, którą przyciskał do persi, z którą tyle, tyle przeżyli wspólnie... Marja, która miała być jego żoną, z którą miał być spokojny na

wieki, z którą nic nigdy nie miało ich rozdzielić, tak umiłowana, tak upragniona... i tak stracona... Oto o krok przed nim może jest ta kobieta, po której tak tęsknił, którą tylu łzami opłakał, o której dniami całemi myślał, której nocami całemi wzywał. Oto może o krok od niego jest ta jego Rysia serdeczna, której się spytał niegdyś:— Czy chcesz, abym cię wziął? — a ona opadła ku niemu ciałem i odszepnęła:—„Weź mię...“

Ile to razy byli z sobą skroń przy skroni i serce przy sercu... I teraz może tylko jeden krok ich dzieli od siebie... i on tego kroku nie może i nie śmie przestąpić!... Ach! może to wszystko był tylko sen! Może się nigdy nie rozstawali z sobą, może on wyszedł z domu, aby się tu z nią spotkać i pójść gdzieś razem. Będą przy sobie siedzieli, osobno, naboku i rozmawiali z sobą, tak, jakby mieli jedną tylko duszę, która gra dwoma harmonijnemi tonami, i będą tacy swoi i tacy jaśni, i dobrzy dla ludzi...

Ileż to razy tak siedzieli, tacy swoi i jaśni... Ona mu znów pochylać będzie od czasu do czasu ukradkiem swoją śliczną główkę ku ramieniu i poza krzesłem wyciągnie ku niemu rączkę albo szepnie mu:—„Mały, ti!...“ Tyle razy tak było, tyle razy... Ludzie wydawali mu się wtenczas jak cienie, nie istnieli prawie dla niego, a patrzył na nich tak promiennie... Takie wielkie, szerokie serce w sobie czuł; płynęła z niej ku niemu taka jakaś szlachetna sympatja ku ludziom, płynął z niej ku niemu taki rozum, wysoki i słoneczny... Mówili napozór o rzeczach błahych, a jednak w nim się cała dusza pod temi małemi, słodkiemi słowami Marji przemieniała, przerabiała w sobie. Odpadały z niej plewy, odpadał pył, krysztaliła się. Marja była mu jakby jakiemś duchowem

wniebobraniem żarazem. Czuł, jak się w nim przy niej dusza zamienia jakby w olbrzymi kwiat niezmiernie świetnych kolorów. Czarodziejstwo czyniła z nim ta kobieta, była dla niego takiem dobrem — mogłaż go naprawdę opuścić, naprawdę?!... Tak... ale nie, nie może być, żeby w niej nic już dla niego nie było! Gdyby teraz poszedł ku niej, wyciągnął ku niej dłoń, chwycił ją za rękę i szepnął smutno:—Patrz, to ja! kocham cię, jak pierwej, stokroć więcej jeszcze, tylem wycierpiał, tak tęskniłem, żyć bez ciebie nie mogę. Wszakżeś mi powiedziała:—„Weź mię!"—wszakżeśmy nieraz opierali skroń o skroń i serce o serce wszakżeś mi przysięgła, że nie opuścisz mię nigdy, cokolwiek będzie...

Wtem druga z kobiet odezwała się dość głośno:

— Janinko, *lève ta robe*, bo się zachlapiesz. To nie była Marja...

Zwrócił się więc i znów już naprawdę biec zaczął za tamtemi. Chciał ją tak zobaczyć! Ale odszukać ich nie mógł. Wpadał w boczne ulice— nie wiedział dokąd iść... Tymczasem po drugiej stronie znów wydał mu się ktoś podobny do Marji. Mrok i gęsty śnieg nie dozwalał nawet na krótką odległość nic wyraźnie rozróżnić. Przyszło mu na myśl, że jeżeli jedną z tych pań, których odszukać nie mógł, była istotnie Marja, to może mógłby iść do Porzelskiej. Skręcił więc tam, ale minąwszy szybko bramę, poszedł dalej i zatrzymał się dopiero na rogu ulicy, skąd już naprawdę nie mógłby dojrzeć, zwłaszcza teraz, czy kto wchodzi w bramę lub nie. Bliżej stać nie chciał, nie chciał się narażać na to, aby go ktoś z rodziny Porzelskiej, ze znajomych lub służby zobaczył. Wyśmialiby go. Stał z kwadrans i dopiero zorjentował się, że właściwie nic tu nie

wystoi i niczego się nie doczeka, że Marja może być Bóg wie gdzie lub w domu u ciotki Porzelskiej, i że szukać jej po ulicach jest nonsensem.

Bardzo prędko począł iść w stronę, w którą, wyszedłszy od Stosławskiego, iść zamierzył. Szedł coraz prędzej, coraz bardziej gorączkowo, nie chcąc zwracać na nikogo uwagi. Przesunęło się mimo niego kilka kobiet, które mogły wydawać mu się w swoich długich, zacierających kształt, rotundach i puszystych wysokich kołnierzach Marją, ale już starał się nie zważać na to. Wszedł do restauracji i zdjąwszy futro, wybrał sobie miejsce w kącie za jakimś rodzajem kredensu, w którym stała porcelana i szkło. Odkąd powrócił do Warszawy, w restauracji i cukierniach starał się zawsze siadać na mniej widocznych miejscach, zdawało mu się bowiem, że ludzie, którzy go mogą znać z widzenia, będą na niego patrzyli z ironją i podrwiwającem politowaniem z powodu zerwania z nim, a raczej odrzucenia go przez Marję. Przedewszystkiem nie zdawał sobie z tego sprawy, że kwestja ta tylko dla niego była najważniejszą na świecie. Wydawało mu się, że ciągle w mieście o tem mówią i że prawie niczem innem się nie zajmują.

W restauracji było prawie pusto.

Rdzawicz kazał sobie podać kolację i wziął pierwszą z brzegu gazetę. Wtem do sali weszła gromadka młodych ludzi, widocznie rozbawionych i wracających z towarzyskiego zebrania; ubrani byli wieczorowo. Rdzawicz nie znał z nich żadnego. Wyglądali na młodzież z zamożnej i eleganckiej, tą pospolitą elegancją bez dystynkcji, szlachecko-burżuazyjnej sfery. Po większej części byli różowi, przystojni, rozczesani na pół głowy, mieli w ładnych krawatach szpilki bez gustu, ruchy swobodne i salonowe, ale bez żadnej wrodzonej wy-

tworności, wyrazy twarzy pewne siebie, sprytne, czasem, mniej lub więcej, zblazowane i płasko-cyniczne, zdradzające dużą, praktyczną znajomość życia, a żadnej oryginalnej, swojej, głębszej lub wyższej, myśli. Rozsądna, płaska, zdawkowa, codzienna inteligencja i chęć ordynarnego, gminnego użycia była najznamienitszą cechą duchową tej młodzieży. Odbijał od nich cokolwiek otyły blondyn, lat około czterdziestu, o typie wybitnie wiejskim. Poczęli jeść i pić. Ktoś kazał podać szampana. Rozmowa, zrazu urywana, poczęła się ożywiać. Mówili głośno, tak, że Rdzawicz, nieopodal i niewidocznie dla nich siedząc, mógł słyszeć każde słowo.

— Przyjdziecie na przyszły wtorek?—ozwał się młody, może dwudziestoletni brunet.

— Naturalnie—odparł mu drugi brunet, trochę starszy—przynajmniej ja przyjdę. Z tych fiksów, naprawdę, tylko u Zymilskich jest przyjemnie.

— No, to nie—odrzekł ktoś trzeci—ale, że najprzyjemniej, to pewna. Zymilska zawsze takie piękne kobiety sprasza, jakgdyby jej mąż miał ośmdziesiąt lat.

— Ej, u niego to wszystko jedno.

— No, ale przyznajcie—ozwał się drugi brunet—nasza Marynia „taki najpiękniejsza", jak mówią na Litwie. Nieprawdaż, panie Kołolaski?—dodał, zwracając się ku otyłemu blondynowi.

— O, prawda, że ta wasza Marynia piękna, jak marzenie—odrzekł zagadnięty z westchnieniem.

— Więc, niech żyje nasza Marynia!

— I niech żyje nowa jej ofiara, zacny szlagon z pod Kielecka, Imci pan Walery Kołolaski!

Wszyscy zwrócili się ku otyłemu blondynowi i poczęli trącać kieliszkami o jego kieliszek, on

zaś usiłował nadrabiać miną, ale się zaczerwienił i zmieszał.

— Eh, z tego nic — rzekł pierwszy brunet — ze wszystkimi nami musiałbyś pan mieć do czynienia. Nie damy jej sobie wydrzeć. No, dalej, niech żyje nasza Marynia!

— Wiwat jej oczy!

— Wiwat jej usta!

— Wiwat jej biust!

— Wiwat jej gust!

— A jaki ma gust? — ktoś wtrącił.

— Nie na ciebie, to pewno.

— Może na ciebie?

— Byłbym w niebie!

— Tylko nie rymujcie dalej na „ebie"...

— Słuchaj, jak to mówi Merkucio o Julji?...

— Nie. O donnie Rozie, jak Bogu dobrze życzę — ozwał się głos nosowy.

— Niech żyje jej udo z przyległościami, tak?

— Niech żyją jej przyl — —

— Pst! Pan Kołolaski chce mówić.

Pan Kołolaski zaś, widocznie obawiając się, że rozmowa stanie się za swobodna, podniósł kieliszek, chrząknął i jakby chcąc położyć koniec, zaczął:

— Wiwat wszystko... — brakło mu konceptu i zająknął się.

— Ten toast do dna, panowie! — ktoś zawołał.

Wśród głośnego śmiechu toast wypito.

Rdzawicz, zasłonięty gazetą, czuł, jak mu się naprzemiany robi zimno i gorąco, jak blednie i czerwieni się. Był pewny, że mówią o Marji, choć nie wymienili jej nazwiska. Zasłonięty gazetą, ze ściśniętemi wargami, słuchał, nie zastanawiając się nad niczem, chcąc tylko wszystko chwycić, co mówią.

— Thi — ozwał się powoli, przez nos, łysy,

chudy, o zblazowanym wyrazie twarzy, trzydziestoletni mężczyzna, w niezmiernie wysokim kołnierzu i monoklu.—Thi, gadacie o tej pannie, jak o swojej, a tymczasem ten piękny gentleman z Ukrainy zdmuchnie ją wam z przed nosa, jak *passez moi le mot,* pies kiełbasę kotom.

— Staś Borzewski?

— A djabli mi tam, czy on Staś, czy on Jaś. *Mais, ma foi,* jak się pieczętuję Korabiem—tu powiódł niby mimochodem oczyma po tych, którzy się widocznie niczem nie pieczętowali — *ma foi,* ona leci na tego Ukraińca. Choć mi to wszystko jedno, chciałbym nim być na chwilę, jak Bogu dobrze życzę.

— A kiedy ci wszystko jedno, Piętaszku—rzekł jeden z obecnych.

— Naprzód nie nazywaj mię Piętaszkiem, bo wiesz, że tego nie lubię, chociaż właściwie to mi wszystko jedno, jak mię tam ktoś tytułuje. Ale, *ma foi* — garson, podaj mi segaro! — ona leci na tego Ukraińca. Co prawda, to chłop, jak świeca, napokaz. To musi być coś tak, zboku, bo w porządnych, szlacheckich domach, takich synów już nie miewają. Szekspir gdzieś mówi o tem, choć wolałbym, żeby to mówił lord Bacon. *Ma foi,* jak Bogu dobrze życzę.

— Eh, to jeszcze na dwoje babka wróży. Przecież ona już była narzeczoną — rzekł drugi brunet—niby się strasznie kochała, a potem fajt!—kawaler wyleciał, jak z procy, i po krzyku.

— Ależ to się nie liczy—odparł łysy mężczyzna w monoklu.—Słyszałem o tem... jakiś artysta-rzeźbiarz, malarz czy ki djabeł. Pobawiła się—i basta! *Ma foi,* ona pójdzie za tego Ukraińca. Garson, zapal mi segaro!

Rdzawiczowi krew uderzyła tak gwałtownie do

głowy, że słyszał jej puls i myślał, że mu czaszkę rozsadzi. Zasłonił się cały gazetą i zdawało mu się, że wszyscy widzą go przez nią i patrzą na niego. Usłyszał, jak przechodząc mimo, garson szepnął do swego kolegi:

— Cóż ten tak czyta i czyta?...

— On nie czyta, tylko podsłuchuje — odparł drugi.

Krew uderzyła Rdzawiczowi jeszcze silniej w kark i mózg. Chciał wstać, wyjść, może rzucić się na rozmawiających, może dać w twarz garsonowi, ale równocześnie myślał, iż tak musi wyglądać, że się nie może pokazać i że jakaś, piekielnie dręcząca, ciekawość zmusza go pozostać. W głowie uczuł zamęt i jakby bolesne jakieś zmroczenie.

Rozmowa toczyła się dalej. Ktoś zapytał:

— Czy ten Borzewski ma duży majątek?

— Taki znów wielki nie—odparł drugi brunet— ale zawsze teraz jakie dziesięć tysięcy rubli dochodu, a po najdłuższem życiu najukochańszych rodziców jeszcze coś. Oni mają dwie wsie koło Żytomierza i dom w Kijowie. Tylko, że jest tam jeszcze dwoje małych dzieci. On u siebie w majątku chce stawiać teraz hutę szklaną, na spółkę z Karolem Mojwiłłem i Konstantym Siodłowskim z Lubaczki.

— *Ma foi*, Mojwiłłowie, to magnacki dom. Ale pocóż pomiędzy takie dwa porządne nazwiska...

— Dwaj bracia Mojwiłłowie musieli wystąpić z klubu w Kijowie z powodu kart—wtrącił z satysfakcją jeden z tych, którzy się pieczętowali niczem.

— Ale zawsze zostali kniaziami Mojwiłłami. Otóż skądże ten tam Siodełko?

— Jaki Siodełko? Siodłowski.

— Ależ, drogi panie, *croyez moi*—Siodełko. Ich

jakiś pradziad, założyciel dynastji, u ostatniego Wiśniowieckiego, Dymitra, był stajennym i konia podawał, dlatego go nazwali Siodełko, a jak się tam przedtem nazywał, Bóg raczy wiedzieć. Jego syn już się nazwał Siodłowskim i wkupił się gdzieś w szlachectwo. Stąd początek wielkiej familji Siodłowskich, jak Bogu dobrze życzę. No, a ileż ma panna Tyżwiecka?

— Marynia ma okrągłe czterdzieści dwa tysiące, ulokowane na sześć i pół procent na pierwszej hipotece ziemskiej; wiem od Jasia Leszczyńskiego — rzekł pierwszy brunet.

— To będą mieli razem około trzynastu tysięcy rubli rocznie—rzekł mężczyzna, zwany Piętaszkiem. — Z tem, *ma foi*, można jako tako już żyć. Ja straciłem prawie całą fortunę, a żyję.

— Ej, coś ty tam miał do stracenia—ktoś wtrącił.

— *Ma foi*, że miałem. Trzy tysiące mórg ornej ziemi i trzy tysiące lasu. Jak stracę resztę, *ma foi*, odwrócę portrety familijne do ściany i za ladę, jak Bogu dobrze życzę. Liczę na pańską przyjaźń, panie Kufke. Tylko wymawiam sobie cebuli, bo nie mogę znieść zapachu. Garson, podaj mi wykałaczki. Jeszcze u panów w sklepie nie było Typolskiego, co? Thi... Ale, patrzcieno, *ma foi*, Ukrainiec... i z kimś jeszcze... cóż to za ędiwiduum? Pijane, bo się chwieje. *Quel drôle de pistolet!*

Rdzawicz rzucił okiem z za gazety. Ku siedzącym przy stole szedł młody, może dwudziestoośmioletni mężczyzna, wysoki, tęgi, bardzo kształtny i bardzo piękny. Rdzawicz przypatrzył mu się bacznie. Miał ciemnoblond, bujne, połyskujące, podzielone zboku, włosy, spadające nieco z jednej strony na czoło, duże, jasne, w pysznej oprawie, niebieskie oczy, nos orli, bujne, długie, ciemnoblond, tak zwane, polskie wąsy, wytwornie wy-

kroione usta i ściągły owal. Ubrany wykwintnie, w postawie i ruchu miał coś wysoce dystyngowanego i połączonego z niejaskrawą, szlachetną brawurą. Mógł uchodzić za skończenie piękny typ polski, za jednego z tych ludzi, o których się mówi, że się robi jasno w pokoju, gdy wchodzą. Wyraz twarzy inteligentny, otwarty, wesoły, zuchowaty, w dobrym i cywilizowanym tonie, w połączeniu z łagodnym sentymentalizmem oczu i zmysłową a melancholijną słodychą ust czyniły go od pierwszego wejrzenia pociągającym. Musiał to być jeden z tych ludzi, o których kobiety mówią, że są „niezwyciężeni", a do których nawet ogół mężczyzn lgnie prawie bez zazdrości; jeden z tych, którzy podbijają bez starania się o to, dlatego, że się z darem podbijania porodzili. Są to artyści bezwiedni, genjusze, w swoim rodzaju intuicyjni; możnaby ich nazwać genjuszami wdzięku.

— Witam panów — rzekł dźwięcznym barytonem, kłaniając się uprzejmie — pozwolą panowie usiąść obok siebie? Ale, ale jestem tu w towarzystwie pana kapitana Konarzewskiego. Moi panowie! pan kapitan Hieronim Napoleon Konar-Konarzewski.

— Józef Tadeusz z Wielkich Konarzewic herbu Prus pierwszy—dodał kapitan, kłaniając się chwiejnie.

— Mój najbliższy sąsiad z Poleszowa—ciągnął dalej Borzewski—i stary znajomy.

— Na rękach piastowałem, jak Boga kocham. Co, panowie, pijecie? Białe?

— Cliquot, kapitanie. Prosimy siadać.

— Cliquot? Wolę sec Uf!

— Zaraz będzie i sec. Może pan kapitan cygaro?...

— Co za dziwne ędiwiduum!—bąknął Typolski.

— *Ma foi*, pyszna figura. Garson, segara.

— Kapitan miał dziś wielkie zmartwienie— rzekł Borzewski, siadając i biorąc bez myśli wykałaczkę z pęczka — otruł się jego wychowanek i syn odwiecznej przyjaciółki, niejaki Drewski.

— Drewski?—Kandydat na lekarza?—podchwycił pierwszy brunet. — Taki chudy? Znałem go. Czy to ten? Otruł się? Kiedyż?

— Na rękach wypiastowałem, jak Boga kocham. Matkem do chrztu trzymał. Nakładałem na niego. Sypiał u mnie w łóżku, w moich kołnierzykach chodził.

— Jakże, kiedy miał być chudy, a pan kapitan, nie wymawiając panu Bogu, cokolwiek, *ma foi*, o Falstafa zawadza—zauważył Typolski.

— A bo miałem dawne kołnierzyki, z czasów, kiedy się mogłem w panieński gorset zapinać— odparł kapitan.

— Ten Drewski miał matkę, była za bonę u moich kuzynów Schwalbów. Cóż stara na to?— mówił dalej brunet.

— Eh, co tam będziemy o tem gadali? — rzekł drugi brunet.—Cóż, panie Stanisławie, odprowadziłeś pan panie?

Borzewski skinął uprzejmie głową na znak, że tak.

— Marynia—boska, co?—rzekł pierwszy brunet.

Borzewski przymrużył oczy, uśmiechnął się i nic nie odpowiedział.

— No, przyznaj się pan, wzięła pana. To nie wstyd, ona nas wszystkich bierze. A i na pana tam patrzą, aż miło! Myślałem, że pan spuchnie od komplementów pani Porzelskiej.

Borzewski uśmiechnął się znowu i puścił kółko dymu z cygara.

— *Ma foi*, jak pan to pięknie robi. Gdyby na

świecie było co warte robić, tobym się tego nauczył, jak Bogu dobrze życzę. Garson, zapal mi segaro!

— No, cóż Marynia, cóż? — nacierał pierwszy brunet.—Niech pan się o to nie gniewa, że pana tak przyciskamy, ale widzi pan, panna Tyżwiecka, to jest takie dziecko pułku. My wszyscy kochamy się w niej, wszyscy nosimy w butonierkach kamelje, używamy vera violetta i papierów listowych heljotrop, bo to jej ulubione perfumy i kolor. My jesteśmy jej lejbgwardja. Zawiązaliśmy to stowarzyszenie tego lata w kąpielach, gdzieśmy się bosko bawili! Przekupiliśmy badedinerkę, która nas wprowadzała na jakiś stryszek, skąd można było widzieć, jak się Marynia kąpała. Ciasno tam było okropnie, bo nas tam bywało naraz po trzech i czterech. Ale cośmy widzieli, to powiadam panu — —

— Postanowiliśmy tam — przerwał drugi brunet—że jeżeli żadnego z nas nie wybierze za męża, to tylko z naszej ręki może go dostać. Musisz się pan o nasze względy starać.

— Ale, cóż znowu, panowie żartujecie — rzekł Borzewski, uśmiechając się i usiłując ukryć śmiechem niesmak, jaki mu się malował na twarzy.

— Nie, my wcale nie żartujemy. Nasza paczka zna Marynię odniedawna, bo dopiero od pół roku, przedtem nie bywała w naszem towarzystwie i znaliśmy ją tylko z widzenia i trochę z balów publicznych, ale znamy ją dobrze. Ona jest panem widocznie zajęta. Kiedy się do pana przysiadła Bronka Szczerbska—prawda, co to za łobuz dziewczyna?!—i ta piękna pani Notweinowa—tam, panie, tylko śmiało! — Marynia się zaczerwieniła i była tak zła, że mi naprzód o mało nie parsknęła w nos, że jestem idjota, choć zazwyczaj jest dosyć na

mnie łaskawa, a potem wcale ze mną gadać nie chciała.

— A mnie poradziła, żebym zbyt nie zaniedbywał egzaminów dla fiksów — rzekł pierwszy brunet. — Jabym jej zrobił egzamin, żeby tylko chciała...

— *Ma foi*, i mnie się coś dostało po łysinie od tej jędzy. Ale co, panie, nie macie na Ukrainie takich? Ta Tyżwiecka, to kobieta frontowa. A, a, panie Kufke, wymawiam sobie, obok cebuli, codzień po obiedzie pół godziny na Słowackiego. Jak Bogu dobrze życzę—garson, segaro jest wilgotne, inne!—lubię tego demokratycznego poetę najbardziej ze wszystkich:

„Kto, mogąc wybrać, wybrał, zamiast domu,
Gniazdo na skałach orła, ten niech umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu
I słychać jęk szatanów w jodeł szumie.
Tak żyłem...“

Thi! Thi! jak Bogu dobrze życzę, majestat! — dodał, kiwając z entuzjastycznem przekonaniem ręką.

— Cóż, panie, jakżeście się pożegnali? — pytał znów pierwszy brunet Borzewskiego. — Co panu powiedziała na odchodnem? ścisnęła panu mocno rękę? co?

— Panie Beer, pan Borzewski jest gentlemanem—rzekł łysy mężczyzna w monoklu. — *Je vous demande pardon, monsieur de Borzewski,* żem się odważył za pana odpowiedzieć—dodał, skłaniając się z przesadną dystynkcją ku Borzewskiemu.— Mówiliście coś o jakimś Drewskim, który się otruł czy rozpuścił w kwasie siarczanym? Czy to z tych dobrych Drewskich z Podlaskiego, co?

— Nie, to z innych, mniejszych—rzekł ktoś.

— Phi—mruknął łysy mężczyzna, machnął lekceważąco ręką i założył nogę na nogę.

Rdzawicz nie wiedział, co począć? W głowie burzyło mu się i czuł gorączkę. Czuł także, że jest obserwowanym przez służbę, którą zastanawia uporczywe czytanie tej samej gazety, o dwóch stronach druku i dwóch stronach anonsów. Chciał przeczekać zebrane towarzystwo, ale tam odkorkowywano coraz nowe butelki. Byłby się może zdecydował przejść mimo, bo przypuszczał, że go nikt z tych panów z widzenia nie zna, ale obawiał się, że spostrzeże go kapitan Konarzewski. Ten zaś, pukając swemi olbrzymiemi palcami w stół, nucił półgłosem:

„Un musulman, très brave garçon
Portait sa femme et caleçons,
On lui a dit: vous êtes chocolat—
Il leur répond: kif, kif, Allah!..."

— Słyszałem to w Nicei—rzekł Typolski, kapitan zaś powtórzył:

Kif, kif, Allah!...

i uderzył w stół marsza piemonckiego, aż szkło zabrzękło.

Borzewski, tłumacząc się, że ma ból głowy, wyszedł. Wino poczęło działać. Jedni mówili przez drugich, a mówili coraz swobodniej. Mówili o różnych rzeczach, głównie jednak o Marji Tyżwieckiej. Języki rozpuściły się... Wyrażano zachwyty, przypuszczenia, pragnienia w jak najdrastyczniejszy, choć niezupełnie niezawoalowany, sposób.

W Rdzawiczu wrzało wszystko. Mógł był wstać, mógł był któremukolwiek z tych panów rzucić kartkę lub wyzwać wszystkich naraz, winnych i niewinnych, mógł był zmusić ich do milczenia groźbą, że pierwszemu, który się odezwie nieprzyzwoicie o Marji, butelką łeb rozbije... mógł to uczynić, ale jakiem prawem? Prawem odrzuconego aman-

ta, dymisjonowanego narzeczonego? Ci panowie niewątpliwie przyjęliby wyzwanie, biliby się, ale przedtem parsknęliby mu w nos śmiechem, gdyby im powiedział, kim jest. Gdyby ci panowie uwłaczali czci, dobrej sławie panny Tyżwieckiej, każdy honorowy człowiek miałby prawo stanąć w jej obronie. Ale nie, oni czci jej bynajmniej nie naruszali: mówili tylko o jej ustach i biuście, o jej ramionach i plecach, biodrach i nogach, mówili o rzeczach, o których zabronić im mówić mógł tylko człowiek, stojący wobec Marji na jakiemś wyjątkowem stanowisku; on zaś jest jej odrzuconym amantem, jej dymisjonowanym narzeczonym. Marja, dowiedziawszy się w danym razie o wszystkiem, mogła wymówić znajomość tym panom, którzy o niej mówili, jak o pierwszej lepszej kokocie, ale zarazem mogłaby się spytać:—„Skąd pan Rdzawicz poczuwa się w prawie stawać w roli mego rycerza?“—A może, może właśnie, dowiedziawszy się, że on, nie zważając na nic, na nic, cokolwiek zaszło, stanął w jej obronie, stanął sam przeciw kilkunastu... Gdyby miał pojedynek, gdyby był ranny... może, może wróciłaby do niego, może przyszłaby do jego pokoju, gdzieby leżał, i nachyliła się nad nim i wyciągnęła ku niemu obie ręce i szepnęła mu:—„Kocham...“ Może ów sen jej, opowiedziany w Kłężu, był właśnie przepowiednią, wróżbą tego, co się ma stać naprawdę... Może tak będzie leżał trupio-blady, prawie martwy, a ona nachyli się nad nim i ożywi go swoim oddechem, samem tem, że przy nim jest ta Marja, ta Rysia, serdeczna, umiłowana... A może zginie za nią... W takim razie pozostanie jej na zawsze w pamięci, jako smutny i cichy wyrzut, jako żal rzewny i pełen melancholji... Pójdzie za jego trumną, bardzo blada i bardzo smutna... Wykopią grób, a ona gar-

stkę ziemi, tam, na jego trumnę rzuci... Będzie kwiaty na grób jego kładła i fotografję postawi na biurku... Pójdzie zamąż, będzie miała dzieci, ale naprawdę do końca życia należeć będzie do niego, do jego cichej, smutnej, pełnej melancholji, pamięci...

Wtem, na komendę kapitana, zebrani powstali nagle od stołu, śpiewając chórem:

„Un musulman, très brave garçon,
Portait sa femme et caleçons,
On lui a dit:—vous êtes chocolat—
Il leur répond: — kif, kif, Allah!...“

i wyszli z sali.

Chwilę jeszcze pozostał tylko Kołolaski, któremu z tęczowej storublówki niewiele reszty wydano. Rdzawicz natychmiast załatwił rachunek i wyszedł na ulicę.

Z drugiej strony ulicy dochodziło go chóralne:

„On lui a dit: — vous êtes chocolat—
Il leur répond: — kif, kif, Allah!..."

Rdzawicz miał uczucie, jakby go ktoś bardzo silnie uderzył obuchem w głowę. Wypił zaledwie dwa kieliszki soternu, a szedł jak pijany, prawie, że się zataczał.

Przedewszystkiem przepełniał go i dusił niepohamowany gniew na tę całą bandę, w której dla jednych matka trującego się człowieka była „starą“; drudzy śmierć tę oceniali z tego stanowiska—czy był „z tych dobrych Drewskich“, czy nie: którzy wreszcie, będąc takimi, jak są—paką płaskich, banalnych, pospolitych „szykowców“—byli „lejbgwardją“ Marji, jej najbliższem otoczeniem, kołem jej adoratorów... Zdjął go gniew na Marję. Jak ona mogła dopuścić, aby ją takie kpy nazywały „dzieckiem pułku“?!.. Jak ona mogła?!... Jak może

jej wystarczać to towarzystwo, takie towarzystwo?! Jak może znajdować w niem przyjemność?!... A jeżeli w niem przyjemność znajduje?... Jeżeli to jest właśnie sfera ludzi, którą najlepiej rozumie, z którą się najlepiej zestraja, w której jest jej wygodniej umysłowo i najswobodniej?.. Jeżeli... Jego Marja! Jego Marja!... A może jemu się tylko zdawało, może on ją tylko idealizował, może jej inteligencja była zupełnie tego rodzaju, jak inteligencja tych ludzi, może była prostą, zwyczajną, przeciętną panną, szablonową, jak inne, zbanalizowaną przez otoczenie lub banalną z urodzenia, jak inne, może była taka sama pospolita, może była taka sama płaska, może była taka sama głupia!...

Tupnął nogą w śnieg z pasją, a głowa poderwała mu się wgórę tak samo dumnie, jak wtenczas, gdy będąc jeszcze bardzo młodym chłopcem i nie mając za sobą naprawdę nic, wszedł zaproszony na zgromadzenie artystyczne. Były tam stare „firmy“ i młode „gwiazdy“ — on jednak, wchodząc, podniósł głowę, jakby czuł, że zaledwie kilka lat minie, a pośród młodych „gwiazd“ rzeźbiarskich będzie pierwszą, starym zaś „firmom“ stanie się niebezpieczną konkurencją.

I na tę głowę lubiła Marja ręce kłaść i gładzić ją i mówiła, że się czuje dumną, że się tej głowy dotykać może... Tak niedawno... tak niedawno...

A może, naprawdę, on tylko sam czynił ją tą kobietą inną, jak wszystkie, bardziej promienną w myślach i bardziej złotą w duszy... może tylko on...

Może to prawda, że idealne piękno bywa nierównie częściej w wyobraźni mężczyzny, który kocha, niż w duszy kobiety, która jest kochaną.

Może Marja jest taką, jak inne, przeciętną, zbanalizowaną lub banalną z urodzenia, głupią! I on, i on!... Że do nóg jej padał, to nic, klęka

się przed ładną służącą, ale kładł się jej cały do nóg, kładł jej do nóg swoją myśl, swoje uczucie, swoją fantazję i pracę, duszę całą... I ona nie rozumiała, a udawała, że rozumie, bo jest sprytna, szablonowo, pospolicie sprytna, sprytna natyle, aby się umieć wydać inteligentną, a naprawdę jest czcza, płaska, głupia, „dziecko pułku" takich kpów, właścicielka lejbgwardji!...

Ale nie, nie! Cóż ona temu winna, że ją tacy ludzie otaczają, że ją w takie towarzystwo, jedynie dla siebie zrozumiałe, prowadzi taka ciotka Porzelska? Cóż stąd? Wszyscy ci ludzie sami oświadczyli, że żaden z nich żadnych u niej względów nie uzyskał. Uzyskał je natomiast Borzewski, a ten jakże innym jest od nich...

I Borzewski począł się przedstawiać wyobraźni Rdzawicza, jak jakiś cudowny rycerz kresowy, jakiś ideał romantyczny, o którym czasem marzą jeszcze polskie kobiety. Tylko taki człowiek mógł na siebie zwrócić uwagę Marji, tylko takiego mogła pokochać i tylko taki był jej miłości godnym. Czemże on był wobec takiego Borzewskiego? Wobec tego zdrowia, wobec tego hartu i siły męskiej, które mu biły z całej postaci, on, wątły, nerwowy i zdenerwowany? Czemże jest jego artyzm wobec zdolności czynu Borzewskiego? Poco sława, która jest w gruncie rzeczy do zabawy ogółu, tam, gdzie pozycje dają majątek, stosunki i realne, rzeczywiste potrzebowanie człowieka przez społeczeństwo? Jakież stanowisko miałaby Marja w świecie z nim, a jakie z Borzewskim? On, niech dziś złamie rękę, przestanie rzeźbić lub niech mu się zacznie mniej udawać robota, niech wyjdzie z mody—on sam nie znaczy nic!... nędza przed nim stoi otworem. Tymczasem Borzewskiego stanowisko jest od niczego niezależne i jego żony także—gdy-

by Borzewski nawet i umarł, zostanie fundament życia—majątek.

Zresztą, jeżeli Marja o nich dwóch myśli, jakaż różnica! Borzewski, zawsze pewny jutra i swobodny, musi mieć ten miły, równy, dobry humor, tę łatwość obejścia i budzące sympatję wzięcie, które mają ludzie, nieznający przykrych myśli i przykrych sytuacyj w życiu. A on? Ileż to razy dręczył Marję i dokuczał jej, dziki, rozdrażniony, fantastyk, czasem prawie szalony w pieszczotach, czasem prawie szalony w chimerach i kaprysach. Jaka śmieszna, dziecinna, niesmaczna jest jego „artystyczna natura“ wobec gentlemańskiego wykwintu i spokoju takiego Borzewskiego, który zresztą jest tak pięknym, że żadna kobieta oprzeć mu się nie potrafi...

I Rdzawicz uczuł coś takiego wobec Borzewskiego, że gdyby go był spotkał w tej chwili, byłby mu zszedł z drogi i usunął się pokornie nabok, bo tacy Borzewscy mają zupełne prawo przechodzić z podniesioną głową środkiem ulicy wobec takich, jak on, takich zer, tem jeszcze niesmacznych, że z śmielszą i arogancką pretensją do jakiegoś znaczenia między ludźmi... W tej chwili, gdyby można tak zrobić, byłby wziął za rękę Marję, przyprowadził do Borzewskiego i oddał mu ją, mówiąc: oto jest człowiek ciebie godny i dla ciebie stworzony, oddaj mu się... A dla niego samego pozostaje tylko rezygnacja. To słowo przyszło mu, jak zbawienie; tak jest, powinien zrezygnować. Weźmie się do pracy, do rzeźby, całe życie w nią włoży, będzie mieszkał gdzieś cicho, na poddaszu, nieznany, nieszukany, niepamiętany przez nikogo. Będzie rzeźbił figury do kościołów i klasztorów, bo śmiesznyby był, gdyby teraz rzeźbił inne i chciał rozgłosu. Będzie

miał starą posługaczkę i zakurzone szyby, maszynkę do kawy i kanarka, któremu będzie dawał okruszyny chleba i cukru, i nakoniec umrze, jak kamionka w *Lux in tenebris lucet...*

W usposobieniu tem, spotkawszy po drodze psa, który zdychał pod murem z głodu i zimna, przyszedł do domu. Począł się cicho rozbierać i miał uczucie starego emeryta. Włożył pantofle, aby je tylko włożyć i z rozkoszą myślał o łóżku, chociaż mu się ani spać, ani leżeć nie chciało. Ułożył porządnie na stole książki i pióra, obtarł z kurzu kałamarz. Chciał, aby dokoła było cicho, ciepło i czysto, jak u starego emeryta.

A gdy układał papiery w szufladzie, trafił na pęczek kwiatów, zbieranych gdzieś nad Dunajem, podczas ostatniej podróży do Wiednia; zbierał je dla Marji, a ona wtenczas już nosiła się z zamiarem zerwania z nim... I nie dał jej ich, już nie zdążył...

Oparł głowę na ręku i zamyślił się, zdjął go taki żal nad temi kwiatami, taki smutek serdeczny... Rwał je w takiej chwili, kiedy temu, coby mu był rzekł, że dla Marji jego serca trzeba, byłby powiedział: bierz! Rwał je w takiej chwili, kiedy, szalony tęsknotą, błąkał się po obcych łąkach, nad obcą rzeką i zdawało mu się, że się mu dusza po falach rozpłynie od słodkiego wzruszenia... Tak się śpieszył do niej, do niej!... Nigdy, nigdy, odkąd ta rzeka szumi, nikt nad nią nie tęsknił tak bardzo, tak naprawdę serdecznie i niezmiernie...

Pełne miał usta słów o niej, dla niej, do niej...

Szedł pustką taką, że mógł mówić głośno — i mówił... Wołał jej po imieniu, zdrabniał jej imię, pieścił się niem, czuł drażniącą słodycz na wargach od śpieszczanego tysiąckrotnie dźwięku jej imienia... Wydawała mu się taką jakąś małą i taką

wdzięczną, i taką daleką... Czuł taki brak w dłoniach, że jej dłoni uścisnąć nie może... I zrywał kwiaty i mówił im o niej. Mówił im, że ją kocha i jej kochania chce, że gdyby mógł, toby ją na ręce wziął i niósł, i cierni szukał, aby myśleć, że ją niesie i że ona tych cierni nie czuje; mówił im, tym kwiatom, że objąć ją chce i przycisnąć do piersi, całować w usta i szyję, i u nóg jej klęczeć, i w oczy jej patrzeć, a potem krew jej w płomień zamienić, aby tak wrzała, jak jego; oto mówił im, że jest jego snem pięknym, że wybudował cały świat ze złota i zieleni, z błękitu i srebrnoróżanych barw, cały świat ciszy i spokoju, ciepła i woni, że odgrodził gdzieś czarodziejską i zaczarowaną łąkę, nieskończoną, cudowną, gdzie ją powieść chce, gdzie z nią razem chce mieszkać; mówił im, że całą swoją duszę ze wszystkiem, w co jest bogata, u stóp jej kładzie i całe serce, ze wszystkiem, co ono czuć zdolne, jej da...

To mówił tym, zerwanym nad Dunajem, kwiatom.

A ona?

Odwróciła twarz i odeszła...

Odeszła spokojnie, zimno, bez jednego słowa pożegnania, bez podania na to pożegnanie ręki— spokojnie, zimno, bez litości... jak głaz...

Z pewnością! Ona ma słuszność! i tak, jak uczyniła, uczyniła dobrze, rozsądnie, trzeźwo, uczciwie... przestała kochać, miałaż kłamać miłość?... Tylko odeszła tak spokojnie, tak zimno, tak bez litości... Odchodząc tak, stała się tak podobną do innych kobiet, które twarz odwracają na zawsze...

A on ją śnił taką inną od wszystkich, tak odmienną... Ze wszystkich kobiecych dusz, co najpiękniejsze wziął i w duszę jej przelał; ze wszystkich kobiecych serc, co najpiękniejsze wziął i przelał jej w serce... Uczynił z niej kobietę, przed

którą się klęka nietylko poto, aby rozkosz wyprosić...

A ona?... Czyż naprawdę najpiękniejsze jest to, co się śni?... Ona...

Ona poddawała się wrażeniu chwili—to ludzkie, to zrozumiałe; wrażenie minęło i opuściło ją—to także ludzkie, to także zrozumiałe. Miałaż się na całe życie wiązać z człowiekiem—którego nie kocha, którego nie kochała naprawdę nigdy lub przestała kochać—dlatego, że mu niebacznie, nieoględnie, w chwili wzruszenia i niepamięci dała słowo? Przysięgła, że cokolwiek będzie, nie zerwie z nim, nie porzuci go, ależ miałyż wagę takie przysięgi, mógłże je kto za ważne brać? Przysięgi młodej, niedoświadczonej dziewczyny!

Zresztą wszystko, wszystko tłumaczy i usprawiedliwia, wszystko rozbraja to jedno: nie kocha... Niema obowiązków, niema zobowiązań, niema przysiąg i słów wobec tego słowa:—„Nie kocham". Żyje się tylko raz, jedynem szczęściem na świecie jest miłość, masz jej nie szukać wszędzie i za jaką bądź cenę, masz się wyrzekać egoizmu wobec własnego szczęścia, które jest jedynym celem życia, masz się zaprzeć samemu sobie, aby komuś nie zaprzeczać, robić z siebie ofiarę, aby ktoś jej z siebie nie robił? A jeśli ofiara być ma, niech ją poniesie ten, kto kocha więcej lub kocha sam—temu będzie łatwiej. Ofiarować się dla kochanej istoty, może tylko piekło w niebo zamienić; ale ofiarę z siebie czynić bez miłości, może być tylko piekłem. I kimże jest, ktoby takiej ofiary żądał, taką przyjął? Tylko... tylko dlaczego Marja odeszła tak spokojnie, tak zimno, tak bez litości...

On myślał czasem—jakież myśli nie przychodzą do głowy człowiekowi, który kocha!?—on myślał czasem, że gdyby i stanęło coś na przeszkodzie

ich małżeństwu, zawsze, zawsze pozostanie między nimi jakaś łączność, jakiś związek dusz i serc, jakaś czułość wzajemna i wspólność, powinowacenie się myśli... A tu — tak nic, tak nic, z dnia na dzień, z godziny na godzinę... Nic, nic i nic...

I oto jest na świecie znów, jak na pustyni niezmiernej, jak na oceanie bezbrzeżnym, w samotnej łodzi, bez celu, bez lądu, bez szlaku, tak, jak przedtem, nim poznał Marję... Znowu ta straszna pustka życia, w którem niema miłości, to uczucie parjasowstwa wśród wiązanego miłością ogółu; to uczucie nędzy, ubóstwa straszliwego, wstydu i upokorzenia, bo przecież wszyscy są kochani, tylko on nie! Wszyscy mogą być kochani, wszystkich kobiety chcą kochać, tylko on takiej nie ma, tylko jego kobieta kochać nie chce! Miłość wzajemna jest tak rdzenną potrzebą, tak nieodzownym warunkiem pełni życia, że on, niekochany, jest jakby niezupełnym człowiekiem, upośledzonym wobec innych, niższym od nich.

Przypomniał sobie jeden szczegół z rozmowy restauracyjnej i przeszył go taki ból, że musiał się wstrzymać, aby na głos nie jęknąć. Ileż to razy myślał o tem lecie, które miał spędzić z Marją w górach. Ślub naznaczony był na październik i projektowali, że pojadą do Zakopanego. Marja nie była tam nigdy. Rdzawicz bywał tam często podczas wakacyj z Przerwicem, który z tamtych okolic pochodził. Błąkając się po pustkach górskich, on, dla którego kobieta była zawsze osią życia, a miłość — największem pragnieniem i największą potrzebą, ileż godzin przeżalił się w sobie, że jest tu sam, ile przemarzył, że może będzie tu przecież kiedyś z ukochaną kobietą i jakby jemu, jakby im wtenczas było... Tu śnił ją najpiękniej, tu wyobrażał ją sobie najplastyczniej, tu

prawie słyszał jej głos, czuł dotknięcie jej dłoni, widział jej spojrzenie; tu tworzył sobie ideał kobiety, którąby kochał, od której chciałby być kochanym. Na głuchych granicach, nad przepaściami i w dolinach, pośród szumiącej wody — miał ją przed sobą. Widmo to swojej tęskniącej wyobraźni, prawie, że wiódł za rękę, prawie, że przeprowadzał przez strumienie, prawie, że okrywał od chłodu i prawie, że mówił mu:—Patrz, patrz!... Tu kiedyś ją przyprowadzę — myślał — to jej pokażę, tam pomogę się wspiąć, tu usiądziemy przy ognisku i będziemy przy sobie, tam noc przepędzi... to moje, to moje, ten mój raj, ten mój świat... Wiedział, co będzie mówił, co będzie mu odpowiadała. Całe rozmowy tworzył i uśmiechał się sam do siebie, myśląc, jak miłość w niej do niego będzie się rozwijała i rosła, jak będzie rozkwitała, przepromieniała się w słoneczny błękit, nad nimi rozpięty, bo on więcej jeszcze chciał być kochany, niż kochać. Tu chciał być kiedyś ze swoją narzeczoną i kiedy się z Marją zaręczył, prawie że wolał, że ślub miał się odbyć dopiero w jesieni i marzenia te mogły się spełnić, należał bowiem do tych ludzi, którzy swoje sny kochają tak, jak rzeczywistość. Marja miała pojechać do Zakopanego ze Strzeliskimi, mieli tu również przybyć Przerwicowie, najbliżsi Przerwicowi, i tu miały się dwie rodziny zbliżyć, a zarazem miało się ziścić, co śnił, o czem marzył, czego pragnął. Już potem mówili wiele o tem lecie z Marją, ona nawet zaczęła już sobie przygotowywać kostjum wycieczkowy i nie mogli się zgodzić na trzewiki, bo ona twierdziła, że podbijane gwoździami muszą być lepsze, a on dowodził, że tylko na lodowce i śniegi, czego w Tatrach niema. Układali także program wycieczek, tak, „aby się twoja kuzynka nie zmęczyła“, bo

Przerwicowa nie mogła się bardzo forsować pod górę. Marja o wszystkiem pamiętała: i o tem, że Przerwic lubi mleko z konjakiem, i że pani Laurze ślicznie jest w białym kolorze; miała więc wziąć parę butelek doskonałego konjaku, a pani Laurze uszyć biały sukienny serdaczek, lekki, bez futra pod spodem, obramowany delikatnym złotym szlakiem. Wszystko wiedziała, o wszystkiem pamiętała.

— „Cóż miałabym pamiętać, jak nie to, co ciebie i twoich obchodzi? Komuż miałabym zrobić przyjemność, jak nie twoim?—mówiła.—Jesteśmy oboje sieroty i trzeba, żebyśmy sobie stworzyli kółko rodzinne i żeby nam w niem było ciepło. A przytem, ponieważ kocham ciebie, kocham także tych, których ty kochasz, a ponieważ kocham ciebie bardzo, twoja rodzina wydaje mi się prawie bliższą, niż moja własna. Zobaczysz, jak nam będzie miło i dobrze, ty, ti! Ta Lora musi być cudowna, zupełnie entuzjazmuję się do niej. Boję się, że będę o nią zazdrosną. Ale, byle ci było dobrze, to kochaj ją sobie więcej ode mnie. Tak się cieszę, że tam będę z tobą, że ty mi pokażesz to wszystko, że przez twoje oczy będę patrzeć i przez twoją duszę czuć! Będziemy lecieli wysoko, prawda, mój drogi? Będziesz mię brał na skrzydła i niósł wgórę, przez ciebie chcę się nauczyć myśleć i widzieć. Czy może być większe szczęście, jak być z tobą, z takim człowiekiem, jak ty, daleko od codziennego życia, w takim świecie, jak tam?“

Tymczasem, ciągnąc za sobą swoją lejbgwardję, pojechała w parę miesięcy później gdzieś do kąpiel, gdzie musiała się bawić, jak się w takiem towarzystwie bawić można, to jest pierwsza lepsza pospolita, salonowa kokietka, bo innej kobiety ci nie byliby lejbgwardją, bo od innej, choćby była jeszcze piękniejszą, ci odbiegliby po pierwszej

próbie. Zgraja pawjanów... i jej lejbgwardja! On pragnął jej, pragnął jej całą szaloną zmysłowością swojej natury, pragnął jej tak, jak mężczyzna pragnie kobiety, ale ci czynili z niej... traktowali ją, jak swoją wspólną metresę!... Krew wrzała w nim i wbijał sobie w dłonie paznogcie. I ona w ich towarzystwie bawiła się... nie rozumiała tego poprostu...

Sam przed sobą nie chciał tego słowa powiedzieć... I może upoważniała ich do tego swojem postępowaniem i zachęcała ich. Tak było z pewnością, ale to nie była jej wina — tak ją wychowały jej ciotki Porzelskie, które jej powiedziały, że kobiecie jest naprzód wszystko wolno dlatego, że jest kobietą, że jedynym celem życia kobiety jest podobanie się jak największej liczbie mężczyzn, ku czemu każdy środek jest dobry, byle się nie zaawansować zanadto, i że kobieta powinna dążyć do tego, aby za jaką bądź cenę panować nad mężczyznami, co najłatwiej osiągnąć, drażniąc ich najniższe instynkty. I w taką to zgraję los rzucił Marję, która miała w sobie warunki na to,. żeby być, jak biały posąg piękna niewieściego. I w tej kobiecie, która miała w sobie dwie dusze—jedną swoją, na świat przyniesioną, drugą, jaką jej dało wyrachowanie i otoczenie—utworzył się chaos, wir dobra i zła, mieszanina wrodzonych, szlachetnych instynktów i porywów, z błotem pojęć, jakich ją nauczono i z błotem uczuć, jakie w nią przeszczepiono z siebie, ze swoich przeciętnych, ogólnych, zwykłych dusz ludzi, którzy stanowią tło społeczeństwa, a których Heine trafnie scharakteryzował:

„Doch wenn wir im Kot uns fanden,
Da verstanden wir uns gleich.“

A o ten chaos, o ten wir, o tę mieszaninę zdruzgotało się jego życie...

Zacisnąwszy oczy pięściami, pochylił się nad stół, a w piersi wzbierał mu jakby ogromny płacz nad sobą, tak nieszczęśliwym, i nad Marją, tak marnowaną, tak inną, jak być mogła, nad tą dziewczyną, która mogła być jakby łaską największą i darem Bożym niezmiernym, a była — „dzieckiem pułku" takich ludzi; której przeznaczeniem było uszczęśliwienie człowieka, a której największą ambicją było być królową na balach publicznych! której celem było wybłękitnianie ludzkiej duszy, a której zajęciem była kokieterja bez braku!... I to ona, ona, jego Marja!

Nagle, otwierając szybko drzwi, wbrew zwyczajowi bez pukania, wszedł Tężel, czerwony od zimna, z miną, jaką się ma, kiedy się przynosi wiadomość pomyślną, a z której się z jakiegoś powodu nie wypada lub nie powinno cieszyć.

— Przepraszam cię, że tak wchodzę — rzekł, podając Rdzawiczowi rękę — nigdziem cię znaleźć nie mógł. Wyobraź sobie...

— Widzę, że z czemś przychodzisz — przerwał mu Rdzawicz, usiłując przybrać taki wyraz twarzy, aby nie znać na niej było wrażenia poprzednich myśli.

Tężel potrząsł głową i jakby żenując się sam przed sobą tego, co ma powiedzieć, rzekł:

— Nie wiesz, że to życie bywa dziwne... No, bo wyobraź sobie, że my, zwłaszcza ty, mamy na śmierci Drewskiego zrobić interes...

— Jakto? — spytał Rdzawicz, zdumiony.

— Tak, że Stosławski chce postawić nagrobek Drewskiemu i u nas go zamawia. Możemy zarobić, ale naprawdę jakby coś odpychało od tego zarobku. Czy nie? Choć z drugiej strony niby co? To swoją drogą, a to swoją. Kochanowski przecie po śmierci córki Treny pisał...

— Tylko za nie honorarjów nie brał. Rozumiem doskonale, co ty czujesz, ale, rzeczywiście, to swoją drogą, a to swoją.

Cóżeś ty do tego czasu robił? zdjąłeś maskę?

— Zdjąłem. Uh, jaka to nieprzyjemna robota! Już nigdybym nie chciał robić. Ale słuchaj. Stało się to tak. Kiedyś wyszedł, myśmy zostali około pani Drewskiej. Nie wiem, jak długo, może ze dwie godziny, klęczała ona przy ciele Drewskiego bez jednego ruchu, bez jednego drgnięcia. Dopiero zrozumiałem skamieniałość Nioby. Myśmy wszyscy tak stali, jakeś nas zostawił, nikt nie śmiał się ruszyć, nie śmiał drgnąć. Lekarz nie potrzebował konstatować śmierci przez badanie; widział ją przecie. Popatrzyli chwilę, popisali coś i poszli. Dopiero Misia uklękła przy pani Drewskiej i zaczęła ją po rękach całować nieśmiało, a potem rozpłakała się, schyliła i zaczęła jej nogi obejmować. Dopiero ona wtenczas poruszyła się, głowa jej opadła od jego piersi ku kolanom i wybuchnęła płaczem... Powiadam ci, co to był za płacz!... Wszyscyśmy razem płakali, Stosławski aż wyjść musiał z pokoju. Myślałem, że ona tam już życie wypłacze i koło trupa syna padnie...

Przestał na chwilę mówić, jakby mu się łzy w głos wmieszały, zapalił papierosa, pociągnął, westchnął i począł mówić dalej, ciszej, niż przedtem:

— Dopiero Misia i Przerwic odprowadzili ją z podłogi na kanapę. Trochę się uspokoiła, przestała płakać i tak znów siedziała nieruchomo, aż odezwała się, to były pierwsze jej słowa:—„Ja nie będę za co miała nawet mu krzyża postawić na tej nieświęconej ziemi...“—Taki był w jej głosie ból, iż myślałem, że nam wszystkim serca pękną. Ale Stosławski, który był znów przyszedł, pod-

chodzi do niej, klęka przy niej i powiada:—„On będzie miał krzyż, niech pani będzie spokojna...“ —Potem wstał i zaraz do mnie przyszedł i powiada pocichu: — „Panie Tężel, mnie teraz trysnęła nafta w Galicji i mam grubsze pieniądze, chciałbym, żeby ten biedny Drewski miał ładny pomnik; choć to niech ma dla syna nieszczęśliwa kobieta. Możebyście zrobili, pan albo Rdzawicz, albo obaj razem; obliczmy koszta i zaraz weźcie się panowie do dzieła“.—Odpowiedziałem mu, że tam, gdzie jesteś do wyboru ty i ja, ślepyby tylko wybrał mnie, ale że ty pewno się zgodzisz, a ja ci będę pomagał. Oddasz mu więc dług, bo wiem, że cię to wobec niego żenuje, a parę tysięcy rubli zarobisz nadto. Pomnik ma być duży i nie potrzebujesz się niczem krępować. Wszystko zależy od twojej dyspozycji.

— Trzeba będzie sprowadzić porządny marmur — rzekł Rdzawicz, w którym się odezwał artysta i którego wyobraźnia już pracowała.

— Jak skomponujesz, to pokażesz projekt Stosławskiemu.

— Cóż tu komponować? Na trumnę rzucę anioła, który skrzydłami trumnę ogarnia. Wszystko zależy od tego, jak się to zrobi.

— Żebyś był wiedział — mówił dalej Tężel — jak ta Misia chodziła koło Drewskiej! Co za delikatność w niej była, co za czułość i co za dobroć! I Stosławski jaki był dla niej! W głowę tylko zachodził, jak jej ten cios osłodzić. Kto co na Stosławskich gada—kundel jest. Słyszę to i owo i wiesz czego zrozumieć nie mogę? Oto, że ludzie rzucają przedewszystkiem na Misię dlatego, że jest dobra. Powiadają, jak może być taka kobieta dobra! Zupełnie tak, jak żeby na to, żeby być dobrym, trzeba było gdzieś brać urzędowy pa-

tent. Misia jest dobra, raz dlatego, że się urodziła dobrą, a potem, że żyje z człowiekiem o takiem sercu, jak Stosławski, a z kim się kto wdaje, takim się staje. Ale ludzi kłuje to w oczy, że Stosławscy sterczą im pod włos i nie dbają o nich, a kamieniem na nich rzucić nie można, bo oprócz tego, że żyją bez ślubu, niema za co, a zato usypali już na nich kopiec i więcej się nie zmieści. Ja ich tam za wzór nikomu nie stawiam, nawet powiem z mojego chłopskiego punktu widzenia, że źle robią, nie żeniąc się, kiedy się kochają, jak Pan Bóg przykazał, ale to też powiem, że wolę dobre serce bez zasad, niż gałgana z zasadami.

— Zasady, zasady — bąknął Rdzawicz, jakby sam do siebie.

— A bo pewnie. Starsza jest ludzka dobroć, niż reguły moralne, nie wiem, jak ty na to patrzysz: ja ci mówię, że oni nie powinni tak żyć i że to jest grzech i obraza Boska, ale przecie wolę ich takich, że robią dobrze, niż, żeby wzięli ślub w samym Rzymie a mieli w piersiach kamień dla ludzkiej niedoli. Czy nie?

— Tak, ale są znowu tacy, którym się zdaje, i zupełnie nawet szczerze, że gorzej tak żyć, jak oni żyją, niż grosza nikomu nigdy nie dać. Ludzie mają swoje pojęcie moralności, swoją etykę — rzekł Rdzawicz.

— Pojęcie moralności, etykę — powtórzył Tężel. — Etyka, to jest wielkie słowo, ale widać, można być czasem „niemoralnym“ a dobrym i...

— Ale także — przerwał mu Rdzawicz — można być kpem, który tego nie rozumie, bo nic nie rozumie, ale można nie rozumieć dlatego, że coś wychodzi poza zakres rozciągłości naszej kombinacji myślowej, co się zdarza ludziom naj-

inteligentniejszym, albo wreszcie nie chcieć zrozumieć dla interesu swoich zasad, co jest najpospolitsze.

— Ej, co tam Stosławski o to dba! — rzekł Tężel. — Mógłby się w sodowej wodzie myć albo w gieshüblerze, jakby chciał. Dwom rodzajom ludzi wszystko wolno na świecie; tym, którzy są tak biedni, że się na nich nie patrzy, i tym, którzy są tak bogaci, że sami nie patrzą. Żeby go kto jednak przecie namówił do wesela, toby było dobrze. U nas, na wsi, toby ich tak nie ścierpieli.

Rdzawicz zamyślał się chwilę, a potem spytał:

— Drewski się prędko zmieniał po śmierci?

— O prędko — odparł Tężel. — Wszystko jakby się w nim zapadło. Widać, że on już tak na życiu wisiał, jak gwóźdź na nici, i sądzę, że tam trucizna nie miała wiele ambarasu.

— A został mu ten wyraz spokojnej apatji na twarzy?

— Został.

Rdzawicz się znowu zamyślił, Tężel zaś mówił:

— Ten to już rzeczywiście tyle sobie ze śmierci robił, co ślepy z lampy. Tak poszedł do trumny, jak do łóżka po przepiciu.

— Straszliwa odwaga—szepnął półgłosem Rdzawicz.

— Odwaga? — powtórzył Tężel — albo straszliwe tchórzostwo. Zresztą, mój Romku, cóż za sztuka nie bać się, jeżeli się kto nie boi i to jeszcze tak, jak on? Co mnie rzeczywiście dziwi, to odwaga jego czynu wobec matki, to to, że mu nie przyszło na myśl, że ona wolałaby nietylko na koźle u pani Schwalbe jeździć, ale nawet koła u tego powozu myć, a wreszcie pod kościół iść żebrać, niż przychodzić do spokojnego bytu, dzięki samobójstwu syna, który ją polecił opiece do-

brych ludzi. Naprzód mógł to był uczynić równie dobrze, nie zabijając się. Nie potrzebował się wstydzić, bo ona mogła w odpowiedni sposób pracować. Jak Boga kocham, on tam już na Boskim sądzie,- ale żeby zmartwychwstał, tobym mu kazał przedewszystkiem pięćdziesiąt batów dać.

Rdzawicz uśmiechnął się lekko:

— Strasznie poprostu ludzi bierzesz — rzekł.

— A, bo prawda! Może go mam analizować?— odparł Tężel, zirytowany.—Próżniak był i lampart, przejadł się życiem, zatarł w sobie wiarę...

— Nie zaimponował ci tym spokojem wobec śmierci?—przerwał mu Rdzawicz.

— Tfy!—fuknął Tężel.—Ty też masz źle w głowie. Pewnie, że na razie mnie wzruszył, jak każda śmierć. Ale cóż za sztuka wejść do piwnicy bez paltota, jak o zimno nie dbasz? Jeżeli kto ma taki zanik, jak to mówią w medycynie, strachu przed śmiercią i taki zanik serca wobec rodzonej matki, jak Drewski, to go mam, światłość wiekuista niechaj mu świeci po wieki wieków Panie, mi odpuść, pół za warjata, a pół za godnego potępienia samoluba, wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie, *de mortuis nil nisi bene...*

Tężel urwał i obejrzał się nieco niespokojnie koło siebie... Rdzawicz zaś rysował w milczeniu kredką na kawałku papieru trumny, a na nich siedzące skrzydlate anioły.

— Ty się nie bardzo godzisz na to, co ja mówię—ozwał się Tężel po chwili.

— Bo ty bierzesz człowieka tak, jak żeby to były, ot naprzykład, te dwie zapałki nakrzyż złożone, tymczasem każdy człowiek jest, jak morze, po którem pływają okręty. Widzisz fale, które je kołyszą, możesz widzieć burzę, która je zatopi, ale dlaczego na morzu jest taki albo inny ruch,

tego nie wiesz i ostatecznie wiesz wprawdzie, dlaczego się okręt kołysał lub utonął, ale skąd się to wzięło, nie wiesz.

— Bo wiatr wiał taki albo inny.

— A skąd się wzięła zmiana wiatru?

— Wskutek przyczyn atmosferycznych.

— A te przyczyny?

— Znowu z jakichś przyczyn.

— A te?

— Także miały swoje—rzekł Tężel, czując, że traci grunt pod nogami.

— I tak dalej, i tak dalej, i wkońcu wiesz, skąd się wszystko wzięło?

— Ja wiem—odparł żywo Tężel, czując, że wybrnie. — Z Boga.

Rdzawicz popatrzył na niego, potem wziął kawałek listowego papieru z pudełka i zmaczawszy pióro, oparł głowę na ręku. Tężel zaś rzekł półgłosem raczej, jakby sam do siebie:—„Jeżeli się stąd wyjdzie, skąd ja wychodzę, to człowiek jest taki prosty, jak dwie zapałki nakrzyż złożone“—na co Rdzawicz, prykładając pióro do papieru i poczynając pisać, odparł mu również półgłosem:—A ja ci powiadam, że skądkolwiek się wyjdzie, to jest taki, jak morze.

— A Konarzewski też? — mruknął Tężel nieśmiało, ale rad, że mu to przyszło na myśl.

Poczem siedzieli dłuższy czas w milczeniu, aż Rdzawicz, skończywszy list, rzekł:

— Napisałem do Łanowskiego do Florencji. On jest młodszy, ale on się na tem zna i dobrze wybierze i kupi, a przytem zaraz wyekspedjuje. A życie, bądź co bądź, jest wstrętne. Bo nam teraz nic innego nie wypada, tylko cieszyć się ze śmierci Drewskiego i rozpaczy jego matki, która wzruszyła Stosławskiego, jesteśmy bowiem obaj

goli, jak święci tureccy, a tu nam nagle pieniądze kapią do kieszeni. Plunąć tylko na to wszystko i odwrócić się.

— Niema nic złego, coby na dobre nie wyszło— zauważył, nie zastanawiając się nad tem, co mówi, Tężel. Rdzawicz uśmiechnął się i prawie mimowoli popatrzył nań z miną człowieka inteligentniejszego, który w danym momencie niższość cudzej inteligencji uczuł, i rzekł z nieco humorystycznym, lekkim odcieniem ironji w głosie:

— Śliczne przysłowie, tylkoś go może cokolwiek *mal à propos* użył. — Na to Tężel mocno się zmieszał, zaczerwienił i chcąc od siebie odwrócić uwagę, nadstąwił uszu i powiedział:

— Słyszysz? Coś skomli na dworze. Już trzeci raz słyszę, że skomli.

— Istotnie — powiedział Rdzawicz, nadsłuchując. — Widziałem tu jakiegoś psa pod murem, jakem wracał, może to ten. Trzeba wyjrzeć.

Otwarł okno i wyjrzał. Mieszkał na niskiem, pierwszem piętrze, więc słyszeć mógł wyraźnie, co się na ulicy dzieje. Pod domem zobaczył człowieka, który kopaniem nogi usiłował zepchnąć, nie mogącego się podnieść psa, z trotuaru na ulicę.

— Co wy tam robicie? — krzyknął Rdzawicz.

— Ja jestem stróż nocny, sprzątam psa — odpowiedział mu ochrypły, gruby, barbarzyński głos zdołu.

— Dajcież mu pokój, widzicie, że zdycha.

— To moje prawo sprzątnąć go. Co tu ma pod ścianą walać!

— Mówię wam, dajcie mu pokój! — krzyknął Rdzawicz porywczo, usłyszawszy, jak pies zaskomlał zamierającym głosem po nowem uderzeniu nogą.

— A pan co tu ma do rozkazywania?! — od-

krzyknął mu stróż zdołu. Patrzcie, jaki mi opiekun! Nie takich my tu widzieli!—I znów psa kopnął.

Rdzawiczowi krew uderzyła do głowy. Chwycił bokser ze stołu i poskoczył ku drzwiom, ale zawrócił się, mówiąc:—„To będzie prędzej" — porwał prześcieradło z łóżka i podawszy jeden koniec Tężlowi, krzyknął:—„Trzymaj to!" — poczem drugi wyrzucił przez okno. Tężel, nie zastanawiając się, posłuszny rozkazowi, ścisnął w swoich stalowych łapach róg płótna, a Rdzawicz skoczył na okno i po zwisającem wzdłuż muru prześcieradle, z błyskawiczną szybkością zsunął się nadół. Zawisł trochę nad ziemią, ale skoczył. Stróż oniemiał, cofnął się i zdjął czapkę. Tymczasem Tężel umocował, jak móg, najszybciej, prześcieradło u futryny, pociągnął, popróbował i siadł na oknie.

Rdzawicz zbliżył się ku stróżowi.

— Spróbuj, pan, tylko!—krzyknął stróż, wdziewając czapkę i odwijając rękę naodlew. Ale w tej chwili Tężel pociągnął jeszcze raz prześcieradło, popróbował, przełożył nogi ku ulicy i począł się zsuwać. W pół drogi węzeł się odwiązał czy pękł i Tężel gruchnął wraz z prześcieradłem na trotuar, szczęśliwie jednak w kupę śniegu. Podniósł się, strzepnął ręce i mówiąc:—„Czekajże, psiawiaro, zobacz, jak to boli"—zbliżył się do stróża, ścisnął mu rękę, którą ten nóż wydobył z kieszeni, dał pięścią w łeb, aż zahuczało i w śnieg go cisnął.

Stróż, nie klnąc nawet, oddalił się szybko.

— Cóż teraz zrobimy? — spytał Tężel.

— Weźmy tego psa na prześcieradło i zanieśmy do mnie. Zadzwoń. Niech przynajmniej zdechnie w cieple.

Ostrożnie wsunęli pobitego psa na przeście-

radło i ku niezmiernemu zdumieniu stróżki, wnieśli go do mieszkania.

— Słuchaj, najlepiej go było zastrzelić, niech się nie męczy — rzekł Rdzawicz.

— Tak, ale zrobi się huk, ludzie się pobudzą.

— Eh, nie, mój rewolwer cicho strzela, zresztą, tu naokoło pusto. A gdyby kto i usłyszał, to nawet z policji mi nic nie powiedzą, bo ja z naszym rewirowym jestem w przyjaźni. Wyrysowałem mu z fotografji portrecik dziecka, które niedawno umarło.

Wyjął rewolwer z szuflady, odciągnął kurek i wymierzył w głowę psa, ale po chwili spuścił rękę i rzekł drżącym głosem:

— Wiesz, nie mogę, może ty...

Tężel wziął od Rdzawicza rewolwer, wymierzył również, ale również spuścił rękę i także rzekł:

— Nie mogę...

A Rdzawicz, zasłaniając oczy, zawołał:

— Patrz, jak on patrzy na nas błagalnie! Zrozumiał, że go chcemy zabić... I to stworzenie, to biedne, bezdomne, kopane po ulicach stworzenie, nie chce umrzeć, chce żyć!...

— Słuchaj, możeby on się odżywił jeszcze — rzekł Tężel, również drżącym ze wzruszenia głosem. — Daj mu co.

— Cóż ja mam? Może tam się jaki serdelek zawieruszył w szafie, bo tu czasem dzieci stróżki przychodzą do mnie na jedzenie. Jest?

— Jest.

— Dajże mu; je? Bo ja patrzeć na niego nie mogę.

— Nie chce jeść, nie może. Ani pić nie może. On zaraz zdechnie.

— I chce żyć! I chce żyć, choćby sekundę

jeszcze chce żyć! Tak, jak ludzie najnieszczęśliwsi! A czemże jest to życie ludzkie? Ja go dziś kawał widziałem.

W pamięci jego przesunęło się szybko ciche szczęście Przerwiców, śmierć Drewskiego, rozpacz jego matki, której życie, dzięki śmierci syna, miało się zmienić materjalnie na lepsze, scena w restauracji, figury kapitana, łysego mężczyzny, zwanego Piętaszkiem, i Borzewskiego, jego własne myśli i uczucia, wstrętny, dziki i barbarzyński stróż nocny — i wszystko razem, wraz z cichem, żałosnem skomleniem psa, zmieszało mu się w taki rozpaczliwy chaos i zamęt, że zakrył oczy pięściami i padł twarzą na poduszkę, wołając:

— Życie! życie! życie!...

ROZDZIAŁ IV.

Do pracowni Rdzawicza wpadło zimowe, południowe słońce, bardzo jasne i choć od północnej strony, bardzo promienne. Jasność jakaś, jakby wykrysztalona i złocista, lała się przez szklisty blask szyb wewnątrz pracowni, czyniąc w niej wielkie światło. Przez okna widać było ogród, rodzaj parku. Kasztany, lipy i klony błyszczały w słońcu zlodniałym śniegiem i szronem, który je pokrywał i jakby wycinały się ostrym konturem na czystem, błękitnem, świetnem tle nieba, na którem płonęło ogromne, jaskrawe, płomienne słońce.

Wśród drzew była cisza. Złote, słoneczne milczenie iskrzącego na ziemi śniegu i iskrzącego pośród drzew powietrza rozwiało się po parku, jak szeroki ton, dzwoniącego o srebrne sztaby, kryształu. Pod błękit ciszy widnokręgu nieba szło zadumanie się niezmierne ziemi sennej. Drzewa, rzucone na przestrzenie śniegowe, stały nieruchome, wysokie, zaciśnięte, olśnione i lśniące. Niebieski mróz pełzał w cieniu po śniegach i roztapiał się w złote światła wśród widma. Wszystko miało w sobie metal i jakby dźwięk metalu.

Nad drzewami, woddali i w górze, widniała na szafirowym w tej stronie błękicie, podobnym do ściętego w twardą taflę morza, czerwona wieża

kościelna z iskrzącym, wysrebrzonym, stożkowatym dachem, na którym stał krzyż, jakby w czarnym diamencie rznięty. Wieża tonęła w ukośnem ku tej stronie świetle niebieskiem, wydającem się jakby metalicznem powietrzem, przestrzenią z rozwianego metalu, który niewidoczny, jak woń, świecił, jak ona pachnie.

Spokój rozpostarł się nad parkiem i błękitna, słoneczna senność ogarnęła ziemię. Było cicho.

Był to poniedziałek. W salonie zachęty sztuk pięknych otwarto wczoraj, w niedzielę, specjalną wystawę prac Rdzawicza. Stanowił ją obraz „Wampir“ i gipsowa grupa półnaturalnej wielkości „Miłosny uścisk centaurów“.

Przez cały wczorajszy dzień i dziś od rana Rdzawicz nie wychodził z domu; nawet, chcąc przejść ze swego mieszkania na pierwszem piętrze do pracowni nadole, nadsłuchiwał przy uchylonych drzwiach, aby kogo nie spotkać. Kiedy rzeczy swoje ekspedjował do salonu, zdawało mu się, że wysyła tam, jeśli nie arcydzieła, to przynajmniej coś bliskiego arcydzieł; potem zaś opanowało go do tych rzeczy takie zniechęcenie, że już Tężel musiał go zastąpić we wszelkich układach z zarządem wystawy, ponieważ sam tam nie chciał się pokazać. Napróżno Tężel tłumaczył mu, że komitet zachęty „otworzył gębę, jak wrota“ i że poważna pani bileterka „tak podskoczyła z zachwytu, aż się uderzyła piętami“, i że on, Tężel, „mops jest arogancki“ i „wyżeł nieokrzesany“, jeżeli to wszystko nie jest prawdą; Rdzawicz uśmiechnął się z zadowolenia, usiłując się nie uśmiechać i „miał tremę“.

— Żebym jedno takie zrobił, jak Boga kocham, dziurębym w parasolu nosem wybił, a on ma tre-

mę! — oburzał się Tężel, ale Rdzawicz był ciągle jednakowo zdenerwowany i niespokojny.

Od powrotu swego z zagranicy, Rdzawicz żył prawie, jak pustelnik. Nie bywał nigdzie, nawet u Przerwiców, od owego razu w dniu śmierci Drewskiego, nie był wcale. Kolegów, między którymi a sobą czuł całą przepaść, unikał starannie. Zamknięty u siebie, całemi dniami pracował gorączkowo przy pomocy Tężla, starego „finitora“ Czempińskiego i kilku ludzi. Od swego przyjazdu do Warszawy do końca lutego wymalował „Wampira“, wykończył, prawie już zresztą gotowe, z przed wyjazdu za granicę, „Centaury“ i wykuł nagrobek dla Drewskiego. Zajętemu tak, czas schodził niepostrzeżenie; zresztą, Rdzawicz przekonał się, że jedynem lekarstwem na jego chorobę jest gorączkowa, gwałtowna praca, która całego człowieka pochłania i męczy go fizycznie tak, że na chęć, zwykłą u podobnych ludzi, jak on, moralnego męczenia się sił już poprostu niema.

Z kwadrans może Rdzawicz chodził coraz prędzej po pracowni, z rękoma w kieszeniach i cygarem ledwo tlącem się w ustach; Tężel tymczasem lepił z wosku małego djabełka w kropielnicy. Nagle Rdzawicz wyjął z ust cygaro i przyciszonym głosem zapytał:

— Tężel, słuchaj... byłeś ty wczoraj na wystawie?

— Byłem, właśnie chciałem ci opowiedzieć, co gadali, ale latasz, jak warjat, i nie wiem czy mam do ciebie gadać, czy nie? Jak Boga kócham, czasem wolałbym, żebyś byl mniejszy, bobym ci powiedział poprostu:—Słuchaj, psiakrew, kiedy do ciebie mówię!—ale jakże tu z takim grubym panem, jak ty?! Ty nawet nie wiesz, jakiś ty gruby pan!... Siedziałem wczoraj od otwarcia wystawy

aż do drugiej, potem mi się jeść zachciało; zmęczyłem się od nadsłuchiwania tej hołoty, jak pudel w tańcu.

— Ale nie o to mi idzie... Widziałeś tam kogo znajomego?... Co?...

— A jakże, całą kupę. Niektórzy się tak unosili...

— Ale niech ich tam djabli porwą z ich unoszeniem!

— Więc czegóż chcesz?

Rdzawicz stanął przed Tężlem, popatrzał nań i z widocznym wysiłkiem, wstrzymując oczy od odwrócenia się wbok lub zwrócenia ku podłodze, zapytał:

— Marja była?

Tężel zaczerwienił się, jak burak, zmieszał i odpowiedział, wpatrując się pilnie w swego djabełka, którego na nowo począł lepić:

— Była.

— I cóż? Widziała cię?

— Widziała.

— Kłaniałeś się jej?

— Kłaniałem.

— I... i cóż? Odkłoniła ci się?

— Odkłoniła.

— Jak?

— Tak, jakby dobrze nie wiedziała, kto jestem, czy mię zna, czy nie zna? Popatrzała na mnie chwilę bez żadnego wyrazu, jak na mur, i kiwnęła mi głową, jakby jej mucha z jednej strony kapelusza siadła.

— Przypatrywała się moim robotom?

— Przypatrywała.

— Z zajęciem? Uważałeś?

— Naumyślnie stanąłem niedaleko. Na rzeźbę patrzała, ale obrazowi przypatrywała się długo.

— I cóż?...

— A cóż ja wiem? Była z panią Porzelską i z jakąś panną, dosyć szczupłą i wysoką.

— Jak była ubrana?

— Miała ciemnogranatowe futerko do figury, obramowane czarnym barankiem, i szapeczkę z jakiegoś czegoś świecącego, także czarnego z białym woalem.

— A suknię?

— Nie widziałem.

Rdzawicz zmarszczył się niecierpliwie.

— Był kto z nią?

— Z początku te panie były same. Potem przyszli ich znajomi.

— Kto?

— Nie znam. Naprzód przyszedł jakiś brunecik z taką pinczerkowatą twarzą, pieknie wygolony. Gadał jej coś, ale ledwo się uśmiechała. Potem jakiś łysy jegomość, w ogromnie wysokim kołnierzu, z baczkami, w monoklu. Jego słyszałem, jak mówił do niej:—„*Ma foi*, ten pani...“——Tężel urwał i widocznie przekręcając usłyszane słowa, dokończył—„...ten pan Rdzawicz, to utalentowana sztuka. Może kupię tego „Wampira“. To wcale niezła rzecz...“—Nie skończył, tylko kiwnął trochę brodą ku twojej nagiej kobiecie i spojrzał na Marję, a ona zaczęła się śmiać i odwróciła się, trochę czerwona.

Rdzawicz tupnął nogą i jakaś niewyraźna klątwa wybiegła mu przez zaciśnięte zęby.

— Może nie chcesz, żebym mówił? Pocóż się pytasz—rzekł Tężel, spoglądając pytająco na Rdzawicza.

— Owszem, mów!

— Jak powiedział o tobie, żeś ty „utalentowana sztuka“ i że twój „Wampir“, to „wcale niezła rzecz“, myślałem, że go trzasnę. Taki ratler pod-

cięty, taki mops wygolony będzie o tobie mówił, żeś ty utalentowana sztuka!

— Słuchaj, tyś nie powiedział wszystkiego. Jak on się o mnie wyraził?

— Jakto, jak on się wyraził? No, tak, jak ci mówię.

— Jak?

— Pan Rdzawicz.

— Kłamiesz, Tężel. Proszę cię, powiedz mi, jak on mię nazwał?

Pod bystrem i rozkazującem zpojrzeniem Rdzawicza uczciwy i prawdomówny Tężel zmieszał się i nie znajdując wykrętu, rzekł, marszcząc brwi:

— Powiedział o tobie:—„Adorator w odstawce...“

Rdzawiczowi zadrgały usta i poczerwieniał. Stał nad Tężlem i wpijał w niego swoje stalowe oczy ze zbiegającemi się łukiem brwiami, kiedy je ściągnął z jakimś w tej chwili wyrazem drapieżnego ptaka. Tężel miał minę, jakby zbrodnię popełnił.

— Pocóżeś mi kazał mówić?—bąknął.

Ale Rdzawicz po chwili, jakby z przygłuchłym z wewnętrznego bólu i gniewu głosem, zapytał:

— Był kto jeszcze?

— Przyszedł jeszcze jakiś bardzo piękny i bardzo ładnie ubrany blondyn z dużemi wąsami...

— To Borzewski...—szepnął Rdzawicz. — Nie mów mi już nic więcej...

Poczem odwrócił się od Tężla, podszedł do okna i oparł czoło o szybę. Stał długo bez słowa. Tężel zaś bez myśli pogniótł swego woskowego djabełka w kropielnicy i począł go lepić na nowo, równie bezmyślnie. Po chwili Rdzawicz zapytał krótko:

— Jak wygląda Marja?

Tężel milczał chwilę, jakby nie wiedząc czy

lepiej powiedzieć, czy nie powiedzieć i rzekł wreszcie:

— Ano, cóż, ślicznie.

Rdzawicz jeszcze silniej przycisnął czoło do szyby i podniósł ku niemu obie dłonie, tak, że twarz zasłonił. Był tak nieruchomy, jak pani Drewska przy ciele syna.

— Czy można? — zapytał nagle miły kobiety głos przez uchylone drzwi.

— Pani Przerwicowa—szepnął Tężel, zrywając się z paki, na której siedział.

— Można?—powtórzyła pani Laura.

— Proszę, proszę—odparł Rdzawicz, usiłując pokryć wyraz swej twarzy uprzejmym śmiechem.

— Korzystamy z pańskiego zaproszenia, choć nie zaraz—mówiła pani Laura, wchodząc pod rękę z mężem, różowa od zimna i uśmiechnięta.—Pozwoliłam sobie wziąć także Biszę.

— Bardzo się cieszę. Proszę, niech panie usiądą.

— Dobrze, zaraz. Musimy panu przedewszystkiem powinszować! Cudowna jest pańska wystawa!

— Przepyszna. Znany pan był dotąd, ale od wczoraj jest pan sławny. Wszyscy mówią o panu. Ma pan całą Warszawę otwartą—dodała z uprzejmym uśmiechem pani Bisza.

— Wiesz, że te rzeczy jeszcze lepiej wyglądają na wystawie, niż tu wyglądały, w pracowni—ozwał się Przerwic, podchodząc ku jednemu z obrazów.

— Tak, jak twój dramat lepiej wyszedł na scenie, niż w czytaniu. Zresztą, kiedyżeś ty u mnie był? Z miesiąc temu.

— Ale cóż to panu jest? Jakby pan był czegoś niekontent?—spytała pani Laura.

— Przeciwnie, pani, bardzo jestem kontent. Jakże mógłbym być niekontent, kiedy się moje

rzeczy podobają. Każdy artysta jest kontent, kiedy go chwalą, prawda, Jerzy?

Przerwic, który domyślał się bardzo dobrze, co się w duszy Rdzawicza dzieje, nic nie odpowiedział; zbliżył się tylko do nagrobka Drewskiego, stojącego pod ścianą, i rzekł:

— Wiesz, że to jest coraz bajeczniejsze. I strach, jakeś prędko zrobił.

— To już prawie skończone, koło figury już mało co do roboty. Zresztą, przecież pomagał mi Tężel, Czempiński i jeszcze trzech rzeźbiarzy. Inaczej nie bylibyśmy nigdy tak prędko gotowi.

Pani Laura i pani Bisza wstały z podanych sobie krzeseł i podeszły ku nagrobkowi.

— Okropnie tego byłam ciekawa, ale bałam się panu przeszkodzić — rzekła pani Laura.

Nagrobek Drewskiego, kuty w marmurze, Rdzawicz tak skomponował: na trumnie, bliżej stóp nieboszczyka, siedział ze schylonemi ku ziemi kolanami, złożonemi i również spuszczonemi rękoma, w trzech czwartych naturalnej wielkości, anioł w powłóczystej draperji, o olbrzymich, rozpiętych skrzydłach, któremi jakby nakrywał i osłaniał całą trumnę od końca do końca. Głowę miał zniżoną cokolwiek ku piersi, powieki przymknięte i w twarzy wyraz nietyle smutku, ile głębokiej, niezmiernej, nieskończonej i nieskończenie milczącej zadumy.

— Wiesz, żeś jeszcze nic takiego nie zrobił — rzekł Przerwic.

— Cudowne, cudowne! — szeptały obie panie.

Tężel miał promienistą minę, która mówiła: — „Patrzcie! to on! to Roman Rdzawicz!...“

— To jest anioł śmierci — rzekła pani Bisza.

— Nie, pani, to jest anioł tych, którzy umarli — odparł Rdzawicz.

— A co to jest?—spytała pani Laura, wskazując palcem dużą bryłę białego marmuru, w której można się było domyśleć siedzącej postaci, w ten sposób, że prawa noga opierała się na lewem kolanie.

— To jeszcze nic nie jest, to dopiero będzie „Trucicielka".

— Jakto „Trucicielka"?

— Ja mam zwyczaj wszystkie swoje kompozycje naprzód szkicować kredką na kartonach, więc, jeżeli panie ciekawe — to proszę.

To mówiąc, odwrócił stojący tyłem do widzów na sztalugach wielki karton na blejtramie.

Rysunek przedstawiał młodą kobietę, z rozpuszczonemi długiemi włosami, której draperja okrywała tylko nogi i zsuwała się z lewego biodra. Kobieta ta siedziała na omszonym głazie, około którego rosły paprocie i na który wspinał się młody powój; z prawą nogą, opartą w przegubie kostki na lewem kolanie, trzymając w lewej ręce czarkę, a prawą wyciskając w nią sok z wilczych jagód. Pochyloną miała nieco głowę nad tą robotą, ale twarzy obejrzeć nie było można, gdyż widocznie namalowana pierwotnie, zamazaną była kilku gwałtownemi pociągnięciami niebieską farbą.

— A cóż tam masz?—spytał Przerwic, podchodząc ku sporemu płótnu, naciągniętemu na blejtram, również grzbietem do widza.

— To? Mogę ci pokazać, ale ledwo naszkicowałem. Zdaje mi się, że to będzie mój najlepszy obraz.

Obrócił płótno, trzymając rękę na ramie; pani Laura, spojrzawszy, krzyknęła —„ach!"—jak przestraszone dziecko.

Obraz przedstawiał pokój, oświetlony ogromnym kandelabrem z mnóstwem świec, których blask

odbijał się i dwoił w dużem zwierciadle na ścianie. Prawie w środku pokoju, pod ciemnoamarantowem, o brudno żółtych koronkach, *ciel de lit,* wśród szeroko rozwiniętych kotar, stało łóżko, narysowane w skróceniu, a światło świec padało nań, jasne i wielkie. Obok łóżka, człowiek w szarym płaszczu prawie padał wtył i razem na kolana, wyrywając się równocześnie piersią naprzód, jakby chciał za kimś lecieć, z rękami, załamanemi na czole i oczach, rozchylonemi wargami i zaciśniętemi, jakby w straszliwym bólu, zębami; poprostu widać było, że się wali z szalonej rozpaczy. Łóżko wraz z tym człowiekiem było ku prawej stronie od widza, na lewo zaś od tej strony, ku której padający zwrócony był przodem, mając wzdłuż siebie łóżko i poza sobą poduszki, ściana jakby rozwiała się i w niezmierną, otwartą przestrzeń, w jakąś bladoróżaną o złotem odcieniu otchłań, odchodziła kobieta w białej sukni ślubnej z welonem i kameljami we włosach, zupełnie plastyczna, a równocześnie, jakby wtapiająca się w tę bladoróżaną, o złotym odcieniu, rozwiej.

W ruchu tej kobiety—która mogla iść w nieskończoność, wiecznie taka rzeczywista i niknąca, taka kobieta-widmo i wiecznie w tej nieskończoności widzialna:—była zupełna obojętność i zupełny spokój... Odchodziła w swej ślubnej sukni, z welonem i kameljami we włosach, jak cień lub jakby od rzeczy nieżywej... Tymczasem w tym człowieku—który i lecieć chciał za nią, i na kolana padał, jakby chciał za nią krzyczeć i wtył się walił—była, przechodząca wszelką moc ludzką, boleść, gruz rozpaczy, druzgotanie i zgruchotanie wszystkiego, co ludzkie... Na łóżku zaś, poza nim, wśród otwartych kotar i jasnym blasku świec, głową na poduszce, leżał, udrapowany w ślubny welon, szkielet kobiecy,

z szyderczym wyrazem kościanych szczęk i ciemnych oczodołów. Jedną rękę miał kokieteryjnie podłożoną pod twarz, drugą—rzuconą na kołdrę; nogi ginęły w cieniu.

Wrażenie było tak silne i tak niespodziewane, że Przerwicowie i pani Bisza stali bez słowa; Rdzawicz, z ręką opartą na ramie płótna, mając w swoich stalowych oczach coś orlego, podobny był w tej chwili do muzyka, który wsłuchuje się w ostatni ton swej symfonji, gdy słuchacze, oniemieli z podziwu, ust jeszcze otworzyć do krzyku ani rąk złożyć do brawa nie mogą i nie śmieją.

— Cudowne — szepnęła nakoniec pani Bisza.

— Straszne—powtórzyła również szeptem pani Laura.

Przerwic milczał, a Tężel, promienisty, jak Apollo delficki, wodził kolejno oczyma po twarzach obecnych z miną triumfującego Cezara.

— Ten obraz ma tytuł „Opuszczenie“ — rzekł Rdzawicz.—Czy on się tłumaczy? Boję się, że jest zanadto literacki? Czy nie?

— Co gadasz?! — krzyknął Tężel, zaperzony.— Tłumaczy się, jak wół!

— Więc, jak pani sobie to tłumaczy, pani Loro? — spytał Rdzawicz.

— Że ta kobieta opuściła człowieka, który ją kochał do szaleństwa, a zamiast niej, pozostała mu... nie umiem tego nazwać, może symbol opuszczenia przez nią?...

— Tak, tak — rzekł Rdzawicz nerwowo — szyderczy symbol niezajętego miejsca, pustki, zniweczonej nadziei i zmiażdżonego pragnienia, straszliwa ironja tego, co ma, zamiast tego, co mieć miał i w co wierzył, że mieć będzie; wyraz tego, co on czuć będzie. Rozumie pani wybornie, zresztą, więcej w to włożyć chciałem, niż jest

w naszym języku słów i sposobów wyrażenia uczucia. Możeby mi to Chopin wygrał. Cóż ty, Jerzy, mówisz na to?

— To, co ty sam wiesz — niech cię piorun trzaśnie! Oh! Przepraszam was, moje drogie! To jest zupełnie genjalnie malowane.

— Ach, tak! — zawołała pani Bisza. — Zupełnie genjalnie! Nieprawdaż, Loro?

Pani Laura skinęła potakująco głową, nie odrywając oczu od płótna, Rdzawicz zaś spojrzał na panią Biszę, uśmiechnął się i rzekł zwykłym, spokojnym głosem:

— Jaką pani ma pełną iskier twarz.

Pani Bisza roześmiała się, zarumieniła trochę i schyliła nieco głowę o ogromnej, światłej i napiętrzonej czuprynie, Przerwicowa zaś rzekła:

— Niech ją pan wymaluje.

— Nie umiem malować portretów, a w rzeźbie te iskry nie wyszłyby — odparł Rdzawicz z uśmiechem.

— A tu szkic do „Wampira“?

— Tak, pani.

Szkic ten przedstawiał krajobraz jesienny. Była żółtawa, zawiędła łąka i blisko za nią drzewa o ciemnych liściach. Słońce zniżało się bowiem i ostatnie wielkie, złotawe smugi i plamy płomienistego ponsu świeciły na niezmiernie czystem i błękitnem niebie. Na łące leżał mężczyzna w szarym płaszczu, podobnie, jak na poprzednim obrazie; widać było tylko czoło i oczy, resztę twarzy zasłaniała noga kobieca, klęcząca przy nim i zwrócona w szalenie zuchwałym ruchu i śmiałem zwróceniu bokiem do publiczności. Kobieta ta miała bujne ciemnoblond włosy. Po przymkniętych oczach mężczyzny poznać można było, że śpi, a po fałdach czoła, ruchu figury i skurczu palców, że

we śnie straszliwie cierpi. Kobieta bowiem klęczała przy nim, wpijała mu się ustami i zębami w gardło i wysysała zeń krew, której krople ciekły na trawę z pod jej piersi. Wśród pierwszoplanowych drzew, wśród niebieskawych o zachodzie pniów brzozowych, w czarnej draperji, ze stalowym sierpem w ręku, ukazywała się trupia głowa śmierci z wyrazem zimnym i obojętnym. Cały nastrój obrazu miał w sobie coś niesłychanie smutnego i przygnębiającego.

— Ten szkic jest prawie skończonym obrazem — rzekł Przerwic.

— A, bo ja pierwotnie ten miałem wystawić. Dopiero później namalowałem tamten, prawie dwa razy większy.

Pani Laura wodziła oczyma po obrazach i zauważyła, że miedzy temi dwiema kobietami i „Trucicielką“ jest coś pokrewnego.

— Bo to jest ta sama kobieta — odparł Rdzawicz. — Ta sama modelka — dodał, jakby poprawiając się.

Pani Bisza uśmiechnęła się.

— Ona jest bardzo ładna, ta dziewczyna.

— O, tak, bardzo ładna! ta dziewczyna jest ładniejsza, niż pani myśli — odparł Rdzawicz, wymawiając z naciskiem słowo „dziewczyna“. — Zresztą, do figury pozuje mi kto inny.

— Jakto kto inny?

— Bo, widzi pani, w „Opuszczeniu“ nie widać wcale, a w „Wampirze“ prawie wcale twarzy kobiety, raczej z za włosów widać jej tak mało, że wszystko jedno, jaka jest twarz; w „Trucicielce“ zaś jeszcze nie robię głowy.

— Więc to nie ta sama będzie panu pozowała do głowy?

— Nie.

— A skądże pan model weźmie?

Rdzawicz spojrzał ze smutkiem zdziwienia na panią Biszę, a potem rzekł:

— Nie mam jeszcze modelki do głowy.

I jakby mimowoli, oczy padły mu na nieduże płótno, odwrócone ku ścianie, Tężel zaś rzucił na panią Biszę zboku pełne niezadowolenia spojrzenie.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Był to posłaniec z ogromnym bukietem w ręku i listem.

— Co to jest? — spytał Rdzawicz.

— Tu mi kazali oddać do pana Rdzawicza.

— Tak, to ja. Kto wam dał to?

— Czyjś lokaj.

— Przeczytajże pan list — wtrąciła pani Laura, niezmiernie ciekawa, co w nim jest i skąd bukiet?

— To zaproszenie na ten dzisiejszy raut na dobroczynność.

— Zaczynasz pan być modnym.

— A te kwiaty?

— O kwiatach nic niema w liście.

— No, ale ponieważ razem przysłane, więc naturalnie—z tego samego źródła. Pójdzie pan?

— Nie.

— Szkoda, będą deklamowali wiersze Jerzego. Chciałabym, aby pan je słyszał — rzekła, zasępiając się, pani Laura.

— Widzi pani... — odparł Rdzawicz. — Ja nigdzie nie bywam, niech mi pani wybaczy, pani wie, jak Jerzemu dobrze życzę, ale wchodzić w ten cały tłum, w ten gwar, w ten ścisk...

— I nawet pan nie ciekawy autorki tego bukietu? Bo ta z pewnością tam będzie — ozwała się pani Bisza.

Rdzawiczowi napłynęła krew do głowy, chwycił bukiet ze stołu i cisnął go w kąt, mówiąc:

— Ot co mi ten bukiet!

Panie zmieszały się ogromnie, Przerwic i Tężel także; chwilę trwało niemiłe i ambarasujące milczenie, wreszcie pani Bisza, niestosownie i nie w porę, ale zarazem czując, że się ktoś odezwać musi pierwszy, rzekła z wymuszonym uśmiechem:

— Warto was kokietować bukietami! Ta pani zapewne była przekonana, że pan choć z jednym storczykiem w butonierce na raut przyjdzie...

— I zapiszę się do jej lejbgwardji — przerwał jej półgłosem Rdzawicz, który jeszcze nie ochłonął, ale już zaczął się żenować.

Nagle pani Laura ozwała się, jak się czasem odzywa dziecko, gdy stwierdza, że się coś stało, choć wie, że wszyscy to wiedzą:

— Pan Roman zrobił scenę.

Przerwic i Rdzawicz poczęli się śmiać, potem zaczęła się śmiać pani Laura i Bisza — i wreszcie Tężel, który stał, jak skamieniały, nie wyobrażał sobie bowiem, żeby ktoś przy tak eleganckich paniach mógł co innego robić, jak pięknie mówić i pięknie się kłaniać.

— Zrobiłem scenę i przepraszam — rzekł Rdzawicz, całując panie w ręce. — Jestem źle wychowany i dziki. Okropnie panią przepraszam, pani Elżbieto — powtórzył, całując panią Biszę ponownie w obie ręce kolejno.

— Wy wszyscy jesteście, jak dzikie konie — rzekła pani Laura i dodała, wskazując na Przerwica — myśli pan, że nie?

Przerwic zaś począł deklamować:

„Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pełza;
On lubi szumny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni On nie kiełza!

On piórem z ognia jest dumnych szyszaków.
Wielki czyn często Go ubłaga, nie łza
Próżna, stracona przed kościoła progiem —
Przed nim upadam na twarz. On jest Bogiem!...“

— Boże, jacy wy jesteście niepodobni do wiejskiej szłachty! — westchnęła pani Bisza.

— Nawet ja się z braci szlachty wyrodziłem, mam krótki nos, a każdy prawy szlachcic powinien mieć nos długi, żeby mógł na jego koniec patrzeć — rzekł z humorem Przerwic, biorąc się za nos z garbkiem, ale trochę krótki. — Zato moja żona ma prawdziwy rasowy nos—i długi, z garbkiem — dodał, karykaturując wymowę pani Laury.

Tężel zaś, patrząc na śliczną, różową i uśmiechniętą panią Laurę, myślał, że ta kobieta jest cud i że życie z taką kobietą jest cud, i że taką na swojej drodze powinien był spotkać Rdzawicz, i że on... bałby się koło takiej kobiety chodzić, żeby jej cienia nie przystąpić.

— Ktoś tu idzie aleją, jakiś mały człowieczek; kto to? — rzekła pani Bisza.

— To Czempiński, finitor Romka, proszę pani — rzekł Tężel, obróciwszy się ku oknu.

Za chwilę wszedł do pracowni niski, zgarbiony człowieczyna, o rzadkich, siwych włosach, małych, zaczerwienionych oczach za okularami w rogowej oprawie, rzadkich, siwych i pożółkłych od palenia wąsach, z trzęsącą się dolną wargą i brodą, o niezmiernie poczciwym, dobrodusznym i zasklepionym w kilku myślach wyrazie pomarszczonej, pomiętej i źle ogolonej twarzy. Na szyi miał fular czerwony w bronzowe centki, z nad którego wystawały rogi niekrochmalonego kołnierza, tabaczkowy surdut, długi do kolan, zapięty prawie pod gardło, wytarty i świecący, spodnie nieokreślonego koloru w kraty i buty, rozklapane i sto-

sunkowo do jego wzrostu, ogromne. W rękach trzymał twardy filcowy kapelusz, zanadto do swojej formy wysoki i z za dużemi rondami, niegdyś koloru czarnego, a teraz gdzie niegdzie prawie ciemnozielony; laskę trzcinową, na czerwono malowaną, o kościanej, pożółkłej gałce, i pod pachą rulon zwiniętych papierów.

— *Bonjour, signori*, przy samej ziemi na tem, gdzie stanęło—rzekł, wszedłszy.—Przyniosłem panu pokazać, mam nowe facsimile Leonarda de Vinci.

W tej chwili dojrzał przez swoje okulary panie i Przerwica, przestał mówić, chrząknął trochę i ukłonił się niezgrabnie i nieśmiało.

— Pan Jacek Czempiński, artysta-rzeźbiarz — przedstawił go Rdzawicz.

Czempiński ukłonił się po raz drugi, bąknął: —„Upadam do nóg"— czy coś podobnego i uścisnął, nie wypuszczając kapelusza, podaną mu przez Przerwica rękę.

— A to ja innym razem przy samej ziemi na tem, gdzie stanęło — bąknął i zabrał się do odwrotu.

— Ale niechże pan przynajmniej odpocznie. Czy się pan nas tak przestraszył? — rzekła żywo i uprzejmie, podchodząc ku niemu i podając mu rękę, pani Laura.

Czempiński wziął tę drobną w eleganckiej rękawiczce dłoń, nie wypuszczając również kapelusza, i nie wiedział czy ma uścisnąć ją, czy pocałować; nakoniec pocałował, poczem puścił i zapomocą dwóch ostatnich palców u prawej ręki, w której trzymał kapelusz, a trzech u lewej, w której miał łaskę, spróbował wyciągnąć sobie z za długich rękawów surduta niekrochmalone, za krótkie i zwinięte u skraju, mankiety. Stał jeszcze

blisko drzwi, a potem, usłyszawszy za niemi drapanie spytał Rdzawicza:

— Okno tu przyleciał za mną. Czy mogę go puścić.

— Puść go, pan.

Czempiński otworzył drzwi i do pracowni wpadł kundel, zwyczajny i ordynarny, ale w ładnej obroży i tłusty. Rzucił się naprzód ku Rdzawiczowi i począł, skomląc z uciechy, skakać mu do twarzy, potem uczynił to samo z Tężlem, potem machnął ogonem do reszty osób, ale bardzo prędko i pobieżnie, aby zbyć, i podwinąwszy go pod siebie, począł biegać wkółko po pracowni, niesłychanie szybko i z nadzwyczajnem zacietrzewieniem, jak często psy, gdy się cieszą. Palnął się przytem raz i drugi w łeb o trumnę nagrobka Drewskiego, ale nie dbał o to i latał dalej, od czasu do czasu poszczekując krótko i urywanie.

— To nasz wspólny pies, ale u pana Czempińskiego mieszka — objaśnił Rdzawicz. — Nazywa się Okno na pamiątkę, żeśmy go przez okno wyratować poszli z Tężlem. Właściwie to go Tężeł wyratował i odratował. Okno! Cóż ty wyprawiasz?!

Okno, rozpędziwszy się, wpadł w suknie pani Biszy, zaplątał się i usiłował gwałtownie wysunąć się drugą stroną w czem mu jednak Rdzawicz przeszkodził, chwytając go za ogon. Pies odwrócił się, złapał Rdzawicza za rękę i niby zaczął gryźć z pełnemi wesela i śmiechu oczami. Rdzawicz odciągnął go i stawiając mu nogę na karku, zakomenderował: — „Siedzieć!“

Ale Okno widocznie wiedział, że wszystkie rozkazy tych panów są strachy na lachy, wymknął się z pod nogi, pokręcił trochę po pracowni i poszedł za trumnę Drewskiego, gdzie podniósł tyl-

ną nogę, ale bardzo delikatnie, poczem położył się na brzuchu w miejscu, gdzie padało na podłogę najwięcej słońca przez szyby, wyciągnął przednie łapy, oparł na nich pysk i leżał, patrząc na stojącego vis à vis Tężla z wielką poufałością i pewną nonszalancją, której sobie nigdy wobec Rdzawicza nie pozwalał.

— Przy samej ziemi na tem, gdzie stanęło — ozwał się nieśmiało Czempiński — nie wiem czy będę mógł dziś robić koło skrzydeł?

— Eh, dziś damy sobie *frei*—odparł Rdzawicz — *Blaumontag*. Tężlowi się też nie chce robić, a ja tu chciałbym trochę sam koło „Trucicielki“ popracować.

— Jak pan chce. To jutro przyjdę.

— Dobrze, proszę pana, panie Jacku.

Czempiński zabrał się do wyjścia, rzucił jednak przytem okiem na karton, na którym była naszkicowana „Trucicielka“. Popatrzał chwilę, pokiwał głową, mlasnął cicho dwa razy wargami i ozwał się, podnosząc rękę i wskazując palcem:

— O tych palcach figury na nagrobku, to już nic nie powiem, bo darmo, ale ten prawy łokieć u tej kobiety musi być cofnięty, przy samej ziemi na tem, gdzie stanęło, bo inaczej nie będzie harmonji... A ta noga, żeby była miększa w ruchu i odsłoniłbym więcej biodra, bo to jest piękne w linji, przy samej ziemi na tem, gdzie stanęło. Nawet możnaby trochę tyłu pokazać. Milcia...

— Dobrze, dobrze, panie Jacku — przerwał mu Rdzawicz, obawiając się, aby się zbyt fachowo nie zaczął wyrażać — ma pan najzupełniejszą rację, widzę to.

— A, widzi pan! przy samej ziemi na tem, gdzie stanęło, widzi pan! — rzekł, uradowany i z dumą, Czempiński. — Leonarda panu zostawię,

niech pan przejrzy. Upadam do nóg państwu, mòje uszanowanie, przy samej ziemi na tem, gdzie stanęło. Okno, pójdź! — I wyszedł, nie spójrzawszy naprawdę, na nikogo, oprócz Rdzawicza i Tężla, jak zresztą przez cały czas patrzał tylko albo w ziemię, albo na nich dwóch.

Okno zerwał się, polizał po rękach Rdzawicza i Tężla, machnął tylko kilka razy ogonem ku reszcie towarzystwa i szczekając przeraźliwie, pobiegł za Czempińskim.

— Cicho, durn... — krzyknął Tężel, ale urwał, bo nie wiedział czy przy tych paniach wypada powiedzieć psu — dureń, czy nie wypada?

— Milcia idzie — rzekł, spojrzawszy w szybę.

— U panów, jak w kalejdoskopie — zauważyła pani Bisza.

— Eh, to jeszcze nic. Czasem, jak się tu zeszedł anioł z Drewskiego, Milcia, ten—w płaszczu, kilku kamieniarzy i rzeźbiarzy, Czempiński, Okno i my dwaj, to się ledwo obrócić można było w pracowni.

— To wesoło tak — rzekła pani Bisza. — Na wsi u nas czasem tak nudno, nikogo niema.

Odprowadzona do drzwi przez Okno, weszła Milcia. Była to bardzo przystojna dziewczyna, blondynka, typowa małomieszczańska uroda warszawska. Miała piękne, szare oczy, lekko orli regularny nos i bardzo szlachetny owal twarzy. Na głowie miała niebieską chustkę włóczkową, związaną pod brodą, z pod której wydobywały się krótkie loczki, i na sobie zarzuconą grubą, popielatą himalaję, z ciemnym, szerokim pasem u dołu i popielatemi frendzlami, z pod której wychodziła ciemna suknia. Rękawiczki miała w ręku i widocznie przebiegała tylko z niedaleka do atelier Rdzawicza, nie ubierając się w kapelusz ani płaszczyk, czy paltot. Musiała iść prędko, bo miała mocne

rumieńce na dziwnie gładkich i delikatnej płci licach. Tryskały z niej zdrowie i siła. Miała przytem w swoich szarych oczach dużo sentymentu i tkliwości. Zobaczywszy obcych, stanęła sztywno przy drzwiach, puszczając z rąk, otulającą ją, chustkę; wówczas można było odgadnąć, że cała jest przepysznie zbudowana — idealny model rzeźbiarski. Ciemnogranatowy trykotowy stanik z białemi guziczkami, zapięty pod szyją srebrną broszką w kształcie listka z łodygą, obciskał jej krągłą, wysoką pierś i smukłą, a nie ściskaną gorsetem, talję, pod ciemną spódnicą zaś rysował się łuk wspaniałych bioder. Stopy w gumowych bucikach miała nieduże i kształtne; ręce tylko były trochę grube i widocznie nie oszczędzane.

Milcia postąpiła kilka kroków naprzód, skinęła głową obecnym i przysiadła na trumnie z nagrobka.

— *Quelle est jolie, cette fille* — zauważyła pani Laura.

— *Magnifique!* — mruknęła pani Bisza, spoglądając z pod oka na Rdzawicza.

— Dziwna figura ten pan Czempiński — rzekł Przerwic, rysując ołówkiem od zegarka zygzaki na stole.—Razem z tem przysłowiem możnaby go pysznie do komedji wsadzić.

— Ale, bo ty nie wiesz, co to za pan! — rzekł żywo Rdzawicz. — On ma dwie słabości: zbieranie starych sztychów i facsimiljów z dzieł mistrzów renesansu—i balony. Wystawcie sobie, państwo, wywnioskował, że najodpowiedniejszym materjałem na balon są krecie i mysie skórki. Tępił więc biedne krety i myszy, gdzie mógł, płacił za nie ostatni grosz, aż wreszcie, preparując je odpowiednio — strach, co tam za zapachy bywały w jego asilium — doszedł do odpowiedniej ilości

i uszył balon. Trzeba ci wiedzieć, Jerzy, że pan Czempiński mieszka za światem, w jakiejś starej hali czy kaplicy, czemś, co jest na jakie półtora piętra wysokie. Otóż raz, będzie temu miesiąc, czekamy i czekamy—Czempiński nie przychodzi. Posyłam po niego chłopaka kamieniarskiego. Wraca, przestraszony, i powiada, że pan Czempiński wisi w powietrzu i krzyczy. Nie rozumiemy, co się stało, bierzemy z Tężlem i lecimy do niego, co koń wyskoczy. Co za widok! Oto pan Czempiński wisi pod powałą, trzymając się rękami linek od balonu, który się wzbił. Choć sytuacja była naprawdę tragiczna, jak tam, dyndając pod powałą, z krótkiemi nóżkami w powietrzu, zawołał:—„Przy samej ziemi na tem, gdzie stanęło, ratujcie!“ — śmiech nas ogarnął. Na szczęście była drabinka, więceśmy go ściągnęli. Okazało się, że pan Jacek wydął wreszcie balon zapomocą wynalezionego przez siebie, jak powiada, przyrządu, umocował go zapomocą sznurka przy ziemi i chciał się wznieść na kilka stóp, na próbę czy go utrzyma, a potem na stole stanąć i balon ściągnąć. Ale sznurek pękł i balon z autorem pojechał wgórę. Wisiał tam długo i kryczał, nikt go jednak nie słyszał. Dobrze, żeśmy zdążyli, zanim odpadł ze zmęczenia.

— Biedny pan Czempiński—rzekła pani Laura, śmiejąc się. — A będzie pan na raucie?

— Nie, pani, tego już nie mogę—odparł Rdzawicz i zbliżywszy się do pani Laury, dodał cicho: —Ja się poprostu boję iść, bo wiem, że—Marja tu jest.

— Może pan być spokojny — odrzekła pani Laura. —Nie śmiałam o tem z panem zacząć mówić, ale spotkałam się u „Loursa“ z naszym wspólnym znajomym, starym Korskim, i mówił mi, że

dziś wyjeżdża. Ale teraz chodźmy, ma pan modelkę, będzie pan pracował.

— Co to za takie ładne panie?—spytała Milcia po wyjściu pań i Przerwica.

— To żona mojego kuzyna i jej siostra.

— Ta tęższa pani jest bardzo ładna. I musi mieć także śliczny akt. Tu, od pasa nadół, to jest tak, jak Wenus kapilotyńska, prawda, proszę pana?

— Kapitolińska—poprawił ją Tężel.

— Kapilo— —kapitolińska—powtórzyła Milcia.

Tężel wdział paltot, włożył czapkę na głowę i rzekł, wyciągając do Rdzawicza rękę:

— No, wiesz ty, ja pójdę. Jeść mi się trochę chce, robić dziś koło Drewskiego nie będziemy, a ty i tak wolisz sam być przy swojej robocie. Tylko, bój się Boga, nie przekuj marmuru! Zepsułbyś całą rzecz, a powiadam ci, furda twoja i Drewski, to dopiero będzie *chef d'oeuvre* rzeźbiarski! Mówię ci! Kujże ostrożnie. Ten Czempiński, to jest stara latarnia, żeby ci uwagi robić co do tego łokcia. Co do palców, to istotnie jest między niemi pewna różnica, zresztą, sam to widzisz, ale skoro się upierasz... Czego on jednak chce od łokcia, to nie wiem? Stara piszczałka.

— A kiedy on ma rację.

— A ty każdemu musisz rację przyznać. A ja ci powiadam, że nie ma racji.

— Ale ma.

— Milcia, dobry ten łokieć?

Milcia zbliżyła się ku narysowanemu szkicowi, popatrzała chwilę z bardzo poważną i skupioną miną i rzekła:

— Zdaje mi się, że dobry, ale możeby było jeszcze lepiej, żeby tak, jak u Kagiligos— —

— Kallipigos—poprawił ją Tężel.

— Kalli-gi-pos — powtórzyła, sylabizując, Milcia. — Zresztą, jest on bardzo szlachetny w ruchu.

— Szlachetny jest? — powtórzył Rdzawicz z uśmiechem.

Tężel wyszedł.

— Czy będę panu pozować? — spytała Milcia, zdejmując chustkę z głowy. — Tak mi się włosy zmierzwiły, aż strach.

— Owszem — rzekł Rdzawicz — porobię trochę, ale tymczasem zrzuć himalaję i stań tam, przy oknie, tyłem do mnie i stój.

Milcia, przyzwyczajona do wszelkich podobnych rozkazów, do fantazji Rdzawicza, któremu pozowała od jego przyjazdu, stanęła we wskazanej pozycji.

Rdzawicz zaś usiadł i patrzał na nią, twarz jęła mu się zachmarzać i posępnieć, poczem wstał nagle i podszedł ku Milci.

— Co? — spytała ona, odwracając głowę.

Ale Rdzawicz nie odpowiedział, objął ją tylko prawem ramieniem pod brodę i wtył przegiął. Potem położył jej usta na usta i nie odejmując ich, pociągnął ją ku szezlągowi — —

Milcia poddała się. Upadli razem na szezląg i Rdzawicza ręce poczęły gorączkowo szukać ciała Milci — — po chwili cofnął je gwałtownie i odsunąwszy się od niej, zakrył twarz.

— Co? — szepnęła Milcia miękko i cicho.

Ujrzawszy jednak, że przez szpary między palcami Rdzawicza cieknął łzy, podniosła się i usiadła na brzegu sofy. On leżał, nieruchomy. Wówczas Milcia wstała i pocichutku wyszła z pracowni.

Rdzawicz pozostał sam.

Było mu źle do pęknięcia serca. Dziesięć już miesięcy nie widział Marji... Dziesięć miesięcy... Dłużej już jej nie widzi, niż był z nią, prawie dwa

razy dłużej... I przez ten czas nie zmieniło się w nim nic: żyje jedną tylko myślą i jednem uczuciem. I tylko coraz bardziej wzmaga się w nim świadomość straszliwej bezsilności, absolutnej niemocy wobec kwestji jego stosunku do Marji. Nie może zrobić nic, jest odcięty od niej murem jej woli i społecznego konwenansu i może pod tym murem zginąć, a przekroczyć go nie może. Wszystko mu wolno — przyłożyć sobie w tej chwili rewolwer do skroni i pociągnąć cyngiel, rozstrzaskać głowę o ścianę, rzucić wszystko i wyjechać na zawsze, wolno mu szukać rozkoszy czy miłości, gdzie chce, tylko nie wolno mu spytać Marji:—nie przestałem cię kochać — czy nie chcesz wrócić?... I to nie tyle jej wola między nami stoi, ile społeczny konwenans, społeczny układ, który człowieka w podobnem położeniu, jak on, wykreśla z pamięci kobiety i wpisuje w poczet dla niej umarłych ludzi. Nie może zaś chyba być, żeby on naprawdę przestał dla niej istnieć, żeby już rzeczywiście umarł dla niej... Dała mu tyle dowodów miłości — — mogła go przestać kochać, ale kochała go — — a tak, jak przestała, tak samo może go zacząć kochać na nowo... A Borzewski? Borzewski może być naprawdę dla Marji niczem. Nieraz mówiła mu, kiedy rozmawiali ze sobą poufnie, że podejrzywano ją często o zajęcie się ludźmi, którzy jej byli w istocie najzupełniej obojętni. Lubiła flirt i przyznawała się do tego. Borzewski może być takim flirtem i w istocie—niczem dla Marji. Gdyby napisać do niej?... Napisać?... Nic łatwiejszego. Jekiejż jednak odpowiedzi może się spodziewać? Gdyby Marja chciała do niego wrócić, mogła była dać mu to do poznania w sto sposobów. Tak, ale konwenans społeczny powiada, że kobiecie w podobnych razach nie wypada robić pierwszych kroków... Można

więc komuś życie złamać dlatego, że nie wypada czegoś zrobić. Ba! można kogoś dlatego zabić.

Gdyby był się Marji po dwóch lub trzech tygodniach znajomości oświadczył i dostał odmowną odpowiedź; mógłby był, naprzykład, po dwóch lub trzech miesiącach, po roku czy kiedykolwiek, próbę powtórzyć — — tymczasem teraz, po stu wyznaniach, stu przysięgach i stu uściskach, jest dla niej, jakby umarłym człowiekiem i ma nim pozostać na zawsze, chybaby naprawdę cud go wskrzesił...

Myśli te krążyły mu jedna za drugą w głowie od kilku godzin. Zmęczyły go tak i zdenerwowały, że pierwszy objaw współczucia prostej dziewczyny, modelki, omal, że mu nie wyrwał płaczu z piersi, jak dziecku. Było mu źle, niezmiernie, bezbrzeżnie źle...

W tej chwili zapukał do drzwi, mocno, jak zwykle, Tężel i wszedł zamaszyściej, niż zazwyczaj.

— Co tu tak ciemno? — zapytał.

— Odpoczywałem — odparł Rdzawicz.

— Dajże zapałkę, bo, zdaje mi się, nie mam. Mam ci coś przeczytać.

— Cóż takiego?

— Ale, ho! Powiadam ci, jaką ci recenzję wyrżnął w *Kurjerze* stary Bronn, który tu akurat, jakby naumyślnie, przyjechał do Warszawy! Powiada, że musiał poprosić redaktora o miejsce, aby powiedzieć głośno, że szczęśliwy się czuje, że właśnie teraz przybył tutaj, i dumny z takiego ucznia! Powiada, że jeżeli się po tobie zawsze dużo spodziewał, to, powiada, przeszedłeś jego oczekiwania z kretesem. Pisze, że twoje „Centaury" przypominają najświetniejszą epokę rzeźby klasycznej, i powiada: — do bani z Francuzami przy tobie!

— Jakto? To powiada: — do bani?

— No, jak powiada, to powiada, dość, że przeczytaj sam, jak cię chwali. On mówi, niby ty łączysz w sobie harmonję—toby się Czempiński ucieszył, jak pies w jatkach—klasyczną, grecką, z prawdą natury w pojęciu współczesnego człowieka, ale, powiada, nie przesadzasz, nie szarżujesz w naturaliźmie, jakkolwiek jesteś zupełnie, nawskroś oryginalny, znać w każdym calu twego marmuru umiłowanie helleńskiej rzeźby nieśmiertelnego piękna...

— Cóżeś ty się tego napamięć nauczył?

— Powiada, że dawno nietylko Polska, ale i współczesna sztuka nie wydała nic takiego, jak „Centaury“, zwłaszcza, jeżeli się zważy, że autor jest młodym dwudziestosiedmioletnim człowiekiem. „Wampir“ w zdumienie go wprawił. Krytykuje, wprawdzie, to i owo, powiada, że jeżeli w rysunku jesteś zupełnie doskonały, to w kolorycie możeś tu i owdzie trochę chybił, ale przedewszystkiem gębę rozdziawia wobec tego, że jeden i ten sam człowiek potrafi tak rzeźbić i malować. Nie waham się, pisze, porównać pana, a raczej teraz już Romana Rdzawicza, ze zdumiewającemi, wszechstronnemi talentami epoki włoskiego renesansu.

— Wiesz, Tężel, rzuć ty rzeźbę i weź się do recytatorstwa.

— Nakoniec, mówi, tylko tak dalej a będziesz miał europejską sławę... Poczciwy ten stary Bronn. Pocałowałbym go wszędzie. Zaraz jutro do niego pójdę. I Pan Bóg dobry, że go tu właśnie na tę porę przysłał. Bo i jemu przyjemnie, i tobie musi być przyjemnie, że on pierwszy o twoim pierwszym, naprawdę wielkim, występie pisze. A pamiętasz, jak ci nieraz mówił: — „Panie Łdzawicz, panie Łdzawicz!...“ — Pamiętasz? Poczciwe to Bronisko, jak Boga kocham. Żeby miał tyle szczęścia, co pies pcheł. Ale dajże zapałkę, to przeczytasz.

— Pocóż, kiedyś mi wszystko opowiedział. A w innych gazetach jest co?

Tężel rzucił na stół plik papierów i rzekł:

— Jeszcze nic. Kupiłem wszystkie gazety wieczorne w kiosku i przejrzałem pod latarnią, ale jeszcze w żadnej nic niema, tylko w tym *Kurjerze*. Czytałem po drodze, dobrzem oczu nie wypatrzył. Cieszysz się?

Rdzawicz nic nie odpowiedział. Tężel zaś, uderzywszy się ręką po udzie, począł śpiewać wesoło:

Dali mi ją, dali,
Piknie zubirali,
Inom musioł pocekać...

Wynalazł zapałki, zapalił lampę i włożywszy obie ręce do kieszeni, stanął przed Rdzawiczem, mówiąc:

— Wiesz ty co, idź ty na ten raut.

— Nie chce mi się.

— Naprzód zrobisz pani Przerwicowej uciechę, a to takie miłe i kochane stworzenie. Żebyś ty taką... — urwał i trzepnął sobie mimowoli ręką po ustach. — Wiesz, jak Boga kocham, ja nie znam drugiej takiej serdecznej kobiety, jak to Przerwicątko. Misia jest dobra nadzwyczajnie, ale Misia, choć piękniejsza, bo cóż, Przerwicowa jest bardzo ładna, ale żadna piękność nie ma ani ćwierć tego wdzięku. I potem, bądź, to jest paniątko, a Misia dziewczyna edukowana. Widziałeś ty, jak to ładnie siada? A jak idzie po ulicy, powoli, nosek naprzód, i tylko się kiwa z nóżki na nóżkę.

— Cóż ty się kochasz w Lorze, że się tak rozpajęczasz?

— Nie kocham się, ale ją strasznie lubię.

— Ją wszyscy muszą lubić.

— A ta druga, jej siostra, ta pani Bisza, o, to djabełek! To numer! No, pójdziesz na raut?

— Nie, nie chce mi się.

— Idź, mój drogi. Obetkasz się sławą, jak kot salcesonem.

— No, raześ przecie psa zluzował na odmianę. Musiałbym się ubierać...

— A cóż? Frak!—i basta! Jak nie masz czego, to skoczę do miasta i przyniosę ci.

— Nic nie mam. Ani krawatki, ani rękawiczek.

— No, to dymam. Oddasz mi pieniądze później. Siedem i pół, prawda? Poczciwy ten Bronn! Jak Boga kocham, gdzież moja czapka?...—takbym go...

Wypadł, jak bomba, z pracowni.

Natychmiast po wyjściu Tężla, Rdzawicz odłożył nabok swoją udaną nonszalancję wobec artykułu profesora Bronna, przeczytał go uważnie raz i drugi, potem przeszukał najstaranniej inne gazety, czy istotnie nic w nich niema o jego wystawie, raz jeszcze przeczytał recenzję Bronna i zaczął układać na stole gazety, tak, jak pierwej, aby Teżel nie poznał, że je ruszał i otwierał. Ponieważ poukładać je zupełnie tak samo było trudno, zgarnął je wszystkie ze stołu na ziemię, z wyjątkiem *Kurjera*, którego schował do szuflady. Wpadł w dobry humor, czuł się nadzwyczaj pełnym energji i ochoty do wszystkiego i był zdecydowany pójść na raut. ...Cóż mi to szkodzi—myślał—niechże się „obetkam tą sławą, jak kot salcesonem“. Wiecznie siedzę, djabli wiedzą gdzie, albo w dziurze, jak tu. Pójdę, co mi tam! Cóż mi zrobią? Niech się gapią, jeżeli mają ochotę. I czy to mnie pierwszego coś podobnego spotkało? Mało tam takich będzie, jak ja?! I dlaczegóż takby się mną mieli specjalnie zajmować ludzie? A

zresztą, *odi profanum vulgus et arceo*. Przytem zrobię przyjemność Przerwicowej...

Rdzawicz wiedział, że jej ogromnie zależy zawsze na tem, aby on był świadkiem powodzenia Jerzego. Czuł to, że ta kobietka, jakkolwiek zbyt dobra, aby mu życzyć inaczej, jak tylko jak najlepiej, nie chciałaby, aby jego rosnące imię miało być głośniejsze kiedykolwiek, niż imię Jerzego —i bała się tego:-. Naprzód Rdzawicz, jako rzeźbiarz, mógł zdobyć sławę europejską, co piszącemu po polsku jest prawie niepodobieństwem; następnie, jakkolwiek Jerzy, od Rdzawicza starszy, w tej chwili więcej był od niego znanym i uznanem; nadzieje, jakie rokowano Rdzawiczowi, były nierównie większe od tych, jakie rokowano Jerzemu. Pani Laura nie chciała o tem wiedzieć i udawała, że nie wie, ale nie wiedzieć nie mogła. Wpadła raz w pasję i nie mogąc wytrzymać, wybuchneła przed mężem. Przerwic jednak nśmiechnął się całkiem spokojnie i powiedział jej:—„Moja droga, trzeba się z tem zgodzić, że takich ludzi, jak ja, rodzi się naraz dziesięciu, a tacy, jak Rdzawicz, rodzą się raz na dwieście lat“. Pani Laura wpadła w taką pasję, że tupnęła nóżką, krzyknęła:—„Ziuci jest głupi!“—i rozpłakała się. Przerwic sam mu o tem mówił, śmiejąc się serdecznie ze swojego „różowego maleństwa“.

Co do Marji, to jej nie spotka. Przerwicowa go zapewniła... Spotkać może wprawdzie jej „lejbgwardję“—ale zbyt wiele zaszczytu dla tych durniów, gdyby sobie co z nich robił. Borzewski? Cóż jest Borzewski? jakiś sobie majętny jegomość z Ukrainy z pięknie podczesanemi wąsami i w śpiczastych lakierkach, o którym wiedzą w jego powiecie tacy sami, jak on, i kilkadziesiąt, a choćby kilkaset osób w Warszawie, także takich samych,

jak on... Cóż to jest Borzewski? korcami możnaby zbierać takich szlachciców z pięknemi wąsami i w śpiczastych lakierkach. Był las—nie było nas, będzie las—nie będzie nas. Borzewski jest podrzędnym, pierwszym lepszym z brzegu pionkiem na szachownicy świata, bo przecież na urodzie, majątku i śpiczastych lakierkach świat nie stoi, Borzewskich jest mnóstwo, mnóstwo jest pospolite, pospolite nic nie znaczy, Borzewski jest nic.

Zgasił lampę, zamknął pracownię i poszedł na górę, do mieszkania, zostawiając przy klamce kartkę dla Tężla z napisem: „na górze". Rad był, że zobaczy dużo ludzi, dużo światła, ruch, ożywienie, zabawę. Od jakże dawna nigdzie już nie był pomiędzy ludźmi! Widywał wprawdzie tłum na Corso w Neapolu, w kasynach miejskich i salach gry i koncertów w Monte Carlo, na placu świętego Marka w Wenecji, ale ten tłum był mu zupełnie obcy i on wśród niego czuł się obcym i odbitym od swoich. Z przyjemnością też myślał, że się elegancko ubierze, że wdzieje frak, którego już blisko rok na sobie nie miał, że włoży cienkie lakierowane trzewiki i weźmie cienką chustkę od nosa.

Kończył się właśnie ubierać i oglądać w lustrze, powiedział sobie:—no, ostatecznie, taki znowu strasznie brzydki nie jestem i jest we mnie „coś" —kiedy Tężel wpadł na górę, tupiąc po schodach, jak łoś po kamieńcu.

— Dobre? Co?—krzyknął, zasapany, rzucając na stół rękawiczki i krawatkę.

— Doskonałe, dziękuję ci.

— Pokażże się, obróć się.

— Cóż, nieźle wyglądam?

— Lord jesteś, daj cię katu, lord! Jak Pana Boga kocham! Kobiety będą topniały.

Rdzawicz odwrócił się. Tężel zaklął na siebie w myśli, sądził bowiem, że zrobił ostatnią uwagą Rdzawiczowi przykrość i że ten się dlatego odwrócił; ale Rdzawicz odwrócił się dlatego, że się na tę uwagę Tężla mimowoli z pewnem zadowoleniem uśmiechnął, a nie chciał, aby Tężel ten uśmiech spostrzegł, bo się wstydził. Wstydził się poprostu tego, że Tężel mógłby ostatecznie pomyśleć, że go jakieś inne kobiety, oprócz Marji, mogą interesować, i nie chciał, aby Tężel przypuścił, że on już przestaje cierpieć. Nie chciał się do tego przyznać i sam przed sobą, a jednak w tej chwili czuł, że nie jest tak złamanym, jakim się sam sądził—przez dziesięć miesięcy.

Gotów był pojechać na raut. Tężel żałował, że nie ma fraka, bo takby chciał widzieć triumfy tego „ultrarenesansowego chłopaka"...

Po drodze Rdzawicz myślał o kobietach, które może spotkać. Przypomniał sobie bukiet i zaczęło go interesować, kto go mógł przesłać i czy ta osoba będzie na raucie?

...Nie przysłali mi go przecież ani koledzy, ani wierzyciele—myślał. — Skoro się taki bukiet przysyła, to daje się do myślenia... A przedewszystkiem będzie wkoło tak dużo kobiet, oczu i brylantów, kobiecego głosu i kwiatów — — to morze, ten nurt kobiecości, *des Weiblichen*, w który się na zebraniach zanurzyć można. Dużo szelestu jedwabiu i atłasu, szelestu kwiatów we włosach i u gorsów i branzoletek na ramionach, szelestu sukien na trzewikach i szmeru trzewików na posadzce... Będzie ogród kobiet, wielki gaj, w który wejść będzie można, jak rozkochany w zapachu mirtów Faun, błędny od drzewa do drzewa. Te wszystkie spojrzenia zleją się w jedną tęczę światła, wszystkie głosy w jeden ton

czarodziejskiego fletu, wszystkie ruchy i wszystkie ciała w jedną miękką, w łuki płynną falę... Tyle łon, tyle kibici, tyle ust, tyle ramion, tyle stóp... Będzie to zupełny labirynt, pośród którego błąkać się będzie można... Jak one się będą przeginały w chodzie te kobiety, co za przepyszne grupy tworzyć będą... Oto tam, ta brunetka z wypukłą piersią wtył się przechyla i odwracając lekko poza siebie głowę, szepcze——a bije z niej pragnienie, jak z róży woń... A tam, ta blondyna cudowna, z całym błękitem nieba w oczach, jak miękko, jak ponętnie siedzi, patrząc na kształt swych nóg pod białem atłasem sukni; niby słucha, co do niej mówią, a naprawdę upaja się tych swoich nóg kształtem, rysującym się tajemniczo i czarownie, cała w nich rozkochana, rozmiłowana w sobie, rozlubieżniona sobą...

On wchodzi — — wszyscy zwracają się ku niemu, pokazują go sobie, mężczyźni usuwają mu się z drogi uprzejmie i grzecznie, kobiety chcą z nim mówić, zbliżają się, patrzą nań błyszczącemi oczyma, rozchylają usta i pochylają się blisko, blisko... Tak dawno nie był między ludźmi w kraju, opuścił go zaś w chwili dla artysty najmniej przyjemnej, kiedy dopiero zaczyna na siebie zwracać uwagę i budzi niedostępną w takich razach ironiczną nieufność filisterskiego ogółu.

Przytem ma za sobą historję, ma nieszczęśliwą miłość, wędrówkę, tajemnicę serca... Nikt nie wie, co się z nim działo, co się w nim dzieje? co w nim jest? Odcięty, odbity od stada, oto nagle się zjawia, promienny w chwale swej twórczości i ciemny tajemnicą duszy, wyższy nad tłum i zagadkowy, Child Harold drugi... Będzie kłamał, bo kryje... Za jego uśmiechem musi być znać gorycz i ból, w jego łagodnej, subtelnej, przyci-

szonej rozmowie wyższego człowieka—ironję zupełnej apatji, zupełnej obojętności na to, co się wkoło dzieje, na wszystko... Nagle wzdrygnął się nerwowo w karetce, która go wiozła na raut, i milczącym tym myślom swoim odpowiedział głośno i ostro:—Sport! Sport! Sport! będę z tego robił?! Sport z tego, co mi życie złamało?! Sport z niej?!... Ale równocześnie, mówiąc tak, czuł, że naprawdę jego życie nie jest przez katastrofę z Marją złamane i że sam w siebie chce to wkłamać, zarazem zanadto żywotny, aby chciał, żeby tak było, i zanadto romantyczny, aby stanowczo i nie chciał. Tymczasem dorożka zajechała na miejsce.

Rdzawicz wyskoczył i sam się ucieszył swoją elastycznością, jakby odzyskaną na nowo. Niby poprawiając, przekrzywił trochę szapoklak na głowie z pewną junakerją i począł wchodzić na jasno oświetlone i strojne kwiatami schody, uderzając rękawiczkami, które trzymał w ręku, o paltot. W garderobie zauważył, że przeszła koło niego jakaś oryginalna, ruda, dosyć wysoka i blada kobieta, lat może około trzydziestu. Zauważył, że spojrzała na niego i że miała ciemne brwi i ciemne oczy.

Wszedł na salę.

Miał to być wielki raut w połączeniu z koncertem i żywemi obrazami, zupełnie oryginalnie obmyślany przez kilka dam z arystokracji i bogatej burżuazji. Środkiem ogromnej sali biegł między dwoma rzędami krzeseł ku estradzie szeroki pasaż, ale krzesła nie były poustawiane regularnie, jak zazwyczaj, tylko porozrzucane w grupy koło małych, eleganckich stolików. Mnóstwo światła, mnóstwo kwiatów w festonach, girlandach, mnóstwo kwitnących w wazonach, wielkie

oleandry, mirty, fikusy. Na estradzie fortepian, czarny i połyskujący, a u góry, ponad nią, zaimprowizowana, wzniesiona kurtyna.

Kiedy Rdzawicz wszedł, było już pełno w sali. We drzwiach opuściła go cokolwiek pewność siebie i uczuł, że dawno nie poruszał się w tłoku i na bardzo woskowanej posadzce. Zrobiło mu się odrazu duszno i uczuł, że jest stworzonym do bluzy i rzeźbiarskiego atelier, a nie do fraka i sal balowych; czuł się zarazem cokolwiek zażenowanym i cokolwiek królewskim w tej ciżbie, która wobec niego nie czuła się ani zażenowaną, ani królewską, nie chcącą na siebie zwrócić uwagi, ani też zwracającą na niego swoją. Odechciało mu się odrazu triumfów, a zachciało dobrych znajomych, przy których możnaby usiąść i którzyby wiedzieli, kto on jest i do czego ma prawo.

Ujrzał wreszcie Przerwiców; siedzieli po lewej stronie pasażu od wejścia, w środku sali, oni oboje, pani Bisza, przy nich jakiś stary, siwy pan z dużemi wąsami i dwie panny. Wysunął się z tłumu i podszedł ku nim.

Pani Laura spostrzegła go, klasnęła końcami palców obu dłoni i zawołała prawie głośno: — „Romek!“ — poczem zczerwieniła się mocno i wyciągając ku nemu rękę, rzekła, zmieszana:

— Przepraszam pana, ale takem się ucieszyła, że pan przyszedł. Zresztą, przypuszcza pan zapewne, że o panu nie mówiny między sobą po nazwisku. Wuju Stasiu — zwróciła się ku siedzącemu obok siwemu panu — pan Roman Rdzawicz — dodała, przedstawiając go pannom.

Rdzawicz uścisnął rękę siwego pana, skłonił się pannom i usiadł na zrobionem sobie miejscu, między panią Laurą a młodszą z panien.

— Moje kuzynki, córki wuja — mówiła pani

Laura, chcąc odrazu przełamać pierwsze lody — były dziś na wystawie i bardzo były pana ciekawe.

— A tak. Tak mje chcjało sję widzjeć kiedy rzezbjarza — odezwała się zupełnie prosto z mostu, mocno z litewska po białorusku, siedząca obok Rdzawicza panienka. Wszyscy uśmiechali się, ona zaś podobnie równie poprostu popatrzyła naokoło. — A pan i maluje? — zaśpiewała dalej.

— Maluję, proszę pani.

— My raz w Sorgajłach cała noc malowalim kraszanki na Święcone. Spac chcjało się, ale cjocja kazała malowac, tak nie można było. Bardzo śliczne były te jajka. Nawet kniaź Birkudź chwalił.

— A któż to jest kniaź Birkudź?

— A to jeden bardzo śliczny człowiek. Musji byc przyjdzie tutaj na wyścigi. Wszystkie panny sję w nim kochają na Litwie. To ideał.

— A ty, Mignon, masz swój ideał? — spytał Przerwic.

— Ja? Nie znalazłszy.

— A jakież warunki musi mieć twój ideał?

— Musji byc brunet i dumny.

— A kniaź Birkudź nie jest brunet i dumny?

— Może on i dumny, ale blondyn — odparła panna.

Rdzawicz, który dotąd przypatrywał się głównie swojej sąsiadce, ślicznej szesnastoletniej brunetce o czarnych z zielonym połyskiem źrenicach na niebieskawych białkach pod olbrzymiemi rzęsami, patrzących z zupełnie legiendową naiwnością na świat, spojrzał teraz na drugą pannę Rosieńską, siedzącą między ojcem a panią Biszą. Oczy ich spotkały się i chwilę zatrzymały na sobie, poczem panna przysłoniła swoje powiekami o równie ogromnych, ciemnych rzęsach, jak u siostry.

Ta mogła mieć lat ośmnaście, była szatynką, lekko bladą, o szaroniebieskich oczach, dużych i głębokich, a oczy te uczyniły odrazu wrażenie na Rdzawiczu, że można w nie iść, jak w las; rysy miała delikatne, mniej ładne, niż u siostry, ale zwracające odrazu uwagę, zwłaszcza nos miała śliczny, trochę orli, i przepyszne, wiśniowej, ciemnej barwy usta, takie, o których się mówi, że są „stworzone do pocałunków“. Białą miała szyję, pełny, szlachetny biust i wąską rękę. Twarz jej, bladawa i wytworna, miała w sobie jakiś smutek, jakąś w wyrazie myśl tęskną i pragnącą, a utajoną, i ten wyraz był przedewszystkiem wymową jej twarzy.

...W tej dziewczynie coś się wewnątrz pali i to nie jest pierwsza lepsza z brzegu — pomyślał Rdzawicz, któremu jej uroda odrazu podziałała na zmysły. — Ciekawym, czy i ona tak „przecjąga“?

I zwracając się ku niej, spytał uprzejmie:

— Jak pani znajduje tutejsze towarzystwo?

— Bardzo sympatyczne—odparła panna leciutko śpiewnym akcentem, podnosząc nań swoje duże, głębokie oczy. — Kobiety są po większej części przystojne i dobrze ubrane.

— Nigdzie się tak nie ubierają, jak w Warszawie — ozwał się pan Rosieński, siwy, lat około sześćdziesięciu.

— Kobiety się powinny ubierać jak najstaranniej. Róża jest Róża, ale ładny wazon jest ładny wazon. Szkoda tylko, że nie nosi się greckich fałdzistych, nie szytych materyj — rzekł Przerwic.

— Ładniebyśmy w tem wyglądały, kuzynku— uśmiechnęła się starsza panna Rosieńska.

— Czemuże? — ozwała się młodsza. — Jabym

sobie zaraz zakazała takie u Hersa, żeby tatko pozwolił. Zadziałabym i cóż?

— Bajeczna figura! — zawołał Przerwic, który się z niezmierną rozkoszą wpatrywał w tę pannę.

— Figura nie figura — odcięła się, urażona. — Także grzeczność.

— No, że jesteś figura, Mignon, to już daruj— rzekł pan Rosieński z miną serjo.

Rdzawicz patrzał kolejno na panny Rosieńskie; obie ubrane w bladozielone suknie z kwiatami, co przypominało Zosię z „Pana Tadeusza“ i łąkę. Biła też od tych dziewczyn jakby woń pełnych pasiek i zagajów wsi, jakiś jakby zapach kwitnących jabłoni i młodych brzóź i zboża w słońcu.

— Przejdźmy się—rzekła, powstając, pani Laura. — Poda mi pan rękę, panie Romanie?

— Służę pani.

Pan Rosieński podał ramię pani Biszy. Przerwic zbliżył się do starszej panny Rosieńskiej, ale ta uśmiechnęła się i rzekła:

— Niech kuzynek poda ramię Różyczce, będzie się kuzynek lepiej bawił i większą ma na to ochotę, prawda?

— Zrób tak—ozwała się pani Laura, odwracając głowę. — A ty, Elu, chodź z nami.

— Teraz niech mi panie wytłumaczą — rzekł Rdzawicz, prowadząc panią Laurę—dlaczego jedna z pań litwinizuje tak bardzo, a druga tak mało?

— One wcale nie są Litwinki—odpowiedziała pani Laura—tylko ciocia Rosieńska jest chora na krzyż i nie mogła się zajmować ich wychowaniem, więc wychowywały się u swoich krewnych na granicy litewsko-białoruskiej. Ela była tam krótko i nie zdążyła się rozakcentować, ale Mignon siedziała tam z małemi wyjazdami sześć lat i śpiewa, jak żeby była przynajmniej kniaziówna Birku-

dziówna z domu. Ona mi mówi „ciociu", ale tylko przez zbytek szacunku dla mego wieku.

— Mignon za dwa tygodnie skończy szesnaście lat — rzekła panna Rosieńska.

— Strasznie jest naiwna. Powinnaś ją rozwijać jakoś.

— A uczy się doskonale i wszyscy powiadają, że jest bardzo zdolna. Jak ją poznasz bliżej, Lorciu, to zobaczysz, że ona jest inteligentna. Ale prawda, że robi wrażenie zupełnego dziecka. Twój mąż się nią rozkoszuje.

— Ah, Jerzy jest nią zachwycony. Powiada, że jeżeli jej nie wsadzi w najbliższą powieść, to jest „polska inwencja".

— Cóż to znaczy?—spytała panna Rosieńska.

— Zapewne to samo, co mówiąc po studencku— „jestem gips" — powiedział Rdzawicz.

— Jerzy jest chory na to, że Polacy nie mają swojej inwencji, że nie są nigdy w niczem oryginalni. On twierdzi, że my nawet robimy czasem coś lepiej, niż inni, ale wymyślili to ci inni przed nami. Na tym punkcie on ma zupełną *idée fixe.*

— I zdaje mi się, niestety, że ma rację—rzekł Rdzawicz.

Panna Rosieńska zaś podniosła nań swoje szaroniebieskie oczy z pod ogromnych ciemnych rzęs i spytała:

— Czy pan zna „Pana Tadeusza"?

— Znam.

— A „Pogrzeb kapitana M." albo „Złotą czaszkę"?

— Także znam.

— A „Farysa"?

— Znam.

— A wie pan, z czego to jest „Na moim mieczu były wtenczas wieki"?

— Wiem.

— A teraz co będzie? — spytała, przeciągając lekko, z łagodnym i dziwnie miłym, a smętnym, jak cała jej twarz ,uśmiechem, panna Rosieńska.

— Jerzy nie ma racji—rzekł Rdzawicz.

Pani Laura spojrzała na niego z widocznem zadowoleniem, co dostrzegł i powiedział:

— Cieszy się pani, żem skapitulował.

— Cieszę się. Z patrjotyzmu—dodała z uśmiechem. Nagle odwróciła się do Przerwica i wskazując mu głową dosyć wysoką brunetę o za dużej twarzy i nieładnym nosie, rzekła:

— Patrzno, Jerzy. Pani Leokadja Sępowska.

— Kto to jest?—spytał Przerwica Rdzawicz.

— A to jest jedna pani, która opowiada o sobie, że miewa takie bicie serca, aż się doktorzy obawiają, aby jej chrząstki nie popękały, i szuka — — szczęścia. Kieszonkowe wydanie „Hrabiny Idalji“ Słowackiego. Strzeż się jej, bo cię wyprowadzi w nocy w las, powie ci, że masz wnikający w duszę głos i że dla niej u mężczyzny nie istnieje nic, tylko oczy i usta, albo każe ci usiąść obok na malutkiej ławeczce i wetknie między siebie i ciebie parasolkę, „pewna“, że tej dyskretnej linji demarkacyjnej nie przekroczysz, ale zarazem „pewna“, że masz na to djablą ochotę. Zasypie cię frazesami z Bourgeta, Lemaître'a, Maupassanta, D'Annunzia i swojemi na tym sosie, a kiedy już nie możesz wytrzymać tej histerycznej piły, pożegna cię gorzkim śmiechem rozczarowania. Kapitalny okaz.

— Złośliwy jesteś, kuzynku — rzekła starsza panna Rosieńska, młodsza zaś spytała:

— Co to jest histeryczna piła, wuju Jurku?

— To jest tak, jakby kto paczulą smarował chleb — odparł Przerwic.

Mignon popatrzyła na niego wielkiemi oczyma, nie zrozumiała i kiwnęła głową na znak, że rozumie.

Nagle zagrzmiał srebrzysty dzwonek od estrady i w sali poczęło się uciszać. Na estradzie ukazała się uproszona do deklamacji aktorka, niebardzo młoda, ale jeszcze piękna, mocno dekoltowana i z ogromnemi brylantami w uszach i u gorsu.

— Twoje wiersze — szepnęła pani Laura, blednąc ze wzruszenia.

— Aha — odparł spokojnie Przerwic—zacznie od „Kolumn".

Publiczność uciszyla się, ugrupowała, a deklamatorka rozpoczęła mówić. Po „Kolumnach Samsona" nastąpiła „Otchłań", a kiedy oklaski były duże, artystka zadeklamowała innego już autora wiersz, zaczynający się od strofy:

„Sama nie wiem, kogo wolę
Czy Antosia, czy też Józia?
W takim samym ambarasie
Jest na pensji także Rózia..."

i tak dalej.

Wiersz się kończył:

„Józio... Antoś... Sama nie wiem,
Bo stokrótka może kłamie — —
Nikt mi z państwa nie poradzi?
Tu już chyba powiem mamie..."

Zerwała się poprostu szalona burza oklasków. Sala huczała od braw. Krzyczano „bis! bis!" bez upamiętania. Wówczas deklamatorka uczyniła minę smętną i rzewnym głosem poczęła mówić wiersz drugiego z „kolegów" Przerwica. Wiersz ten rozpoczynał się od strofy:

„Obrazeczek mu dała do ręki,
Uczyniła mu krzyżyk nad głową,
I pożegnał chateńkę maleńki
I w świat ruszył zieloną dąbrową..."

Zapanowało głuche milczenie w sali; panie podnosiły batystowe chusteczki do ócz. Ostatnia strofa o zapłakanej u okna dziewczynie i mogile w pustej, obcej stronie wywołała kilka głośnych szlochań. Burza oklasków była równie silna, jak poprzednio. Autorowie obu wierszy, długowłosi i poetyczni, stojąc pod ścianą, spoglądali zdaleka z triumfem i politowaniem na Przerwica.

— Jestem pobity na łeb—rzekł Przerwic z zupełnie obojętnym uśmiechem. Ja miałem *succès d'èstime,* ale moi „koledzy“ istotnie rozentuzjazmowali publiczność. Gdyby była powiedziała:—*Evviva!*—byłbym jakoś wytrzymał konkurencję; karmelkom i opłatkom tylko bomby dotrzymują u nas placu.

— Dawniej byłbyś wściekle zły—rzekł do Przerwica Rdzawicz.—Powiedz mi, skąd się w tobie teraz taka pogoda bierze.

— Stamtąd—odparł Przerwic, wskazując głową żonę.

Pani Laura jednak nie przyjęła z takim samym stoicyzmem *succès d'èstime* swego męża—była zła i miała mars w oczach.

— Ziuciu?—rzekł Przerwic z silnym wyrazem zdziwienia.

— A, bo jestem zła—odpowiedziała pani Laura. —Wszyscy przecież wiedzą, że ci, tamci dwaj, do pięt nie dorośli!

— No, to niech ci wystarczy. A teraz, słuchaj, Mattini. Patrzno, Mignon, ten jest i brunet, i dumny; widzisz, jaką ma minę?

— Ot, śpiewadło jukieś. Cjocja Nascja na imieniny wujaszka sprowadziła śpiewaków ze Smoleńska, to się im jesc dało w sieni.

— Ależ to jest europejska sława!

— At! Pewnie nawet nie urodzony.

— Róziu!—rzekła starsza panna Rosieńska, zażenowana.

— Cjocja Nascja zawsze kazała się naprzód dowjedzjeć kto rodzji — odparła panna Mignon.

— Psst! — szepnęła pani Bisza. — Zaczyna.

Do burzy oklasków przyłączył się grad kwiatów. Wówczas tenor, przystojny, tęgi, jak byk, z wyrazem głupim, jak u wołu, upuścił, niby przypadkiem, między szalone entuzjazmem kobiety swoje rękawiczki. Powstała formalnie o nie bitwa. Wyrywając sobie, panie rozdarły je na drobne kawałeczki, a kawałeczki te przyciskały do ust i chowały za gors; on zaś stał na estradzie triumfujący, pogramiający i bezbrzeżnie głupi.

— Przecie to chyba dureń—szepnął do Przerwica Rdzawicz.

— A dureń — odparł ten.

— Ale ciebie z twoją poezją, a mnie z mojemi „Centaurami“ i „Wampirem“ zgasił zupełnie.

— To zawsze tak bywa. *Similia similibus.* Jeszcze tego nie wiesz?

Wtem Rdzawicz, zobaczywszy przed sobą olbrzymiego, szpakowatego już mężczyznę, zawołał:

— Patrzno, co to za chłop! Żebym takiego dostał za model! Husarz czysty!

— Z twarzą kretyna, przypatrz się. To jest tak zwany hrabia Miś, z Galicji. Ten nieszczęśliwy człowiek ma na rok trzysta sześćdziesiąt pięć posiedzeń autonomicznych i trzysta sześćdziesiąt pięć polowań z naganką. Trzysta sześćdziesiąt cztery dni poluje, a o trzysta sześćdziesiątym piątym pisze się w „ich organie“, że poświęcił przyjemność polowania dla służby publicznej. W roku przestępnym przypada na to dzień trzysta sześćdziesiąty szósty.

Nastąpiła pauza w koncercie i promenada. Pa-

nowie podawali paniom ręce, a te, promienne brylantami, kwietne od kwiatów, twarze, różowe od gorąca, chłodziły wachlarzami z piór puszystych i opierając się na towarzyszach, rozmawiały żywo, pełne śmiechu, humoru, podrażnione same i drażniące. Fala głów, grająca barwami włosów, pereł, kwiatów, diademów złotych i brylantowych, trzęsących się gwiazd, kołysała się nad falą białych obnażonych ramion i białych obnażonych pleców. Tłum kobiet zamienił się w jakąś jedną, płynną i płynącą masę, pełną światła, krągłych linij i szerokich płaszczyzn, pełną wyzywających ponęt i oszałamiających podrażnień.

— Pamiętasz, co w Don Juanie napisał Byron o Briareusie? — szepnął do Rdzawicza Przerwic...

Rdzawicz zaś spoglądał na pannę Elę Rosieńską z coraz większem zajęciem. Przedewszystkiem uderzało go w niej to, że była niesłychanie czysta; głębokie oczy i jej godne, równo sklepione czoło czyniły wrażenie, jakby przez nie nigdy nie przechodziła żadna myśl brudna, niska i niegodna, gdy natomiast usta wołały: — pragnę!... Ta dziewczyna wydawała mu się, jakby kwiat o świcie, kiedy jeszcze mgły poranne wiszą nad ziemią, ale już perleją i przezłacają się w słonecznym wschodzie i kiedy krople rosy na kwiatach poczynają brać w siebie blask i świecić. O tej porze kwiaty są tak czyste, jak nigdy, i woń mają świeżą i śliczną, choć kolory jeszcze nie rozbudzone i jakby trwożne. Są przy tem jakieś smutne i dziwnie ciche.

Rdzawicz czuł, że jakaś żądza przylgnęła do tej dziewczyny, ogarnia go coraz silniej. Uczucie, jakiego doznawał, było dlań całkiem nowe, bo jeżeli z jednej strony pożądał jej zmysłami, to z drugiej szedł od niej ku niemu jakiś spokój duchowy i czystość jej myśli jakby przelewała mu się od

niej w duszy. Był to czar, jakiego nie znał dotąd— czar łąki, pełnej słodkich zapachów i łagodnych barw, czar przyrody zupełnie takiej, jak jest, żywiołowej, prostej i tą prostotą jakby świętej.

Żadnej kokieterji, żadnej sztuki nie widział w pannie Rosieńskiej; zdawało mu się, kiedy patrzał na jej usta, że ona lada chwila mogłaby wyciągnąć do kogoś ręce, założyć mu je na szyję i powiedzieć głośno wśród całego tłumu:—„Kocham, bo mi to jest wrodzone...“ — gdy, patrząc na jej oczy i czoło, widział wstyd kobiecy i dumę, które w niej wyrobiła cywilizacja i które w niej musiały być bardzo silne.

Stała ze schyloną trochę głową, dotykając ust skrajem wachlarza, podobna razem do Charyty i Diany. Rdzawicz uczuł, jak mu się coś wewnątrz, w piersiach, pochyla ku tej dziewczynie; spojrzał na nią, a równocześnie ona podniosła nań z pod wielkich rzęs swoje głębokie oczy. Ciepło ogarnęło Rdzawicza, albowiem przez jedno ledwo dostrzegalne mgnienie te oczy coś mu chciały powiedzieć, poczem znów stały się ciche, łagodne i smętne i przysłoniły się powiekami o ogromnych rzęsach. Cicha i dumna czystość, spała, niebudzona, na czole panny Rosieńskiej, zaś jej wiśniowe i jakby do pocałunków stworzone usta, wołały: — pragnę!...

Rdzawicz dostrzegł, że pani Laura spojrzała na niego i na Elę bardzo dyskretnie jakimś, jakby wilgotnym od wzruszenia wzrokiem, a równocześnie zdawało mu się, że obejmuje go sen i że głowa jego jakby skłania się, aby się oprzeć. Wtem zbliżył się lat około trzydziestu siedmiu mężczyzna, wysoki i chudy, zupełnie ogolony, z długiemi, płowemi włosami, długim, zagiętym wdół nosem, dwiema długiemi bruzdami od kości policz-

kowych ku brodzie i pewnem zaniedbaniem w zawiązaniu krawata, i począł się witać poufale i po przyjacielsku z panem Rosieńskim i pannami, oraz cokolwiek etykietalniej, ale bardzo mało, z Przerwicami i panią Biszą. Rdzawicz zauważył, że z Elą uścisnęli sobie ręce niezwykle serdecznie i mimowoli, szybko, jak myśl, kąty ust ściągnęły mu się na zewnątrz ku dołowi, brwi drgnęły nad oczami, z mózgu zaś do ust błysł mu jak płomień wyraz:—„Moja jest!...“ Zaćmiło mu się wszystko i czuł, że gotów jest, nie zastanawiając się nad niczem, krzyknąć:—„Kocham!“—jeżeli za ten krzyk utrzyma się przy wyrazie:—„Moja jest!...“ W tej chwili chudy i wysoki człowiek, spostrzegłszy, że Rdzawicz należy do towarzystwa, zbliżył się ku niemu i podając mu rękę, rzekł ze swobodną grzecznością światowego człowieka:—„Leon Morski“.

Rdzawicz nazwisko to, zresztą artystyczne, znał oddawna; Morski, który mieszkał stale zagranicą, miał sławę ogromnego talentu muzycznego i równie sławną opinję ogromnego dziwaka. Jemu zaś także widocznie nie było nieznane nazwisko Rdzawicza, uśmiechnął się bowiem życzliwie i potrząsając silnie jego ręką, począł mówić ogromnie prędko i niedbale, mieszając wszystko razem.

— Bardzo się cieszę, że pana poznaję. Odkądże to panny Rosieńskie bywają w tak porządnem towarzystwie? Opowiedziały już panu o tem, jak się sadzi czy tam sieje, czy tam może i sądzi buraki, ile jajek kury znoszą, co zjadł Miluś na śniadanie, i że pan Kalasanty Wątróbski ma nową szpilkę w krawacie, a pan Antyfanty Wiejskogłupski cztery nowe kuce do wolanta?

— Nie, panie, jeszcze mi tego panny Rosień-

skie nie powiedziały — odparł Rdzawicz, usiłując odpowiedzieć nie niegrzecznie.

— No, to panu powiedzą, czekaj pan. Bardzo się cieszę, że was tu spotkałem, moi państwo. Przed trzema godzinami przyjechałem z Londynu. Chlapanina tam, aż strach. Cóż tu robią, na tym raucie? Ten osioł, Mattini, tam stoi. Śpiewał? Bo dopiero co przyszedłem. Mignon, nie gap się tak na tego oficera. Jakże urodzaje, panie Stanisławie? Ślicznie pani wygląda, pani Lauro, okropnie dawno pani nie widziałem. Słyszałem Paderewskiego w Nowym Yorku. Powiadam wam, świat się kończy i nie zaczyna, ale nie rozumiem, jak można tak grać na zawołanie? Mignon, podnieś nos. Rozumiem grać wtedy, kiedy się chce, ale nie wtedy, kiedy się zapowiedziało. Cieszę się, mocno się cieszę, że was tu widzę. Pani Elżbieta przytyła na ostrze noża. Cóż ja tak gadam i gadam. Niechże kto co powie. Przepyszne są pańskie rzeczy, panie Rdzawicz. Dostałbyś pan złoty medal w Salonie albo w Glaspalaście. Słowo daję, że my, Polacy, jesteśmy ludzie zdolni i jeszcze się nie damy. Nie wie pan, gdzie jest teraz Menter? Ale, prawda, cóż to pana może obchodzić? No, chodźmy stąd. Któż nie ma pary?

— Ja — rzekła pani Laura, wsuwając rękę pod ramię Morskiego. — Dotąd korzystałyśmy obie z Elą z grzeczności pana Rdzawicza.

— Bardzo się cieszę — odrzekł Morski. — Nie miałbym co lepszego do roboty, jak oprowadzać po sali te siedm cnót głównych i cztery kardynalne. Mignon, uczep się pana Przerwica—i jazda naprzód. My z panią Przerwicową za nimi, pan Rdzawicz z Elą. Mignon, nie kręć się na piętach, a pan Stanisław z panią Elżbietą w arjergardzie. Strój się! Marsz! Tra-ta-ta-ta!

— Hrabia Morski jest wart pana Czempińskiego, prawda? — rzekła panna Rosieńska. — Oryginał, jakich mało. Ciekawam, czy długo tu zabawi? My wszyscy znamy go dawno i bardzo lubimy.

— Bardzo sympatyczny — powiedział, aby coś powiedzieć, Rdzawicz, który przedewszystkiem czuł, że ta dziewczyna opiera się na jego ramieniu i jest mu tak blisko, i który chwytał oczyma na jej ustach dźwięk słów, prawie nie rozumiejąc co one znaczą, ale widząc, jak poruszają wiśniowemi wargami Eli i słysząc ich dźwięk, smętny i słodko-zmysłowy. Nie mógł się oprzeć pokusie i chciał przycisnąć mocniej ramię Eli do siebie, ona jednak, jakby przeczuwając to może bezwiednie, spojrzała nań i choć w tem spojrzeniu nie było nic, co chciał. Ale usta jej wołały: — pragnę!...

Rdzawicz patrzał na tę twarz i pił ją oczyma, zapomniawszy o tem, że trzeba rozmawiać. Czuł, jakby jakieś nowe życie w niego wchodziło i jakby mu się otwierał jakiś nowy horyzont życia. Przedewszystkiem jednak niosły go zmysły. — Śliczna! śliczna! śliczna! — mówił jej drganiem ust. — — Pójdź, pójdź!... — Czuł, jakby coś omdlewało w nim z pragnienia i równocześnie przędło koło Eli jakąś sieć palącą. Przepalał jej ubiór i ją samą wskroś, opłomieniał ją i zdawało mu się, że widzi swoje pragnienie, jako niesłychanie subtelną płomienistobłękitną substancję, którą Ela jest owiana cała, od stóp do głowy i ponad nią. Zarazem chciałby, by wziął w dłonie jej duszę i wyobrażał sobie, że wyglądałaby, jak róża, zupełnie biała, która w jego dłoniach i pod jego wzrokiem przemieniałaby się powoli w ciemnopurpurową, o tak mocnej woni, ażeby, odurzony nią, padł bezprzytomnie... Nigdy nie doznawał równie silnego unie-

sienia; czuł, że dochodzi do granicy, gdzie miesza się bez pamięci i sam w danej chwili nie odróżnia słów: „kocham“ i „pragnę“; zdolny był jednak że to obejmować myślą, że tà kobieta, która pobudza go do najwyższej ekstazy zmysłów, jaką czuł kiedykolwiek, jest zarazem najczyściejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał.

Co ona myślała i czuła nie wiedział. Szli stosunkowo dosyć już długą chwilę w milczeniu, ona oparta lekko na jego ramieniu, dotykając sobie ust skrajem wachlarza, który trzymała w drugiej ręce. Twarz jej wydawała się Rdzawiczowi jakby weselszą, niż kiedy ją w pierwszej chwili zobaczył, i razem jakby smętniejszą; zdawało mu się, że spotykają się na niej dwie nowe myśli, których tam pierwej nie było, a z których jedna rodzi się z jakiejś przyczyny jasnej, gdy druga właśnie stąd budzi jakiś niepokój. Nagle Ela podniosła nań swe duże, głębokie oczy i zaczęła mówić:

— Pan Morski jest naszym sąsiadem, to jest jego majątek leży obok naszego, bo on sam, teraz zwłaszcza, rzadko tam bywa. Dawniej przyjeżdżał częściej i zostawał czasem po kilka miesięcy. Nasze rodziny są zdawiendawna w przyjaźni, nawet są jakieś powinowactwa. Zna nas od dzieci, a Rózię trzymał do chrztu, dlatego nam mówi „ty“. Zresztą, on prawie wszystkim pannom mówi „ty“.

— Przerwic to także lubi robić — wtrącił Rdzawicz.

— Tak, mnie za drugim razem, a Rózi od pierwszej chwili zaczął mówić „ty“, ale prawda, że Lorcia jest naszą bliską kuzynką.

— A dlaczegóż pan Morski nie mieszka w kraju? — spytał Rdzawicz, którego drażniło to, że Morski zna Elę oddawna i lepiej od niego, i chcąc

dowiedzieć się, co ona o nim wie, a stąd wywnioskować, jaki jest między nimi stosunek.

— On ogromnie lubi podróżować, jak każdy zresztą podobno artysta, a przytem powiada, że nie może wytrzymać w kraju dla mnóstwa rzeczy, a przedewszystkiem dla swojej rodziny.

— On musi być bardzo arystokratycznie spokrewniony?

— O, bardzo, najwyżej, jak można. Niemożliwe rzeczy opowiada o swoich kuzynach. Oni mu się też odwdzięczają.

— Bogaty jest?

— Tatko, którego prosił o nadzór nad administracją majątku, powiada, że ma dwa miljony.

— I to bardzo interesujący człowiek i sympatyczny.

— Bardzo.

— O ile wiem, on rzadko kiedy wydaje swoje kompozycje, ale podobno są śliczne. Przytem podobno ślicznie gra.

— Cudownie. Niczyja muzyka nie robi na mnie takiego wrażenia.

— Pani jest muzykalną?

— O, tak, my obie z Rózią gramy i śpiewamy. Ile razy pan Leon przyjedzie z zagranicy, odkąd jestem w domu, biorę od niego lekcje. Od niego można w godzinę więcej skorzystać, niż od najlepszych metrów przez całe miesiące. A to dlatego, że kiedy on gra, to jakby mu dusza spływała przez palce w fortepian.

— Przerwicby pani pozazdrościł — rzekł Rdzawicz, zniżając mimowoli głos, jak kiedy się chce powiedzieć coś przykrego, ale w tejże chwili człowiek zawaha się czy trzeba i czy można.

— Czego? — spytała, nie orjentując się, panna Rosieńska.

Rdzawicz chciał odpowiedzieć podobnym tonem, jak pierwej: — „tego frazesu“ — spojrzawszy jednak na duże, smutne i w tej chwili pytające oczy Eli, uczuł na siebie gniew, a nad nią żal, i powiedział łagodnie:

— Pani tak ładnie to powiedziała, że panu Morskiemu spływa dusza przez palce w fortepian. Nam także czasem dusza spływa przez palce w marmur lub płótno. Ale to jest daleko mniej poetyczne i kobiety to daleko mniej interesuje — dokończył, zmieniwszy już znowu usposobienie względem Eli i wydymając lekko dolną wargę, z pewnem niby skrywanem, ale naumyślnie źle, lekceważeniem. Widział, że Ela to dostrzegła i że się cokolwiek zmieszała, i zły na siebie, że jej dokuczył, a zarazem czując w tem jakąś bojącą przyjemność, dodał: — Muzyka jest daleko przystępniejsza, niż malarstwo i rzeźba. Między Michałem Aniołem a Chopinem jest jednak różnica.

— Zapomina pan o Beethovenie.

— Tak, ale „Mondscheinsonate“ gra pierwsza lepsza Lieschen czy Aenchen i płacze nad nią, a niech pani zaprowadzi ją do kaplicy Sykstyńskiej.

Powiedział to tonem szorstkim i sądził, że panna Rosieńska albo się obrazi, albo zacznie z nim dysputować, albo zrobi „naiwną“ i zechce go rozbroić czemś, naprzykład, w rodzaju: — „Czemu mi pan dokucza?—“ albo spojrzeniem, które mówi: — „Co ja zrobiłam?“—ale Ela podniosła na niego smutne zdziwione oczy. On zaś uczuł chęć pochwycić jej ręce i przycisnąć do ust, zamiast czego wydął znowu cokolwiek dolną wargę i zrobił lekki ruch lekceważenia ramieniem, na którem się opierała. Pewny był, że odpowie na to w jakikolwiek sposób, bo nic czuć i nic zrozumieć nie mogła, czekał tego, ale Ela dotknęła znów skrajem wachla-

rza ust i milczała, patrząc przed siebie. Wtenczas Rdzawicz powiedział sobie, że do tej kobiety nie ma już najmniejszego pociągu, spojrzał na nią zgóry, z pewnem pobłażliwem politowaniem, jak na zwykłe „panieńskie cielę“, i spytał dość niedbale:

— Państwo mają dużo sąsiedztw?

— Dużo — odpowiedziała uprzejmie.

...Jest doskonale wychowana — pomyślał i mówił dalej:

— Szlachta w okolicy musi mieć dobre konie?

— Wyborne.

— A do wolantów czy tam się używają kuce?

Przeląkł się i chciałby był cofnąć to, co powiedział, bo uczuł, że było grube, ale ona powiedziała mu równie uprzejmie, jak pierwej:

— Czasem, ale u nas mało wogóle kucami jeżdżą, chyba dzieci. Rózia ma parę węgierskich, bardzo ładnych.

...Pobiła mnie — pomyślał, i ozwał się prosto:

— Pani jest nadzwyczajnie wychowana i nadzwyczajnie mądra.

Ela uśmiechnęła się, spojrzała nań przyjaźnie i widocznie wiedząc, dlaczego on to mówi, spytała:

— Z czego to pan sądzi?

— Z tego, że pani mnie umiała przyprowadzić do porządku tak prędko i tak łatwo. Przepraszam panią. Zawrzyjmy pokój. Chcę być pani przyjacielem.

Chciał to powiedzieć serdecznie, tak, aby ją ująć, ale powiedział tak serdecznie, że przedewszystkiem ujął sam siebie, a że mu przyszło na myśl, że może tylko siebie i że się może zaawansował, uczuł się znowu zły; lecz ona uśmiechnęła się mile i odpowiedziała:

— Pokoju niema poco zawierać, bo nie było wojny i nie wiem za co mnie pan przeprasza, ale w każdym razie bądźmy w przyjaźni.

...Za gładka — pomyślał Rdzawicz. — Nie jest to żadne panieńskie cielę, ale może być panieński lis, który spostrzegł się, że mnie „bierze“ i teraz sobie wewnątrz drwi ze mnie. Zmieńmy ton.

— Czy pani nie wie, co teraz będzie w programie? — zapytał głośno.

Ona jednak uśmiechnęła się znowu i odpowiedziała:

— Owszem, wiem. Żywe obrazy. Ale pan skacze z tematu na temat, jak konik polny. Nie zdążę.

...Drwi — pomyślał Rdzawicz. — Trzeba odrazu uciąć. — Jednak brakło mu na razie konceptu, jej zaś usta w uśmiechu były tak ponętne i rumieniec, który ją trochę pokrasił, tak ładny, że znowu uczuł się pod urokiem, a inteligencja zmysłów krzyknęła nań:—nie psuj!—rzekł więc wprost to, co w tej chwili myślał najszczerzej:

— Przez swoje wychowanie i przez swój rozum pani zrobiła mi przykrość.

— Dlaczego? Nie rozumiem.

— Rozumie pani. Gdyby pani nie była udała, że pani nie wie, za co panią przepraszam, stosunek nasz stałby się odrazu prostszy i szczerszy.

— A więc, przepraszam pana za to i przyjmuję pańskie przeproszenie. Pokój zawarty i nie będzie mi pan dawał do zrozumienia, że jestem niemądra.

— Ależ...

— No, już o tem niema mowy. Może komu innemu nie dałabym sobie tak od pierwszego razu dokuczać, ale pana nie mogę brać tak, jak innych.

— Dlaczego?

— Naprzód dlatego, że pan jest artystą.
— Czy mam jeszcze jakie inne prawa do pobłażliwego obchodzenia się ze mną?
Ela spojrzała na niego i nie mówiąc widocznie tego lub przynajmniej nie wszystko, co pomyślała, rzekła:
— Tak, bo jest pan jeszcze krewnym męża Lorci, którą bardzo kocham.
Przechodzili właśnie koło urządzonego w sąsiedniej sali bufetu, gdzie kręciło się trochę osób. Morski pochylił się ku młodszej pannie Rosieńskiej i spytał:
— Mignon, aniele, nie chce się tobie jeść?
— Chce się — odpowiedziała panna Mignon.
— A cóżbyś zjadła?
— Kromkę chleba z powidłami.
— No, tego nie wiem, czy tam dostaniesz, ale może znajdziemy co innego. Czy państwo nic nie mają przeciw temu, abyśmy weszli do byfetu? — spytał, obracając się ku dwom następnym parom.
— Owszem, chodźmy — odpowiedziała pani Bisza.
— O, tam jest pyszny stół w drugim rogu, w kącie — rzekł Przerwic, który wszedł z Mignon, pierwszy. — Będziemy zupełnie swobodni. Mignon, prędko, żeby nam kto nie zajął.
Mignon puściła się wraz z Przerwicem pędem przez salę i dobiegłszy stołu, usiadła z takim rozmachem, aż krzesło zgrzytnęło.
— Doskonale — rzekł Morski, przechodząc z panią Laurą — ale patrzcie, jak te hrabiny, unterhrabiny i mieszczki patrzą na nas, zgorszone. Gdyby to zrobił mój brat stryjeczny, Wició Morski, który ma tyle szpilek do krawatów, że go na komorze przytrzymali, bo myśleli, że przemyca, z księżniczką Izą Zasławską, toby te wszystkie

baby krzyczały:—„Jaka miła swoboda!“—a że robił „niejaki“ pan Przerwic z „niejedną“ panną Rosieńską, to będą wrzeszczeć: — „Co za zachowanie!“ — Ale siadajmy.

Pan Rosieński ukłonił się od stołu i rzekł do Morskiego:

— Hrabina Wyczewska.

— Aha, kochana ciocia Femcia! Muszę się z nią przywitać. Zaraz wrócę, tylko jej powiem jaką impertynencję. Ze trzy lata jej nie widziałem.

— Już — rzekł po chwili, wróciwszy i siadając na dawnem miejscu.

— Wyraziła najłaskawszą ochotę poznania panów, panie Jerzy i panie Rdzawicz. Gdyby to była zrobiła, jak cywilizowana kobieta, to naturalnie, nic prostszego, byłbym panów prosił o to i przedstawił, ale ponieważ powiedziała:—„Pokażno mi zbliska tego poetę i tego rzeźbiarza“—więc jej odpowiedziałem: — Niech ciocia podejdzie bliżej, to im się ciocia przypatrzy.

— Cóż ona na to?

— Powiedziała mi, że jestem śmieszny, a ja jej, że to dziwna rzecz, bo mię przecież uważają za wyrodka z rodziny. U nas się psuje dwie rzeczy—arystokrację i kobiety, bo się o nich za dużo mówi. Patrzcieno, jak ta mieszczka tam siada przy Wyczewskiej, zupełnie, jak żeby była z sewrskiej porcelany. Dalibóg, dziwny sposób okazywania komuś szacunku przez delikatność dla własnej skóry. Ale obie są zadowolone — i ciocia Femcia, i porcelana tej pani.

W tej chwili, pośród tłumu, Przerwic spostrzegł Kowala, który z za swoich okularów rozglądał się naokoło dosyć przestraszonemi oczyma; za zgodą pań poszedł ku niemu i zaprosił go do towarzystwa, uprzedziwszy pannę Mignon, że

jest uczony człowiek, skutkiem czego patrzała na Kowala, jak kot na wielkiego chrząszcza. Kowalowi widocznie podobały się te panny, gdyż się ożywił i mówił dużo i przyjemnie. Obaj z Morskim widzieli masę świata, Morski miast, a Kowal puszcz i opowiadali o tem kolejno. Rdzawicz, siedząc koło Eli, posuwał paznogciem okruszyny chleba po obrusie i milczał.

Nie wątpił, że Ela przyznała mu „wyjątkowe prawa" nietylko dlatego, że jest artystą i że jest kuzynem męża Lory, ale także dlatego, że musiała wiedzieć o wszystkiem, i że ma dobre i delikatne serce. Przerwicowa nic mu nie wspomniała wogóle o pannach Rosieńskich, ani o tem, że mają być na raucie, ale z rozmowy dowiedział się, że bawią w Warszawie z ojcem od dwóch tygodni; dowiedział się także, że pan Rosieński zostawi je u Przerwiców na kilka miesięcy, sam bowiem musi z żoną wyjechać do kąpiel. Ta ostatnia wiadomość zelektryzowała Rdzawicza.

A Marja, a Marja... — szeptał mu jakiś głos w duszy, ale na to odpowiedział sam sobie: — Ach, mam już dość... Męczę już blisko rok i cóż wymęczyłem? Czy dlatego, żem kochał, nie mogę już być nigdy ani spokojny, ani szczęśliwy? Marja nie dba o mnie, nie wie może, że żyję, cóż ja mam ciągle tylko nią i nią żyć? Czy wszelka teorja wierności nie jest głupstwem? Zresztą, jeżeli czuję, że mogę ją przestać kochać, a inną zacząć, to byłbym warjatem, gdybym dla jakiejś teorji przy tamtej miłości się upierał, a tej bronił do siebie przystępu.

Zapewne, tak kochać Eli, jak kochał Marję, tak bardzo, tak szalenie, tak ogromnie, nie potrafi nigdy; tej przedewszystkiem pragnie, dlatego to uczucie w nim względem tej kobiety jest tak nie-

słychanie silne i dlatego przesiła wszystkie inne, co wobec kobiety czuć można. Marji nie pragnął mniej, ale ponieważ tam w grę wchodziła także cała jego istota psychiczna, jedne więc czynniki miłości równoważyły drugie, a zarazem tworzyły w nim olbrzymi rozwój harmonji miłości. Eli nie kocha jeszcze, ale czuje, że mógłby się dać ogarnąć temu uczuciu; fizycznie już niem jest ogarnięty, a od pragnienia fizycznego do obudzenia się instynktów psychicznych przejście jest nieuchwytne i łatwe, ponieważ naprawdę nawet jedne instynkty bez drugich działać odrębnie nie mogą i nie działają nigdy, może być tylko między niemi łudząca nierównowaga.

Eli nie kocha jeszcze, ale kochać ją może. Uczuciem względem Marji jest zmęczony i naprawdę to uczucie nie może się już uplastycznić w naturalnej formie kochania, ale w drugorzędnych i nienormalnych formach tęsknoty żalu. Prawda, że jest do tych jego form szalenie przywiązany; prawda, że droższe mu są teraz jeszcze tęsknota i żal w stosunku do Marji, niż gdyby mu Ela zarzuciła ręce na szyję, ale to może się zmienić, zwłaszcza, gdy będzie chciał. Nic tak nie leczy z dawnej miłości, jak nowa! W miarę, jak Ela będzie wypełniała jego istotę, musi z niej ustępować Marja, poprostu z czysto fizycznych przyczyn, dla braku miejsca. Chodzi tylko o to, żeby Eli pomagać, a Marję wypędzać...

Ale kiedy pomyślał to słowo, kiedy uświadomił sobie, że do Marji zastosował wyraz „wypędzić“, ogarnął go taki żal nad nią, uczuł się wobec niej tak winnym, że ledwo się nie porwał i nie wybiegł od stołu, aby gdzieś paść twarzą ku ziemi i wołać: — „Przebacz mi, przebacz mi, ty biedna, ty nieszczęśliwa, ty wypędzana!...“ — Miał

to uczucie, jakby na śnieg i mróz w nocy wypędzał dziecko albo jakieś małe, biedne zwierzątko... W tej chwili jednak otrzeźwiał, albowiem przed oczami jego przeszedł przez salę pięknie wygolony, w ogromnym, wysokim kołnierzu i z monoklem w oku, jedząc tartynkę z kawiorem, Korab Typolski.

— Lejbgwardja! — pomyślał Rdzawicz i o mało się z siebie nie roześmiał. — O głupcze, o głupcze — mówił do siebie — o głupcze bez dna, granic i brzegu!...

Podrażnionej i zirytowanej jego imaginacji przyszła teraz inna myśl: oto, że Marją mógłby kokietować Elę. Że jest dobra, tkliwa, czuła, zdolna do współczucia i bardzo wrażliwa, to miała napisane na twarzy; że jest naturą romantyczną i marzycielską—także. Czy może być na taką dziewczynę lepsza wędka, jak uczynić ją powiernicą swego nieszczęścia, jak szukanie u niej pocieszenia, ukojenia, odetchnięcia... I to jeszcze kto przychodzi? Genjalny artysta—bo wiedział, że o nim tak mówią—kuzyn kochanej kuzynki i bardzo przez tę kuzynkę lubiony—co także wiedział—wreszcie człowiek młody i zajmujący już choćby tą cichą tragedją, którą w piersiach nosi. Cudby był, gdyby taka dziewczyna, jak Ela, w takich warunkach nie dała się opętać...

Opętać?... Spojrzał na nią; siedziała ze schyloną nieco głową, słuchając, co mówił Kowal, który opowiadał o polowaniu na bezgrzywne lwy amerykańskie, ale widocznie myśląc o czem innem. Była w tej chwili tak cicha i tak czysta, że Rdzawiczowi zrobiło się przykro, iż mógł pomyśleć o niej ten wyraz „opętać".

...„Opętywać" taką dziewczynę, jak Ela, i to kokietując, bądź co bądź, w taki sposób — myślał,

—Zaczynam być wstrętny i podły. Tę chcieć opętać? Czy nie lepiej poprostu oto zastanowić się, obrachować: możesz Marję przestać kochać?—mogę albo nie. Chcesz Marję przestać kochać?—chcę albo nie. Chcesz i możesz zacząć kochać pannę Elę Rosieńską?—Chcę i mogę albo nie...

Jeżeli może i chce zapomnieć o Marji, a chce i może zacząć kochać panną Elę Rosieńską, to do takiej panny Eli Rosieńskiej trzeba iść prosto, tak, jak się prosto wyciąga rękę poto, żeby zerwać kwiat. ...Jestem także „gips“ i „polska inwencja“, jeżeli mi w tem nie pomoże Przerwicowa — pomyślał, czując, że myśli sprytnie.

Nie wiedział dlaczego, nie mógł tego umotywować, był jednak pewny, że tak było i gotów był nawet podejrzewać, że go pani Laura na raut nietylko dla wierszy chciała sprowadzić. Że o nim mówiła przedtem, nim się na raucie spotkali, najlepszy dowód w tem, że Ela wiedziała o istnieniu Czempińskiego, jeżeli zaś wiedziała o istnieniu takiego Czempińskiego i o tem, że Czempiński jest oryginał, to Przerwicowa musiała z nią mówić bardzo szczegółowo. Sto przecież rzeczy było wprzód ważniejszych do powiedzenia, niż to, że Czempiński jest oryginał. A jeżeli Lora mówiła tak szczegółowo, to musiała chcieć, żeby Ela o nim dużo wiedziała, a gdyby to nie miało za sobą jakiejś jeszcze dalszej myśli, to pocóżby tedy chciała? ...To więc są wiersze Ziuciego?!—pomyślał. — Zresztą, chciałaś, „przemiła pani Loro“, przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie—żebym słyszał, jak Jerzemu klaszczą, i żebym poznał pannę Elę. Jesteś intrygantką, alebym cię za tę intrygę pocałował w twoje obie pulchne łapki. — Przygryzł lekko wargi, jak się zwykle robi, kiedy się pomyśli—„aha!—mam cię!“—i spojrzał na Przerwi-

cową: różowa i uśmiechnięta słuchała, jak Morski, myląc się co piętnaście słów, deklamował „Zapadłe jeziora" Jerzego, pod które także chciał podkładać muzykę.

Zrobiło się Rdzawiczowi na duszy jakoś jasno. Zakocha się w Eli, a ona w nim. A jeżeli co przy niej znajdzie, to wielką czystość, to wielką pewność, wielką szlachetność i dobroć, a przytem, jak jest ponętna, ach! jak!...

Zapomniał jednak o jednem, o Morskim, o którego stosunku względem Eli nic się ostatecznie nie dowiedział, jak wogóle nie wiedział o niej nic. Nie wydawało się, aby ona zajęta była Morskim albo Morski nią, ale równie dobrze, jak mogła nim być zajęta, mogła być zajęta kim innym.

Ciekawość dowiedzenia się bliższych szczegółów o Eli ogarnęła go tak gwałtownie, że wstał, chwycił za pierwsze z brzegu krzesło, usiadł za panią Laurą i z ogromnym impetem szepnął półgłosem:

— Pani Lauro!

— Co? — spytała równie półgłosem, odwracając się szybko pani Lora.

— Wiersze Jerzego są śliczne.

Pani Laura uśmiechnęła się.

— I miłe?

— Jak cień w lesie.

— Nie żałujesz pan, że pan przyszedł?

— Nie. Ale pani jest intrygantka.

— Ja? Dlaczego?

— Bo pani chciała, żebym ja nietylko dla panien Rosieńskich tu przyszedł.

— Ale także?

— Dla wierszy Jerzego.

— Które są?

— Śliczne i miłe.

Pani Laura zarumieniła się lekko, jak dobrzy ludzie rumienią się, kiedy ujrzą coś dobrego w swoich rękach, i rzekła:

— Bardzo się cieszę, bo bardzo lubię te wiersze. A pan mi robi takie wrażenie, jak żeby pan odtajał.

— Jakoś mi jest świeżo w duszy. Ale ja zapomniałem, poco tu przyszedłem. Kto to jest pan Morski?

Zkolei teraz pani Laura zrobiła minę—„aha! — mam cię!“—i odparła w zwykłym tonie rozmowy:

— Hrabia, miljoner, muzyk, człowiek przystojny i znany, bardzo zacny i szlachetny, choć dziwak...

— Ale nie o to mi idzie, to wiem — przerwał jej Rdzawicz.—Czy pan Rosieński bardzo go lubi?

— O, bardzo, ma nadzór nad jego majątkiem.

— Także wiem. Czy Morski długo tu teraz zostanie?

— Dlaczego się pan pyta?

— Bo on podobno ślicznie gra?

— Chciałby go pan słyszeć?

— Yhym.

— O, to bardzo łatwo. Zaproszę kiedy panów na herbatę i poprosimy go, to zagra, bo on tylko na koncertach nie chce grywać, a u mnie zawsze bardzo chętnie. Powiada, że mam doskonały fortepian.

— A to będzie dobrze. A dlaczegóż on tu teraz przyjechał?

— Tak, odwiedzić znajomych i podpisać jakieś kontrakty na kupno lasów w sąsiedztwie.

— Swojem i pana Rosieńskiego?

— Tak.

— Pani Lauro...

— Co?

— Nic. Tak się tylko pytam, wie pani... Nawet nie wiem dlaczego jestem ciekawy, bo cóż mnie tam...

— Nic a nic?

— Nic.

— Pan jest bardzo dobry rzeźbiarz, prawda?

— Tak mówią.

— A ja jestem bardzo sprytna kobieta.

— Co ty się tam chwalisz, Ziuciu? — spytał Przerwic, który dosłyszał ostatnie słowa.

— Że jestem sprytna. Czy nie?

— Jesteś, ale *à propos* czego?

— Tak sobie mówimy z panem Romanem.

Przerwic nachylił się ku pani Laurze i Rdzawiczowi i szepnął:

— Prawda, Romku, że to ładne dziewczyny? Powiedziałem im kiedyś, że mi robią wrażenie koloru różowozielonego i różowobłękitnego; Rózia jest, jak łąka z kwiatami, a Ela, jak wschód.

— A ja jakiego jestem koloru? — spytała pani Laura, wysuwając niby pretensjonalnie nosek i usta naprzód.

— Ty jesteś niebo i malec.

— Wie pani, że mi się zdaje, że jest jakaś wiosna koło nas — rzekł Rdzawicz. — Takie mam uczucie, jak żeby mnie młody, rzeźwy wiatr owiewał. Czy pani jest naprawdę taka sprytna?

— O, bardzo. Ale cokolwiek bądź, pan nie jest niekontent, że pan przyszedł?

— Nawet jestem ogromnie kontent i ogromnie pani wdzięczny... — odparł Rdzawicz, całując ją w rękę.

— Za co?

— Eh, co tam będziemy grać w słowa. Za to, że pani ma taką śliczną i miłą pannę Elę. Pani się cieszy?

— A cieszę się.
— Z czego?
— Z tego, że nam dobrze.
— Wie pani, że naprawdę mnie przynajmniej jest prawie tak, jak dobrze. Ale ja wiem, że to mi się zdaje tylko.
— Dlaczego? Trzeba tylko chcieć, aby było dobrze. Możebyśmy już wstali? — rzekła głośno do całego towarzystwa. — Elu, opadły ci włosy. Chodź do garderoby, to ci poprawię.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

List zwrotny

DO BIBLJOTEKI GROSZOWEJ

w Warszawie

Moniuszki 11 m. 1.

Upraszam o nadsyłanie wydawnictwa tygodniowego

Bibljoteka Groszowa.

Należność, z przesyłką pocztową:
Za kwartał (13 tomów, łącznie
z dwutygodnikiem Magazynem
i in. dodatkami) **zł. 9 gr. 95**
„ kwartał w oprawie **zł. 13 gr. 95**
jednocześnie przesyłam przekazem
(P. K. O. **11.140)**
proszę pobrać za zaliczeniem pocztowem, z doliczeniem kosztów zaliczenia

Wiersz niepotrzebny przekreślić

Imię i nazwisko ....

....

Adres ....

....

....

Prosimy wyciąć.

Zamówienie

Do

Bibljoteki Groszowej

w WARSZAWIE

ul. Moniuszki 11/1.

BIBLJOTEKA GROSZOWA.

4. *London J.* Zew Krwi.
5. *Dygasiński A.* Z pod ciemnej gwiazdy.
10, 11. *Kraszewski J. I.* Hrabina Cosel, 2 t.
12. — Ostatni z Siekierzyńskich.
13. *Dumas A.* (syn). Dama Kameljowa.
14. *London J.* Wyga.
15. *Twain Mark.* Król i Osioł.
16. *Winawer B.* Lepsze czasy.
17. *Dickens K.* Opowieść wigilijna.
18. *Wells G. H.* Niewidzialny.
18A. *Kleszczyński Zdz.* W latarni.
19. *Erckman-Chatrian.* Opowiadania Alzackie.
20. *Winawer B.* Ślepa Latarka.
21. *Wells G. H.* Wehikuł czasu.
23. *Dygasiński A.* Złamane Życie
24. *Grubiński W.* Nowele.
25. *London J.* Prawo białego człowieka.
26, 27. *Gallet.* Przygody Cyrana de Bergerac, 2 t.
28. *Winawer B.* Dr. Przybram.
29. *London J.* Odszczepieniec.
30. *Dzikowski St.* Gracz.
31. *Perutz L., Frank P.* Cud Ulama Singh'a.
32. *Emil Zola.* Za jedną noc.
33. *Ligocki E.* Powrót Beatryczy.
34. *Pirandello K.* Czerwona Książeczka.
36. *London J.* Serce kobiety.
37, 38, 39. — Wilk morski.
40. — Odyssea Północy.
41. — Przygody w zatoce San Francisco.
42. — Bóg Ojców Jego.
43. *Gomulicki W.* Siódme Amen.
44. *Calderon V. G.* Zemsta Kondora.
45. *Lafcadio Hearn.* Czerwony ślub.
45A. *Maupassant.* Szalony.
48. *Daudet.* Przygody Imci Pana Tartarena z Taraskonu.
49. *Zola Emil.* Marzenie.
50, 50A *Tetmajer-Przerwa.* Romans Panny Opolskiej, 2 t.
51. *Daudet A* Przygody Tartarina w Alpach.

W DRUKU:

Amundsen. Do bieguna Północnego.
Andersen. Bajki.
Daudet. Mały (Le Petit Chose).
Flaubert G. Salombo.
Gomulicki W. Grand Muszkieter.
Hugo W. Nędznicy.
Hoffman. Opowiadania.
Jokay M. Atlantyda.
Junosza Kl. Na bruku.
Jagniątkowski. W legji cudzoziemskiej.
Sewer. Bajecznie kolorowa.
Tetmajer-Przerwa Kaz. Otchłań.
— Księżniczka Metella.
— Anioł śmierci.
— Na skalnem Podhalu
Walter Scott. Ryszard Lwie Serce.